

TOM CCLX.

ROK 65.

SERYA 9.

ZESZYT 780.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

GRUDZIEŃ.

1905.

---

TOM IV. — ZESZYT 3.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1905.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. DEKADENCI, — przez <i>W. Dzieduszyckiego</i> . . . . .	417
2. Z DZIEJÓW CENZURY W POLSCE, — przez <i>Stefana Gorskiego</i> . . .	455
3. NARZĄDY ZMYŚLOWE U ROŚLIN, — przez <i>prof. dr. Józefa Nusbauma</i>	480
4. WHISTLER, — przez <i>Jana Topassa</i> . . . . .	497
5. FRAGMENT LOZAŃSKI „DZIADÓW,“ — przez <i>Jacka Kostkę</i> . . . .	507
6. POGLĄDY NA SZTUKĘ I KRYTYKĘ, — przez <i>Wł. Jabłonowskiego</i> .	525
7. O POMORSKICH PODANIACH DZIEJOWYCH, — przez <i>G. Smólskiego</i>	543
8. ROZMAITOŚCI. O kobiecie i małżeństwie, <i>Seweryna Goszczyńskiego</i> , — przez <i>Kazimierza Woźnickiego</i> . . . . .	566
9. PIŚMIENNICTWO:	
<i>J. Grabowski</i> . Pamiętniki wojskowe. Wydał <i>Wacław Gąsiorowski</i> . 1905, — przez <i>A. R.</i> . . . . .	575
<i>Słowacki Juliusz</i> . Anelli. Opracował do użytku szkolnego <i>prof. dr. Wiktor Hahn</i> , — przez <i>Henryka Ułaszyna</i> . . . . .	581
Z inflanckiej literatury historycznej. Głos poważny historyka inflanckiego o mszale i brewiarzu rz.-katol. z późnego średniowiecza. <i>HERMAN BR. BRUININGK</i> : Messe und kanonisches Stundengebet nach dem Brauche der Rigaschen Kirche im späteren Mittelalter, — przez <i>Gustawa Mantuffla</i> . . . . .	584
10. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Po ogłoszeniu praw zasadniczych. — Stowarzyszenie sił naukowych polskich. — Liga przyjaciół wolności i prawa. — Uniwersytet warszawski. — Uchwały Zjazdu nauczycieli i nauczycielek ludowych. — Zakończenie . . . . .	596
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE .	596

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 8.

*Z przyczyn niezależnych od Redakcyi zeszyt niniejszy zamiast w pierwszych dniach Grudnia został wydany dopiero na początku Stycznia.*



De I 1.

# DEKADENCI.

## VII.

Wiatr halny zerwał się istotnie nazajutrz. Kto wiatru halnego nie zna, a nie był w zamorskiej dziedzinie huraganów, ten chyba nie wie co wichry mogą. Wiatr halny, to oszalały olbrzym, to czart jakiś, nadludzką obdarzony siłą, ale całkiem pozbawiony rozumu. Gdy się zbudzi, chce być sam sobą, tak, jak tego pożąda wszystko co na świecie istnieje; chce być sam sobą, a nie pojmuje, nie znosi oporu. Jako wichr chce dąć, i dnie wprost przed siebie naoślep. Zmiażdże chmury, rozerwie je na milion kropli deszczu, którym nie wolno już spadać pionowo, tylko muszą lecieć poziomo, wbrew swojej chęci, zgwałcone przemocą. Wiatr zaślepiony wszystko zaślepia, czyni z deszczu niewolnika, który sam już nie wie, czy jest deszczem rzęsimym, czy jakąś zwaryowaną mgłą, tworzy szarą zasłonę, tak gęstą, że na kilkudziesiąt kroków nie widzisz przedmiotów. Góry znikły z poprzędu oczu — ani śladu ich nie masz; przysięgłbyś, żeś na jakiejś szarej, dżdżystej równinie. Po tej równinie wyją psy, skowyczą potępieńcy, a czasem odezwie się niby trąba archanioła. Gdybyś nie wiedział, że to wiatr halny, myślałbyś, że to już sąd ostateczny. Tak jak chmurę przemógł, jak deszczem miecie, chciałby czart ów szalony wszystko zamienić w igraszkę swoją, a wścieka się, że nie może. Drzewa ugina tak, że się aż szczytami ziemi dotykają; ale drzewa mają także wolę upartą; chcą żyć; korzeniami chwyciły się ziemi, wpiły się w ziemię; wichru nie przemogą, nie zawrócą, ale jemu się nie dadzą. Człowieka rzuci wiatr na ziemię, chodzić mu nie da, ale nie może nim już tak miotać, jak deszczem, nie może go zgnieść i zmiażdżyć jak chmurę, choć jest tysiącrotnie od człowieka silniejszy, bo człowiek także chce żyć;

nie wrósł w ziemię na podobieństwo drzewa, ale posiadał wiedzę, której ani wichr, ani drzewo nie mają, wie czego się po przyrodzie i po swoim działaniu spodziewać ma i, wzmógłszy wolę wiedzą, postawił dom, który go przed wichrem ochroni. Ślepy wichr w dom uderzy; drewnianą wstrząśnie ścianą, czasem okno, albo drzwi wyrwie i rzuci niemi na ziemię, ale domu, drewnianego nawet, nie obali; uderzy o mur całą bezmyślną mocą, czasem kawał dachu nad murem zerwie i rzuci dachówką, jako pociskiem, na ulicę. Dzieło człowieka, mur nieruchomy, całą moc wichru powstrzyma, wichr, jak piłka od muru odskoczy; zasyczy z bólu, zaskowycze, wkradłszy się w ciemności więzienne komina, jakby przeszkoda niepokonana żywiołowi rozszalałemu straszną boleść sprawiła, albo pogoni dalej ponad dachem, a widząc, że dzieło człowieka nie może zawrócić żywiołu z drogi obranej, dzikim tryumfem zaświszcze przeraźliwie. Pędzi dalej, aż uderzy o mur inny, który dźwignęła przyroda, o równie bezmyślne, a stokroć od wichru potężniejsze, ściany gór olbrzymich; bije o nie wściekle, ale za każdym uderzeniem dalej odparty, pokonany, zawraca wichr nazad tam skąd przyszedł, i spotyka wichr drugi, który leci bez pamięci tam, dokąd sam przed chwilą leciał. Obydwa czarty biorą się za bary i wśród jęków piekielnych mocują się w powietrzu, kręcą się w koło, klnąc i sycząc z rozpacz, że jeden drugiego przemódz nie może, i dopiero w tańcu potępionym, w wirze szalonym, łamią drzewa, zrywają dachy, zabijają bydło i ludzi. Namiętność ślepa wichru, łamiąc się głupio o nieprzewyciężone przeszkody, rozpadła się na przeciwne sobie namiętności, które wszystko niszczą dokoła, zwalczając się nawzajem. Jedna drugiej przemódz nie może. Więc szął przez chwilę dosięgnie szczytu, a potem wichr opadnie na chwilę, przez własną, ślepą namiętność przemożony. Lecz cisza nie trwa długo; żądza istnienia, żądza szalonej gonitwy obudzi się znów w skalnej czełusci, w której wichr się rodzi; powstanie znów, zmartwychwstanie namiętność szalona, wściekłość bez pamięci. Wichr przesuwa znów przez doliny, nad drzewami jęknie, nad domami zaskowycze, odbije się o ścianę gór niezdobytą, z sobą samym się spotka, z sobą samym powalczy, i wyczerpie się na chwilę i na ziemię opadnie, by powstać raz jeszcze, szaleć raz jeszcze. Lecz nawet wichru potężna wola, jedną tylko wolą wśród niezmiernego stworzenia, ogromną w porównaniu z fizyczną mocą człowieka, a drobną jak tchnienie owada, gdy ją porównamy z kosmicznymi siłami, które słońcami i ziemią rządzą, zaledwo zdolną powierzchnię morza zmarszczyć—niezdolną i na włos zmienić po-

wierzchni ziemi. Z siły wichru, jakby z malca, zaśmiać się winna siła powodzi, która łądy stawia i topi, siła wulkaniczna, która ziemię trzęsie, ogniem ziele, góry stawia, miasta burzy. Przecież i powódź, i ogień podziemny mają w czasie i przestrzeni swe granice. Wulkan się wreszcie wypali, morze nawet wyschnie; więc i wiatr halny poszaleje dobę, trzy doby, a wreszcie zamrze, zostawiając po sobie tylko zniszczenie, które się już jutro naprawi, nieobleciawszy świata dokoła, jak tego chciał, w swym ślepym zapędzie.

Eolion zastał mnie przed południem samego w bawialni, gdzie słucałem wichru, siedząc na kanapie. Siadł koło mnie i rozpoczął rozmowę, pytając się, czy podług prawideł honoru niema na to rady, kiedy człowiek obrażony satysfakcyi nie żąda? i czy taki człowiek nie bywa pozbawionym czci wskutek swojego biernego zachowania?

Pytania spodziewałem się, jednak odrazu odpowiedzi nie znalazłem; dopiero po niejakiem namyśle odpowiedziałem: — Nie znam żadnego sposobu, za którego pomocą można zmusić obrażonego do żądania satysfakcyi. Jeśli obrażony żąda satysfakcyi a obrażający tej satysfakcyi odmawia, spisują sekundanci protokół, salwujący zupełnie honor obrażonego. Niegdyś — na kontynencie, do bardzo niedawna, człowiek obrażony publicznie, który z bronią w ręku satysfakcyi nie żądał, bywał wyłączany z towarzystwa ludzi honorowych; dotychczas jeszcze może się zdarzyć, że go ludzie niektórzy unikać będą — ale tylko niektórzy, i to nie tak stanowczo, jak niegdyś. Krucyata podjęta przez Kościół przeciw pojedyńkom, nie pozostała bez skutku, a sympatyje bardzo szerokich kół towarzyskich stanęły po stronie tych, który pojedyńku z zasady odmawiają. Opinia publiczna może niezadługo tych potępi, którzy się pojedyńkują. Ze stanowiska kodeksu honorowego, człowiek obrażony, który nie żądał satysfakcyi w jednym wypadku, może być odsądzonym od prawa żądania satysfakcyi we wszystkich innych wypadkach. Ale to także rzecz nader wątpliwa, o której można bardzo rozmaicie sądzić od wypadku do wypadku. Zdaje mi się zaś zupełnie rzeczą niemożliwą, aby obrażający do obrażonego posyłał sekundantów.

— W takim razie — rzekł Żeński — nic innego mi do roboty nie pozostaje, jak panu Borskiemu czynną wyrządzić obelgę.

Odparłem: — W niczembyś pan Borskiemu w ten sposób nie zaszkodził. — Do pojedyńkubyś go pan nie zmusił, skoro wiem, że Borski jest z przekonania religijnego przeciwny pojedyńkom, a ludzie dziś przywykli takie przekonanie religijne usza-

nować. Owszem, zaszkodziłbyś pan sobie, i to bardzo. Ludzie mówiliby, żeś pan awanturnik, którego każdy unikać powinien.

— A jakżeż — spytał się Zeński — mam się w takim razie wydostać z nieznośnego położenia? Przecież niepodobna, abym się nadal co chwila spotykał, abym przy jednym siadywał stole, pod jednym przebywał dachem z człowiekiem, którego obraziłem publicznie, a który sobie z tego nic nie robi, tak zupełnie jakbym był ową sławną cegłą, która przechodniowi na głowę spadła, jakbym był człowiekiem bez wszelkiego wykształcenia, na którego nikt nie zważa.

Właściwie powinienem był powiedzieć poecie, że ubliżył przedewszystkiem sobie, obrażając Borskiego, że jedynem, istotnie godnem i rozsądnem wyjściem z fałszywego położenia, było przyznanie się do winy; że powinien Borskiego przeprosić, skoro go tamten na pojedynek nie wyzwał i skoro przeprosinami dałby tylko dowód opamiętania, a nie naraziłby się na zarzut łobuzowstwa. Ale znałem Zeńskiego zanadto dobrze, abym nie wiedział, że wychodząc odrazu z taką radą, wywołałbym tylko jakiś nieobliczony wybuch miłości własnej. Podjąłem się tego, że Eoliona od nowych ekscentryczności powstrzymam. Teraz nadarzyła mi się pierwsza sposobność wykonania przyrzeczenia danego Borskiemu. Zdaleka rzecz wyglądała na możliwą, ale teraz zadanie wydało mi się czemś podobnem do szukania kwadratury koła. Wydałem się sam sobie podobnym do zarozumialca, albo do waryata, któryby chciał wyleźć na dach i namówić wiatr halny, aby dać przestał. Istotą wiatru halnego jest pęd naprzód, ślepa żądza torowania sobie drogi w świat szeroki, a istotą Eoliona była żądza znaczenia, żądza rozgłosu. Zdawać się mogło, że ktoby tę żądzę zniszczył, zniszczyłby samą istotę młodego poety. Rozgłosu od znaczenia, od mocy, a znaczenia od rozgłosu nie umiał odróżnić. Miłość, którą niezawodnie czuł dla panny Celiny, zamieniła się u niego w gwałtowniejsze spotęgowanie ambicji, czy próżności — nazwijmy to jak chcemy, a przedewszystkiem w nowy wybuch woli bezcelowej, przeważającej u niego monstrualnie nad znacznymi bardzo zdolnościami intelektualnymi i nad wcale wrażliwem uczuciem. Był zakochany, ale w tem zakochaniu kochał naprawdę tylko siebie, a pragnął, żeby go panna Zakliczanka ukochała, żeby go podziwiała, żeby się stała jego rzeczą, jego sługą — zdobyczą, którąby się mógł przed światem pochwalić, kto wie, czy nie zabawką, którąby wnet porzucił i sponiewierał, mszcząc się na niej za poniżenie, którego powodem były dla niego tak zwane wyższe sfery towarzyskie, tem samem, że się wyższemi być mie-

niły. — Nie zważała na niego i to wznagało w nim żądę zdobycia jej miłości, pieszczona się z tą miłością, zwrócenia jej uwagi na siebie, a rodziło wściekłość zapamiętała przeciw tym, którzy mu w drogę weszli — jak Borski. I miałemże zakochanemu w sobie pocie tłumaczyć, że popełnił niedorzeczność, że uczyni najlepiej, jeśli przeprosi tego, którego chciał zdruzgotać — a to w sposób jakiś teatralny, podobny do bohaterstwa i do tryumfu?

Rzecz dziwna, znałem wszystkie tajniki zbłąkanej duszy Eoliona — tajniki leżące zresztą na wierzchu tak, że je dostrzegło od razu każde ladajako doświadczone oko; a mimo to i właśnie dlatego szczerą odczuwałem już sympatyę dla poety. Jego żądza wyniesienia nie była niczem innym tylko żądzą bytu, wolą osiągnięcia swego celu, będącą istotą istoty naszej. Jedni pożądamy bogactw, drudzy pożądamy wysokich urzędów, inni pożądamy wiedzy — a nie zdają sobie nawet z tego sprawy, że tych wszystkich rzeczy pożądamy tylko, jako środków; w istocie wszyscy chcą swoje „ja“ wynieść ponad wszystkie zapory, uczynić czemś „jako bogi.“ A to ja, to nic innego tylko wola, tylko żądza, która wywołuje istnienie człowieka, tak samo jak żądza, pędząca w przestrzenną nieskończoność, wywołała istnienie owego wichru, który tam, za ścianą, szalał, a rozbijał się o drewnianą ścianę Skoczysk, o marne dzieło woli ludzkiej, wiedzą spotęgowanej. Tylko u człowieka bywa ta żądza zannieniona w wolę rozumną przez wiedzę, rozpoznającą środki częstokroć instynktownym popędem wprost przeciwnie, za pomocą których można istotnie zapewnić swej woli zwycięstwo, a czasem, lubo rzadko, przez mądrość, wskazującą, jako cel jedynie uszczęśliwiający, doskonałość ową woli, przy której spocznie; a wicher ma tylko pęd, tylko nieświadomą żądę, łaniając się nieustannie o zapory, których ani nie przewidzi, ani nie ominie. Wielu bardzo ludzi upatrzy sobie środeczek jakiś marny, mogący dopomódz troszkę spotęgowaniu ich istoty i tak się w ten środeczek wpatrzy, tak go pożąda i tak ukocha, że jego osiągnięcie, albo zachowanie staje się dla nich celem, że o celu istotnym zapominają, a tem samem kurczą się, maleją. Najczęściej chodzi im o większy lub mniejszy dostatek, albo też o jakieś tak zwane stanowisko, wśród jakiejś sfery towarzyskiej, w której żyją i którą biorą za świat cały, a która jest w istocie małym zakątkiem, prawie nieznanym całemu światu, — bez względu na to, czy się nazywa wsią rodzinną, cechem, czy też salonem, parlamentem, gronem pisarzy, albo uczoną specjalnością. Tacy ludzie mozolą się całe życie, znoszą przykrości i upokorzenia, czynią gwałt swojej naturze, aby osiągnąć grosz lub stanowisko,

a działając w tym celu rozsądnie, bardzo często postawią na swoim. Miewają przytem bardzo rozmaitą wartość moralną, mogą być niezdolnymi lub nikczemnymi, albo też sympatycznymi lub bardzo godnymi poważania. Eolion był dla mnie sympatyczniejszym od tych mirmidonów, których spotykałem na każdym kroku, bo tamci bywają bałwochwalcami ubóstwiającyymi śródeczek wzięty za cel, a Eolion, poczuwając się do niepospolitych zdolności intelektualnych, chciał lotem wichru zdobyć zwycięstwo woli. Pędził do doskonałości, chciał być tem, o czem się tamtym nawet nie marzyło, bo chciał osiągnąć pełnię człowieczeństwa. Tylko że tamci wiedzieli, mniej więcej, jak wygląda cel przez nich upragniony, i jakimi sposobami do tego celu dążyć trzeba — a Zeński znał tylko swój impet, zapatrzył się tylko w swoją żądzę, i pędził tam, gdzie się musiał rozbić o rzeczywistość zapóznaną. Trafiał ciągle na nieprzewidziane i nieprzezyciężone przeszkody; impet odparty cofał się wstecz, tak jak się wiatr halny cofać musi, gdy uderzy o góry nieruchome. Wola Eoliona, odparta przez rzeczywistość, cofała się we wnętrze jego duszy, z której nowy już wychodził impet pożądający własnego wyniesienia ponad wszystkich ludzi, ponad stworzenie wszelkie, a ilekroć się spotkała żądza dzisiejsza z wczorajszym zawodem, kołowały namiętności duchowym huraganem. Eolion w żądzę swojej, w swoim „ja“ zakochany bez pamięci, niezdolny szerszej poznać rzeczywistości, cały się zamieniał w ten huragan, i w ten huragan się wpatrywał; odczuwał duchową zawieruchę, jako ból okropny, a pieścił się z nią, dopatrując się potęgi w wewnętrznem borykaniu się żądz przeciwnych. Sam sobie tworzył piekło i w tem piekle się kochał.

I jakżeż miałem do tego przemówić człowieka? Upokarzało go to, że ludzie się w nim niedopatrywali Boga, tak jak był sam dla siebie Bogiem, ale gdybym mu powiedział, że przyznawszy się do winy i przeprosiwszy Borskiego, poprawi sobie stanowisko towarzyskie, że obrażając go dalej, postąpi bardzo niepraktycznie, gotów mi się roześmiać w twarz. Pragnął koniecznie, aby go ludzie podziwiali, ale nie chciał się jąć jedyne go środka, który wprost do tego celu prowadzi, to jest zastosować się ściśle do ludzkich przesądów i uprzedzeń; przeciwnie, żądał tego, aby świat porzucił swój sposób czucia i myślenia i podziwiał Eoliona takim jakim jest, takim jakim się stał — niestety, nie tak samodzielnie jak myślał, tylko pod wpływem literatury, przedstawiającej duszę ludzką taką, jaką nie bywa, a wyrabiającej dziwadło z duszy człowieka, który w nią uwierzy.



Powiadam, łamałem sobie głowę nad tem, co mam Zeńskiemu powiedzieć. Przypomniałem sobie wreszcie, że nie argumenta przekonywać zwykły, tylko fakta, że chcąc postępowanie czyjeś zmienić, nie trzeba mu perswadować, lecz należy mu powiedzieć fakt, z którego powodu działanie jego wyda się jemu samemu bezcelowem, albo beznadziejnem.

Więc zwracając niby tok rozmowy zlekka na inne tory, powiedziałem po dłuższej chwili niezręcznego milczenia: — Dowiedziałem się napewno, że panna Celina dała Borskiemu odkosza.

Poskutkowało. Widziałem to najwyraźniej po wyrazie twarzy Zeńskiego. Coś w nim stażało. — Więc pan sądzisz — zawołał — że nie warto się tem zerem zajmować?

— Najzupełniej podzielam pańskie zdanie: takim zerem zajmować się nie warto.

Poeta się uśmiechnął i rzekł: — Niewiasty nie lubią tchórzów. Borski, jeśli chciał dostać pannę Celinę, postąpił bardzo źle, kiedy nie skorzystał ze sposobności, którą mu nastreczyłem; mógł się stać interesującym, a ukrywając się poza wygodny parawan zasad, niby to katolickich, wydał się nietylko zerem, ale w dodatku tchórzem.

Rad, że droga do rozsądnej rozmowy otwierała się teraz przedemną, odparłem: — Zapewne, że niewiasty lubią odwagę, że bohater wojenny bywa dla nich postacią pociągającą. Ale bohater w pojedynku mało dla nich uroku posiada. Wyzwanemu, albo zmuszonemu obelgą do pojedynku, nie odmówią sympatyj swojej, ale także człowiek, który pojedynku nie przyjmuje i naraża się na wszystkie wynikające stąd nieprzyjemności, zdobędzie dla siebie przychyłność niewieścią, jeśli zresztą całym swoim postępowaniem, całym swoim życiem, dowiedzie, że jest człowiekiem silnym. Zazwyczaj nie lubią niewiasty awanturników, ludzi, którzy sposobności do pojedynków szukają, innym umyślnie wyrządzają przykrość, a zwykle poczytać takie niespokojne zachowanie się raczej za dowód słabości i braku pewności siebie. Nikt nie wymyśli recepty, za pomocą której przychyłność niewieścią zdobyć można. Usposobienie niewieście bywa rozmaite. Jako regułę, można jednak powiedzieć, że najbardziej pociągającą dla niewiasty bywa u mężczyzny siła stateczna, objawiająca się pewną powagą — czasem nawet pewnym smutkiem, stateczna, spokojna, stroniąca od przechwałek i od wszystkiego, coby jaskrawością chciało na siebie zwrócić uwagę.

Z przerażeniem dostrzegłem, że coś złego drgnęło znowu po twarzy poety. — Spytał się nerwowo: — Czy pan myślisz przy-

padkiem, że Koziello jest szczęśliwym Borskiego rywalem, że on stał się powodem odmowy?

Byłem w trudnem położeniu; czułem, że odpowiadając szczerze, gotów jestem pchnąć Żeńskiego do tego, że obelgę wyrządzi Kozielle; mówić nieprawdy nie chciałem. Wykręciłem się tedy słomą, mówiąc, że wiem tylko tyle, ile powiedziałem, więcej o niczem.

W tej chwili weszły do pokoju pani Zakliczyna z panną Celiną. Pokłoniliśmy się im, one prosiły, abyśmy swojej rozmowy nie przerywali, a wyjąwszy książkę z biblioteki, ustawionej wzdłuż ścian bawialni, przeszły do alkowy oszklonej, przylegającej do bawialni od strony ogrodu. Ze drzwi od alkowy zwykle się nie zamykają i teraz także pozostały otworem, każde głośniejsze słowo, wypowiedziane w naszej rozmowie, mogło dolecieć uszu pań. Wiedziałem, że Eolion zwykł się być miarkować w obecności niewiast i spodziewałem się, że teraz przerwie rozmowę, z której wyjście stało się znowu dla mnie wcale trudnem. Zawiodła mnie jednak ta nadzieja. Żeński postępowaniem swoim dowiódł, że rzucałem groch o ścianę, kiedy go przestrzegałem, że niewiasty lubią spokój, nienawidzą jaskrawych występów i głośnego samochwalstwa. I jakżeż miały moje słowa znaleźć wiarę, kiedy całe osobiste doświadczenie Eoliona dowodziło czegoś przeciwnego. Nie żył w świecie normalnym, a jeśli miał niegdyś normalną matkę, siostry do zwyczajnych kobiet podobne, sądził zapewne, że to ograniczeniem swoim wyjątkowe, a w najlepszym razie tak poziome, niewykształcone istoty, iż o nich myśleć nie warto. Kobiety, które spotykał zwyczajnie, które miał za osoby wykształcone i wedle których wykształcone niewiasty sądził, były to istoty ekscentryczne, które zwyczajną opuściły kolej, artystki, feministki i dekadentki, które, zerwawszy z obyczajem, puszczały się na niespokojne przygody, albo przynajmniej panny lub mężatki, trzymane jeszcze na uwieżi przez obyczaj, ale wyrrywające się niecierpliwie. Gwiazdy to z mlecznej drogi, które się tem niecierpliwie, że są tylko częścią powszechnego, spokojnego, białego światła i chcą koniecznie być widziane osobno; wyrrywają się tedy niecierpliwie z szerokiego, srebrnego pasa, obejmującego wiecznie krąg niebieski i puszczają się w otchłań, jako meteory, zapominając, że meteor to gwiazda spadająca. Gwiazdy, które w mlecznej świecą drodze, patrzą nieustannie na wieczny ład konstelacyj niebieskich, ujętych niezmiennym likiem. Być może, iż promienista planeta, która przechodzi, jaśniejąc, ze znaku w znak drugi, i cały zwierzyniec niebieski okrąża, zachwyca je bardziej

od gwiazdy stałej, przybitej do sklepu niebios, jakby gwoździem konieczności a wiecznie unieruchomionej; być może powiadam; ale owa planeta nie dlatego jedynie się podoba, iż męską okazuje samodzielność, ale dlatego, że gwiazdy stałe, owe przybite gwoździami, okazują raz jeszcze swoją niemoc mrugając ustawicznie, kiedy planeta jaśnieje światłem osobistem wprawdzie, ale równie statecznem jak światło mlecznej drogi, i dalej, dlatego, że wędrówka planetv ładem takim ujęta, harmonią niebieską przewidziana, że gwiazdeczka każda wie iż ów znużony wędrowiec niebieski, choć się w dalekie zapaści strony, powróci wreszcie za kilkanaście miesięcy, albo może aż po długich latach w miejsce przeznaczone, gdzie go gwiazdeczka poznała, gdzie go oczekuje, sama swoim unieruchomiona obowiązkiem. Ze wstrętem odwraca się natomiast od meteorów i od mioteł ognistych, które harmonię niebieską mącą jaskrawym a błędnym ogniem. Inaczej gwiazda niespokojna, która opuściwszy niezliczone grono towarzyszek i miejsce sobie przeznaczone, chciała zaświecić indywidualnem światłem męskiej planety, w samotności utrzymać się nie mogła, spada w otchłań bezdenną i czuje, że gdzieś zgaśnie, że gdzieś zginie. Ma zawrót głowy; wmawia w siebie, że to nie ona przepada, tylko że się wieczny ład niebieski dokoła niej wali; gardzi tym ładem jednostajnym, a jaskrawe wita meteory i komety straszące przez chwilę ognistym ogonem. Wydają jej się silniejszymi towarzyszami, gotowymi ją ochronić od zaprzepaszczenia wśród czarnej nieskończoności i przyklaskują teatralnemu żywotowi wagabundy niebios.

Żeński przywykł był do towarzystwa, w którym zdobywał dla siebie poklask za pomocą teatralnych występów. Więc teraz także stanął we drzwiach alkowy, tak że panie odejść nie mogły, na niego patrzeć, jego słowa słyszeć musiały koniecznie i zaczął deklamować.

— Tych samych słów, mówił, wszyscy używają ludzie, ale w różnych ustach różne mają znaczenie. Słyszę, że wszyscy o miłości mówią i o woli, ale gdy o tych rzeczach mówią inni, myślą chyba o czemś całkiem odmiennem od tego, co odczuwam. Miłość u ludzi bywa piosenką ptasia, albo zapachem kwiatów; uśmiecha im się; patrząc na zakochanych, myślę niemal, że dla nich miłość powszednią zabawą, po której pozostaje, co najwięcej, przemijający smutek. A jabym tego, co nazywam miłością, nie mógł do czego innego przyrównać, jak do płomieni pożaru, który całe miasto pochłania, pożera ludzkie szczęście i ludzkie życie, a wyśmiewa młde wysiłki ludzi chcących pożar zgasić, albo choćby tylko

w karby ująć, ograniczyć. Porównałbym także to, co ja nazywan miłością, z wichrem halnym, który teraz oto szaleje. Bo miłość u mnie to impet, który całą moją istotę stanowi, to wola nieugięta, która postawi na swoim, przed niczem się nie cofnie, która mną niesie, jako gwałtownikiem. Jeśli kto mi stanie w drodze, zdruzgoczę go; — mniejsza o to jak; ale zdruzgoczę, choćbym miał zostać zbrodniarzem, choćbym miał być potem przez całą wieczność potępioncem; a jeśli mi się ktoś oprze — jeśli mi się ktoś nie da, jeśli moja wola nie zwycięży, sam chyba zginę. Bo ja — to wola moja. Dlatego też nie rozumiem ludzi, kiedy mówią o woli swojej, o tem, że została udaremniona, o tem, że od niej odstąpili. Gdyby to samo przez wolę rozumieli, co ja rozumiem, toby znaczyło, że zostali unicestwieni, albo, że inną istotę, zamiast swojej przyjęli; a ja wiem, że wszystko może się obrócić wniwecz, oprócz mojej istoty, żebym jej nigdy nie zamienił za istotę inną. Prąd wichru może zmienić kierunek i moja wola może uderzyć w inną stronę, ale gdzie uderzy, tam na swoim postawić musi, a kto jej się sprzeciwi, tego zdruzgocze.

Żeński wiedział chyba, że nieraz nie powiodły mu się zamiary; w egzaltacyi ciąglej, w której żył, nie wiedział jednak o tem, że mówi nieprawdę; nie kłamał przed innymi, tylko sam przed sobą, twierdząc, że ma taką wolę wszechmocną, jakąby mieć pragnął. Ostatnie słowa wypowiedział bardzo dobitnie, bo dostrzegł Antoniego Koziellę, który wszedłszy do bawialni słuchał spokojnie deklamacyi poety. Strach mnie zdjął, że ponowi się teraz tu, w obecności pań, scena podobna do tej, którą wyprawił Eolion z Borskim w kawiarni Płonki, a scena, któraby się tym razem musiała skończyć źle, bo Koziello nie wyglądał wcale na człowieka mogącego płazem puścić obelgę.

Litwin wiedział widocznie na co się zanosi, ale zachował się w sposób, o którym powiedzieć muszę, że mój podziw wywołał. Począł na chwilę, w której Eolion swoją przerwie deklamacyę, aby się z nim najnaturalniej w świecie przywitać, aby mu rękę podać tak poprostu, że poeta w obecności pań, w żaden sposób ręki cofnąć nie mógł. Więc uścisnęli sobie dłoń, ale Żeński zrazu zbladł śmiertelnie, potem nagle poczerwieniał i nie zdając sobie wyraźnie sprawy z tego co robił, spytał się nagle Kozielly:

— Czy pan należysz także do ludzi, którzy się z zasady nie pojedynkują?

Koziello odpowiedział z uśmiechem: — Nie szukam już teraz pojedynków; ale wątpię, abym miał dość odwagi, by pojedyn-

ku odmówić. Sądzę, że gdyby konieczność zaszła, byłbym tchórzem, pochyliłbym się przed przesądem honoru i — pojedynkowałbym się. Ale, ze względu na ten sam kodeks honoru, o tej kwestyi obecnie, tu przy paniach debatować nie myślę. Według prawideł honoru nie mówi się nigdy o pojedynkach w obecności dam, nie opowiada się nic o tem, że się miało pojedynki, czy to niedługo, czy to może przed godziną. Niewolno się w obec pań zdradzić z tem, że ktoś będzie się pojedynkował, niewolno powodu do pojedynku dawać w ich obecności, ani postępować w sposób, któryby się im kazał domyślić, że się na jakiś pojedynek zanosi, że wogóle o jakimś pojedynku może być mowa, choćby w nieokreślonej przyszłości. Różnie można się zapatrywać na kodeks honoru, ale przytoczone właśnie przepisy są bardzo rozsądne, jeśli kto naprawdę upatruje w pojedynku dowód męstwa. Bo skoro się panie o pojedynku dowiedzą, uczynią wszystko, aby mu przeszkodzić i prawdopodobnie przeszkodzą; bo wola niewieścia także nie mało znaczy, a Francuz mówi słusznie: *Ce que femme veut, Dieu le veut*. Nie chcąc tedy najważniejszych i najrozsądniejszych przykazań honorowych przestąpić, wolę przy paniach nawet teoretycznie o pojedynkach nie mówić, a to tembardziej, że to, co pan mówiłeś przed chwilą o mocy woli ludzkiej, zajęło mnie niezmiernie i że byłym panu bardzo wdzięcznym, gdybyś mi zechciał swoje pod tym względem zapatrywania bliżej wyjaśnić.

Nieraz to w życiu dostrzegłem. Młodzieniec, który jeszcze nie przyszedł do równowagi, jest przekonany, że z posad ruszy bryłę świata, a ludźmi starszymi gardzi, jakby mumiami. Spotka się z mężem istotnie dojrzałym i raptem w jego ręku stanie się tak bezsilnym, jak demon opętanego wobec egzorcysty; będzie się może miotał, będzie może udawał zuchwałego, ale ulegnie jego woli, przynajmniej na chwilę, wyrwie się z pod jego przewagi tylko tem, że ucieknie, zerwawszy rozmowę. Może tylko pięć lat różnicy było między Żeńskim i Koziellą, ale Litwin przeżył, doświadczył nierównie więcej, był przetrawiony, więc przy równych zresztą zdolnościach, równej może przyrodzonej wartości indywidualnej, zmusił samym spokojem swoim rozdenerwowanego poetę do tego, że zachował się, nie tak jak samby tego chciał, ale tak jak tego chciał Koziello. Żeński miotał się trochę w duchu, zapędzał się czasem rozmową w niebezpiecznym kierunku, ale wreszcie rozmawiał, bez wykrzykników i obelg, o tem, co Koziello chciał i używał przytem zupełnie przyzwoitej formy. Tylko, że do końca nie ustąpił z drzwi prowadzących do alkowy,

tak jakby chciał panie, a mianowicie pannę Celinę, zmusić do tego, by na niego miały zwróconą uwagę, aby słyszały i podziwiałały każde przez niego wymówione słowo.

Odpowiedział: — Nie mówiłem o woli ludzkiej, tylko o swojej woli, a mam niezbitę przekonanie, że ta wola, gdy zechce, będzie wszechmocną. Świat, który oglądam, który poznaję, istnieje dla mnie tylko przeto, że chcę poznawać, a więc istnieć, jako duch świadomy, że chcę w ten sposób dostrzegać, a zatem poznawać, jak to istotnie czynię. Moja imaginacya samowolnie pobudzona, zatem moja wola stawia te Tatry, które nas ogromną ścianą od Węgier odgraniczają, ona to kazała dziś szaleć wichrowi halnemu, ona to świat dokoła zaludniła ludźmi myślącymi i czującymi na moje podobieństwo. Potrzebuję tylko wolę swoją napiąć, ale napiąć naprawdę w innym kierunku, aby to wszystko wniwecz się obróciło, albo żeby się zmieniło w sposób, który pożądam.

Koziełło uśmiechnął się zlekka i rzekł: — Słowa pańskie do-  
bywają ostatnie konsekwencye z filozofii mieniającej świat cały urojeniem podmiotowym naszego ducha. Tylko, że filozofia niemiecka prawi o urojeniu koniecznem, a pan mówisz o urojeniu dowolnem, zgodnie z tem, co mi mówili fakiry i teozofowie indyjscy, którzy się chwalać mocą magiczną, zdolną natychmiast cały świat przemienić, niebo i ziemię wniwecz obrócić. Mimowoli nasuwa mi się pytanie, czy pan twierdzisz, że wysiłkiem woli można świat zmienić rzeczywisty, rzeczywiste Tatry ruszyć z posad, wiatr halny, który rzeczywście i dla nas wszystkich szaleje, zmusić do tego, żeby się uciszył? Że wola ludzka bezpośredni wpływ na przyrodę bezrozumną wywiera, temu nikt chyba nie zaprzeczy. Bezpośrednio jednak, wpływ ten tyczy się tylko własnego ciała, którego członkami poruszamy dowolnie, wskutek bezpośredniego rozkazu istoty naszej, pożądającej tak zupełnie odmiennego od wszystkich zjawisk mechanicznych, że przyrodnicy dzisiejsi, o ile wmówili w siebie, iż wszystko da się mechanicznie wytłómaczyć, — stają osłupieni przed tem powszedniem zjawiskiem, i nie mogą się wstrzymać od wyznania, że tu napotykają na coś niepojętego, mistycznego dla siebie; albo też uciekają się do paradoksalnego twierdzenia, jakoby wola, jakoby nawet żądza, wcale nie istniały, jakoby istniały tylko ruchy mimowolnie wykonane, pod wpływem zderzeń mechanicznych, odbywających się we wnętrzu organizmu ludzkiego, połączone ze złudzeniem istnienia woli, domagającej się tych ruchów; a popełniają wtedy ten błąd, że nietylko przeczą głośno istnieniu woli, a zatem najoczywistszej rzeczy, którą najbardziej bezpośrednio odczuwamy,

ale w miejsce jednej rzeczy, nie dającej się mechanicznie wytłómaczyć, stawiają rzecz drugą, równie niepojętą, a mianowicie oddziaływanie jakichś zderzeń mechanicznych bezpośrednio na świadomość, nie będącą ciałem i nie dającą się zatem pod żadną formułę mechaniczną podciągnąć.

Eolion przerwał, mówiąc: — Tego zaprzeczenia woli nigdy pojąć nie mogłem. Jest dla mnie abominacją. Można w tym sensie spisać tomy, ale piszący we własne swoje nie uwierzy przezczenie. Istnienie mojej woli, jako jedynie a absolutnie pewnej, zupełnie samodzielnej, metafizycznej istności, jest dla mnie rzeczą tak oczywistą, że wszelkie przeciw tej oczywistości zwrócone wywody wydają mi się czczemi słowami. Ale zaraz myśl swoją o nieograniczonej mocy woli nad wszechprzyrodą uzupełnię. Aktem woli mogę nie tylko rękę swoją podnieść i spuścić i wypłynąć za pomocą ruchu swoich członków pośrednio na cały układ świata zewnętrznego; mogę nierównie więcej. Któż dziś nie wie o tem, że wola zahypnotyzowanego — zupełnie albo połowicznie — pobudzona do bezwzględnej energii przez wpływ hypnotyzera, może oddziaływać na fizjologiczne procesy, zwykłe z popod bezpośredniego wpływu naszej woli wyjęte i sprowadzić sztuczną chorobę, albo uzdrowienie z długotrwałej choroby? Podobne skutki wywołuje bez hypnozy egzaltacja religijna, a czasem już samo tylko silne postanowienie. Na tem nie koniec. Wspominałeś pan fakirów i teozofów Indyj, z którymi obcowałeś zapewne w czasie swoich dalekich podróży. To przecie są cudotwórcy. Europejscy nawet spirytyści twierdzą, że wysiłkiem woli mogą zmusić igłę magnesu do tego, by zmieniła swoje położenie, a powiadają, że poruszają bezpośrednio wola przedmiotami martwemi, na przykład sprzętami w pokoju, nie wywarłszy na nie żadnego mechanicznego nacisku. Ci magowie europejscy są dziećmi w porównaniu z fakirami. A dlaczegóżbym nie miał być fakirem, jeśli tylko zechcę?

Koziełło odparł: — Nie przeczę siłom ukrytym w duchu poety, i nie wątpię, że jeśli zechce, dokaże więcej od fakirów, pobudzwszy w sobie, a może nawet w drugich, wysiłkiem woli, nierównie bardziej wykształconą wyobraźnię. Za rzecz mniej więcej stwierdzoną, można conajwięcej przyjąć dewiację igły magnetycznej, pod bezpośrednim wpływem woli, a to się da wytłómaczyć działaniem pośrednim, za pomocą prądów elektrycznych, bezpośrednio we własnym organizmie pobudzonych. Gdyby było prawdą, że sprzęty poruszają się automatycznie na posiedzeniach spirytystycznych, czego żaden z nas nie widział, należy o tem

pamiętać, że sami spirytyści tłumaczą to zjawisko wcale inaczej, działaniem duchów, a bynajmniej nie własnej woli rozkazem. Z fakirami, z teozofami Dalekiego Wschodu obcowałem istotnie; byłem ich niezmiernie ciekaw. Opowiadali mi o cudach, ale nigdy przy mnie istotnego nie pokazali cudu. Wyteżeniem woli wpływali tylko na swoje ciało i na swoją imaginację. Bywa, że fakir sobie świat nierzeczywisty wymarzy i że się tak usilnie w to swoje wmyśli marzenie, iż rzeczywistość zniknie mu z oczu, a w samą tylko wierzy ułudę. Sam wtedy popadłszy w ekstazę, jest dla świata żywym trupem; ani jego świat nie obchodzi, ani on nie obchodzi świata. Każdy z nas, jeśli zechce, jeśli stłumi w sobie, za pomocą gwałtownych wyteżeń woli, wszelkie praktyczne żądze, może odwrócić swoje zdolności poznawcze od zewnętrznej rzeczywistości, własne tylko dostrzegać urojenia. Wtedy świat dla niego istnieć nie będzie, a on będzie trupem dla świata. Tylko nie wiem, czy komu może być pożądanym taki obłęd dobrowolny, czy takiej sztucznej zapragnie niemocy? U Europejczyków rzadką bywa podobna ekstaza; trafia się nam wszystkim, że pod wpływem chwilowego nastroju nerwowego, albo gwałtownych pożądań, lub obaw niezmiernych, widzimy świat w zabarwieniu ułudnym, jak powiadają trywialnie, patrzymy na świat przez czarne lub różowe okulary; rzeczywistość nie znika nam wtedy zupełnie z poprzec oczu, zmienia tylko swoje rysy. Nie raz bywa, nie widzimy tego, czego widzieć nie chcemy, wmawiamy w siebie, że istnieje coś nierzeczywistego, pożądanego albo niepożądanego gwałtownie. Wprowadzamy wtedy siebie samych w błąd, okłamujemy siebie samych, niewzmagając bynajmniej swojej mocy, skazując siebie, owszem, na konieczne niepowodzenie, na zawody ciężkie i bolesne upokorzenia. Wiedza nasza się ćmi, a woła nasza słabnie tem samem. Woła ludzka zdziałała istotnie cuda, zdziałać może jeszcze większe. Jeśliśmy gór niebotycznych jeszcze z miejsca na miejsce nie przenieśli, wichrów nie zawróciliśmy, przebiliśmy już na wskroś wielkie łańcuchy górskie, połączyliśmy z sobą oceany, niegdyś rozdzielone lądami; ale woła ludzka opanowuje przyrodę tylko wtedy, kiedy uznaje rzeczywistość istniejącą bez względu na pożądanie nasze, a posłuszną prawom, którycheśmy wcale nie uroili. Wzmagamy swoją moc, poddając się rzeczywistości, poznając tę rzeczywistość, wnukając w jej istotę za pomocą trzeźwej wiedzy — a nie na wiele nam się przydadzą ekstazy wyobraźni. Przypuściwszy nawet, że jest prawdą, iż fakir uniesie się czasem w powietrze, albo wzrokiem przyspieszy dojrzewanie rośliny, są to dzieciństwa w porównaniu z tem,



co zdziałała wola uzbrojona w naukę, wola, która wyrzekłszy się swoich widzimisię, posłusznie prawdę poznawała na to, aby prawdę opanować.

Gdy Litwin umilkł, poeta namyślał się przez chwilę. Potem rzekł: — Tak, zgadzam się na to, że tylko przez wiedzę świat martwy i bezrozumną przyrodę opanować można. Tak być powinno, chcę aby tak było; bo gdybym przez wyteżenie woli mógł rzeczywistość w marzenie, a marzenie w rzeczywistość zamienić, nie żyłbym naprawdę, nie mógłbym działać rozumnie, a tem samem zaprzepaściłbym swoją istotę duchową, wśród świata nieuchwytnych urojeń. Mało dbam o władzę nad przyrodą bezduszną i bezwolną, ale wierzę w to, że wyteżeniem woli mogę i powinienem opanować ludzi, których wartość jest tak dalece większą od wartości rzeczy pozbawionych ducha, że sto słońce, jaśniejących bezwiednie wśród głupiej otchłani, nie zaważy tyle, ile dziecię chłopskie, które wie, że na świat patrzy. Codzień widzujemy, jak człowiek człowieka samą tylko wolą zwalcza. Gdy dwaj ludzie ważne z sobą prowadzą układy — a mniejsza o to, czy to kupcy, czy dyplomaci — nie zwycięży najwymowniejszy, tylko ten, kto najusilniej chce, a człowiek potężnego ducha przemaga częstokroć milcząc najwymowniejszego i najprzebieglejszego przeciwnika. Można drugiemu człowiekowi narzucić wysiłkiem woli miłość lub nienawiść, przeciwnika samym wzrokiem zgnieść i upokorzyć. Wiemy, jak hypnotyzer z medyum swego uczyni bezwolne narzędzie, jak go zmusi do tego, by sobie wyobrażał świat urojony i uwierzył w rzeczywistość cudzych urojeń. Słyszałem, że fakirzy cały tłum obojętnych widzów tak dalece swoją wolą omotują, iż widzowie oglądają cuda, których wcale niema. I to panowanie ducha mojego nad innymi duchami wraca mi wszechmoc nad przyrodą. Bo cóż to innie, cóż to kogo obchodzić może, że Tatry dalej na swoim stać będą miejscu, jeśli, opanowawszy wyobraźnię wszystkich mieszkańców ziemi, sprawię, że nikt już tych Tatr nie dostrzeże? Nie cofam tego, com powiedział zrazu. Mogę być wszechmocnym; opanowawszy wyobraźnię wszystkich śmiertelnych, słońce na niebie zgasić mogę; bo ono istnieje tylko o tyle, o ile świadome duchy słońce wprost oglądają, albo o ile z porządku przyrody niezmiennego wnioskują napewno, że istnieje.

— A mnie się właśnie zdaje — odparł Koziełło — że władza, którą każdy człowiek ma nad przyrodą rzeczywistą, jest nierównie większą od władzy, którą ma nad innymi ludźmi. Rzeczy bezrozumne, to w ręku naszym bezwolne narzędzia, a gdybyś pan dostateczną posiadał wiedzę — kto wie — możebyś słońce zagasił

naprawdę. Ludzi wszystkich opanować nikt nie zdoła. Nawet taki kolos, jak Napoleon Bonaparte, runął, kiedy się usiłował zmierzyć z całą ludzkością, a stojąc u niebываłego szczytu potęgi, ręczę za to, że się spotkał nieraz w życiu codziennem z wola, która się przed nim nie ugięła. Nie przeczę bynajmniej mocy sugestyi, która się ciągle w powszedniem życiu objawia, a czasem zdoła magiczne niby wywołać skutki. W wywodach swoich zapomniałeś pan jednak o tem, że nie pan tylko jesteś obdarzony wola, że inni także wola posiadają. Chcę wierzyć, że pańska wola nadzwyczajną posiada potęgę; ale bądź co bądź największy atleta nie podoła tłumowi; jeśli będzie się mocował po jednemu z rozmaitymi ludźmi, zużyje część swojej siły na walce z każdym; pokona kilkunastu, aż nareszcie znużony, komuś słabemu może ulegnie. Ulegnie odrazu, jeśli tłum pierwszego poprze zapaśnika, a gdy chodzi o walkę woli z wola, zawsze staje, po jednej przynajmniej stronie, tłum sympatyj, przesądów i uprzedzeń. Woli swojej osobistej nikt rodzajowi ludzkiemu narzucić nie zdoła; sugestyę każdą inne zwalczą sugestye; na czarodzieja inni są czarodzieje. Wódz wojska, władca narodu, potężną obdarzony wola, może całą rzeszę zmusić do posłuchu, ale dlatego tylko, ponieważ jest poparty przesądem rzeszy, uznającej jego bezwzględna przewagę; i on ulegnie jednak, gdy z całym rodzajem ludzkim walczyć zechce, a zwycięży, licząc się roztropnie z wola milionów, ulegając jej niejednokrotnie. Wola wszystkich ludzi tworzy wał niepokonany zgoła dokoła woli każdego z nich, mur potężniejszy, bardziej nieruchomy od łańcucha górskiego, moc niepokonana, większa od bryły niezmiernej materyjalnego świata, a wysili się daremnie ten, ktoby chciał rodzaj ludzki zmusić, aby nie dostrzegał rzeczywistości, aby wierzył że równina rozciąga się tam, gdzie się Tatry wznoszą, że żadne słońce nie świeci na niebie. Kto ze ślepą namiętnością zechce swoją osobista wola ludzkości narzucić, tego ludzkość na proch zetrze. Do panowania nad ludźmi, podobnie jak do panowania nad przyrodą, potrzeba woli rozumnej, woli oświeconej, popartej i kierowanej przez wiedzę, przez znajomość natury ludzkiej i natury każdego człowieka z osobna, tudzież okoliczności, w których się znajduje, przez znajomość dziejów natury społeczeństw, ich położenia, wyobrażeń i uczuć, które niemi władną. Dopiero ten, który to wszystko zna, który się do tego wszystkiego zastosuje, zdoła swoją wola, tak w życiu prywatnem, jak w życiu publicznem, choć w części przeprowadzić. Ta wiedza jest nierównie trudniejsza do nabycia od wiedzy przyrodniczej. Bryła materyi pewnego gatunku zachowa się zawsze tak,

jak się raz w podobnych okolicznościach zachowała, a człowiek obdarzony wolą, wszelkie może pokrzyżować rachuby. Wiedza wobec przyrody wszechmocna, tam przynajmniej dokąd sięga, wszechmocną wobec ludzi nigdy niebędzie. Przebiegłość oparta na znajomości natury ludzkiej, spotka się na każdym kroku z podobną przebiegłością, która jej rachuby pokrzyżuje, a doświadczenie życia sprawia wreszcie, że każdy wie, iż tylko wtedy doprowadzi swoją łódkę do jakiegoś pożądanego portu, a nie rozbije się mizernie o brzeg skalisty, jeśli się da ponieść przez prąd wyobrażeń, przekonań i pożądań ogólnych społeczeństwa swego, sterując tylko niekiedy wiosłem osobistej woli, opartej na rozumnym doświadczeniu.

Żeński syknął przez zęby, przytłumionym głosem: — Tak, to dobra rada; nie żyć, aby żyć; nie chcieć, aby móżdż chcieć! Istotnie wyborna rada! W tem szukać dla osobistości swojej, dla woli swojej, ratunku, że się duch twórczy a nieśmiertelny da unosić przez mnóstwo głupie tam, dokąd to mnóstwo chce. — Wiem, innej rady niema! Czy na to zezwolę, czy się temu oprę, mnóstwo mnie porwie tam, gdzie tego nie pragnę. — Cóż ja mogę? Tyle co człowiek, który się topi! Wiem o tem; wiem że się łudzę, że się okłamuję, kiedy myślę, że moja wola oprze się światu. Jeden tylko dla mnie pozostaje ratunek, jeśli iskrę ducha nieśmiertelnego, jeśli cząstkę wrodzonej wszechmocy chcę uratować. Mogą mnie ludzie ponieść gdzie sami zechcą; do tego jednego nie mogą zmusić, abym tam chciał iść, gdzie mnie poniosą, abym się zgodził na ich głupią wolę. W tem okażę moc wyższą od mocy świata, że będę nienawidził, że będę gardził.

— Nie, panie Żeński! — rzekł Koziełło z naciskiem — nienawiścią i wzgardą dowiedziesz tylko sobie swojej niemocy; nie wzmożesz tem swojej woli, nie spotęgujesz swojej istoty! Skurczysz owszem, sam na siebie nałożysz okowy potępieńca. Tylko miłość wznaga potęgę woli człowieczej; nienawiść ją osłabia. Kto kocha, pożąda, chce jakiś cel osiągnąć, działa, zdobywa. Kto nienawidzi, unika tylko, uchodzi, z góry przyznaje się do tego, że pokonany. Treścią wszelkiej woli rozumne pożądanie szczęścia, a szczęście daje tylko miłość. Nienawiść, będąc sama w sobie cierpieniem, jest w istocie swojej pogromem. Słaby jesteś sam, nawet pośród przyrody, aż dopiero wobec ludzi, a samotnikiem jest samolub pozbawiony miłości. Nienawidzący, gorszy i głupszy od samoluba, wzywa świat cały do walki z sobą i przez przemoc zgruchotanym być musi. Wola dwóch zgodna znaczy więcej od woli jednego, a nierównie więcej znaczy zgodna wola

mnóstwa. Miłość nie jest niczem, jak zgodnym nastrojem dusz osobiście różnych, to wspólne pożądanja i trwogi, to wspólna wola. Chcąc być potężnym, chcąc zwyciężyć, ukochaj, nietylko cel wyznaczony sobie, ale ludzi, jaknajliczniejszych ludzi. A gdy twoja wola zrośnie się z wolą mnogiej rzeszy, narodu, ludzkości, będzie olbrzymem zdolnym zwyciężać. Nie mów, że wola drugich ludzi, że wola rzeszy mnogich—jest głupia, krzywa, godna potępienia. Nim osądzisz, poznaj; i tu kieruj się świadomym rozumem, nabywaj wiedzę, abyś posiadał ludzką wolę, w miejsce ślepych żądz i wstrętów zwierzęcych! Gdy poznasz, dostrzeżesz, że wszystkie wole ludzkie dążą do tego samego celu, do którego dąży twoja wola, że są zarówno godne poszanowania i miłości, bo każdej woli celem bliższym zwycięstwo, dalszym wszechmoc doskonała. Więc wspólnie dążą, do wspólnego celu, kochając wszystkich rozumnie, dopomagając wszystkim, aby się do celu, do doskonałości zbliżyli. Będąc rozumnym, będziesz wiedział, że mają być w całej pełni ludźmi ziemskimi, aby mózdz sięgać po doskonałość duchową. Pełń ludzkiego żywota na ziemi jest środkiem, a strasznie błądzi ten, który wraz z mnóstwem ludzi nowożytnych myśli, że zadanie ludzkości będzie spełnione, skoro szczęście zmysłowe, przyrodzone będzie ludziom w pełnej mierze zapewnione; gorzej jeszcze błądzi ten, kto przyrodzoną nawet istotę człowieka zapoznając, myśli, że człowiek pozbawiony narodu, rodziny i domu będzie szczęśliwy, jak będzie syty. Ale i ten także, któremuby się zdawało, że może ludzkości trapionej przez zmysłowe i ziemskie nędzy wskazać skutecznie drogę, wiodącą do doskonałości woli, myli się. Przeto kto kocha, stara się zapewnić temu kogo kocha szczęście przyrodzone w narodzie, w rodzinie i w domu, a prócz tego sytość i zdrowie; szanuje jego instynkta przyrodzone, ale uczy go, że jest człowiekiem naprawdę wtedy dopiero, kiedy wolną wolę posiada, że wolna wola powstaje wtedy dopiero, kiedy się rozumem opanuje żądze, kiedy rozum żądzami kieruje. Więc kto kocha, pragnie wzrostu rozumu, wzmoczenia się wiedzy i oświaty, które skoro będą prawdziwemi, wskażą wszystkim miłość powszechną, jako jedyną drogę wiodącą do celu ostatecznego a wspólnego, do woli doskonałej.

Eolion zaśmiał się złym śmiechem; brał go niepokój jakiś nad wyraz bolesny. Już nie panował nad swoim głosem, krzyczał już prawie, kiedy zawołał: — Sliczne usłyszałem kazanie człowieka tak szczęśliwego, że nędzy świata nie widzi! — Pan mi wskazujesz wszechmiłość, jako drogę do szczęścia, jako drogę wiodącą do nieba. Chybaś pan tego nie próbował lekarstwa!

Próbowałem go zażyć, a zażywszy byłem w piekle. Wpierw swoją tylko dźwigałem nędzę; pogłębiwszy się w myśli o tem, co wszyscy cierpią, jak się wszyscy nienawidzą, jak się pożerają nawzajem, jak się krwawią, jak rozpaczają, uczułem dopiero, że jestem w piekle, czułem że niema krzyku, któryby mógł wyrazić rozpacz nagromadzoną we mnie, zaczerpniętą z niezliczonych cierpień, które się spiętrzyły, tworząc razem tron ogromny szatana. Więc nie chcąc zwaryować wśród męczarni, strąsam z siebie wszechmiłość okropną. Lepsze stokroć samolubstwo, które samotnem cierpieniem bywa udręczone, najlepszą pycha, która nie uznaje, żeby inni ludzie istnieli inaczej, jak chyba narzędzia moje, przezemnie wymarzone, ku mojej chwale!

Smutnym głosem odezwał się Koziełło: — Nie myślę się z panem równać; nie jestem poetą, daleki jestem od tego, abym sobie miał przypisywać moce geniuszu; ale znowu tak ograniczonym nie jestem, abym zapoznawał złe, jakie się wielmożnie po świecie rozkłada, i nie jestem tak dalece pozbawiony wyobraźni i rzutkiej woli, abym się nie porywał do walki daremnej ze złem przemożnem. Nie jestem tak szczęśliwy, abym obcego cierpienia nie mógł rozumieć; owszem, cierpiałem wiele w swoim życiu, a wiem, że cierpiałem przeważnie ze swojej winy, i wskutek win własnych nie wiem wcale, czy zdołam kiedy być po ludzku szczęśliwym, myślę owszem, że sam raz na zawsze odsądził od prawa do tego najniezbędniejszego na ziemi szczęścia, które daje życie wśród własnej rodziny, przy boku żony. Wiem tedy, że nieszczęście, to dziecko grzechu. Gdy w świat patrzę szeroki a pełny mnogich rzeczy, widzę że miara cierpienia, przyrodzonego przynajmniej i zmysłowego, nie bywa wcale miarą winy, że człowiek nikczemny cieszy się nieraz pomyślnością widną dokoła i pobudzającą do zazdrości, a człowiek cnotliwy cierpi okropnie. Chciałem się chwilami tem pocieszyć, że szczęście duchowe bywa niechybną nagrodą cnoty, ale musiałem uznać, że miara cierpień przechodzi częstokroć siły najdzielniejszego człowieka i że rozpacza wreszcie, kiedy niegodziwi jemu urągają, że nareszcie z bólu oszaleje. Wiem o tem wszystkiem i wiedząc o tem buntowałem się w duchu przeciw konieczności. Złorzeczyłem sobie, złorzeczyłem światu, i stawałem się czemś, co już człowiekiem pełna nie było. Traciłem swoją jaźń w miarę tego, jak we mnie upadała, jak nikczemniała wola, jak się stawała niezdolną do żadnego wysiłku. Zrozumiałem wreszcie, że to, co mi się jedyną wydawało prawdą, prawdą być nie mogło, skoro mi wolę zabijało. — Bo pytam się pana i proszę o odpowiedź, czem prawda? — Nie dziwię

się, że odpowiedzi nie usłyszę. Nie dał jej Piłat Chrystusowi, nie dała jej cała starożytna i nowożytna filozofia, gdy sobie pytanie w takim stawiała oderwaniu.

Ale spytajmy się poprostu, czem jest prawda o jakiegokolwiek poszczególnej rzeczy, a dowiemy się wnet, że poznajemy prawdę o niej, gdy się nauczymy tego, jak mamy się do niej zastosować, aby nie doznać zawodu, aby wolę swoją spełnić. Skoro zaś prawdą bywa tylko to, co wzmaga wolę, prawdą nie może być przekonanie, że świat jest zły nieubłagane, rdzennie niesprawiedliwy, skoro takie przekonanie wolę zupełnie druzgocze. Ta znajomość świata, wiedza owa, którą człowiek osiągnąć może, każe podziwiać przemądrą doskonałość, z którą bezrozumną naturę urządził rozum — nie jej, i nie nasz, a jakiś wszechmocny, ale nie odkrywa nam sprawiedliwości w świecie ludzi, obdarzonych duchem świadomym, a zatem w świecie istot o tyle doskonalszych od przyrody, że wobec nich przyroda wydaje się niczem. W świecie ducha, w świecie ludzkim widzimy lament okropny i dostrzegamy wszechmoc zwycięskich krzywdzicieli, więc na mocy ziemskiego doświadczenia i wiedzy tem doświadczeniem nabytej, potępiamy wszechstworzenie, jako rzecz złą, i opuszczamy ręce zrozpaczeni. Prawda poznana staje się nieprawdą, kłamstwem, które nas w obłąd wprowadza samobójczy. Ale, pytam się, czyśmy wszechwiedni? I odpowiedź jest oczywista. Wiemy, że zaledwo coś wiedzieć zaczynamy, że poza iskrą naszej wiedzy, nabytej doświadczeniem, rozciąga się nieskończona ciemność tajemnicy, której żadne zmysłowe doświadczenie przynigdy przedrzeć nie zdoła. Spróbowałem tedy wierzyć, że poza tem doświadczeniem jest świat inny, którego żadne doświadczenie nam objawić nie zdoła, zgodny z tem, czego matka uczyła, zgodny z tem, w co wierzą prostytutki. Skorom spróbował w to wierzyć, dostrzegłem, że człowiek rozumny w to wierzyć musi, jeśli we własne wierzy istnienie. Istnieje przez to tylko, że dążę do doskonałości, i doskonałość, jako ideał, do którego dążę, sama jedna mnie pobudziła do bytu. Wszystko, co żyje, wszystko, co istnieje, istnieje podobnież tem, że dążę do doskonałości, wedle postaci swej i wedle rodzaju swego, a postaci i rodzaje powstawały i przemijały wśród świata, który istniał i istnieje dążeniem do wydania ducha ludzkiego, pożądanego doskonałości, którą narody Bogiem nazwały.

Ideał ten najwyższy istnieje nietylko dla istot świadomych, które sobie ideał jakiś mniej więcej niedoleżanie wyobrazić mogą, nie jest ich urojeniem, ale mocą zaświatową, unoszącą się ponad czasem i przestrzenią, a poruszającą wszystkim przez pęd od sie-

bie, stwarzający świat i czasy, i przestrzenie, aby wszelki byt przestrzenny i doczesny do Boga dążyć mógł, spełniając tem samem to, co wszechmocną wola bożą nazywamy. Bóg jest, i Bóg jest doskonały, bo nie jest niczem innym, tylko doskonałością, przez wszechlistnienie pożądaną. Doskonałość, do której dążymy, to wszechwiedza, wszechmoc i wszechmiłość. Wszechświat zatem musi być wyrazem woli bożej, a wola boża najwyższego może tylko dobra żądać. Świat mi się złym i krzywym wydaje, bom głupi, a tak zuchwały, iż śmiem sądzić całość, której część ledwo poznałem, a winienem wierzyć, że poza życiem zmysłowym jest inne życie, w którym doskonałość dzieła bożego stanie się oczywistą. Losy ludzi i losy narodów wydają mi się niesprawiedliwymi, ale to dlatego, że nietylko pozaziemskiej, ale nawet ziemskiej nie znam przyszłości. Powinienem czynić, i to z największym wysiłkiem, to co rozum i sumienie nakazują, bo inaczej wyrzekłbym się rozumu, i woli, i miłości, i spadłbym poniżej człowieczeństwa, popadłszy w zło najwyższe, którym jest zaparcie się woli Bożej, iszczącej się w mojej duszy, ale powinienem pamiętać, że mam rozum ograniczony. Wola moja jest dobrą, skoro jest wyrazem mojego rozumu i mojego sumienia, a jednak spełnienie mojej woli, dokonanie mojego zamiaru, może być rzeczą złą, i to, co mnie się wydaje nieszczęściem, może być szczęściem, a upragnione przezemnie powodzenie największem nieszczęściem być może. Więc trzeba spełniać obowiązek, ufać Opatrzności, zwątpienia i rozpaczy nigdy do siebie niedopuszczać. Byłem złamany i bezwolny, zanim te prawdy poznałem, ale skoro już je poznałem, podniosłem się zupełnie, do czynów zdolny, i dzielny, i spokojny, i nie narzekam nawet na to, że osobistego, przyrodzonego szczęścia się nie spodziewam, bo z własnej winy straciłem do niego prawo. A to, że poznanie tych prawd przywróciło mi moc i skuteczność woli, dowiodło, że te prawdy są prawdami, poparłszy je doświadczeniem.

Na twarzy Żeńskiego drgały mięśnie przez cały czas ostatniej przemowy Kozieli; nabrał wyrazu ironicznej wzgardy połączonej z rozpaczą; piękna jego twarz stawała się chwilami ohydną, skutkiem tego była wyrazu wprost piekielnego. Patrząc na niego, myślałem sobie, że tak powinien malarz przedstawić archanioła wielkiego, przez pychę strąconego do piekła, którego wpiernie było, którego ta pycha dopiero stworzyła. Kiedy Litwin skończył mówić, przybrała twarz poety postać zwyczajną, a odpowiedział głosem suchym:

— Receptę szczęścia pisze lekarz, a zaleca upodlenie, adorację woli, której nie rozumiem. Komu to w smak, niech będzie sługą. Ja nie chcę być bezwolnym aniołem, śpiewającym hymny pochwalne; wolę być pokonanym bogiem; wolę cierpieć, albo zapomnieć. Samobójstwa nie popełnię, bo nie jestem tchórzem, i nie wiem, czy można ducha nieśmiertelnego przekazać nicości. Ale mam środki, które sprawiają zapomnienie, albo przenoszą w świat rojeń rozkosznych, w świat, w którym mocniejszego od siebie nie spotkam Boga. Na razie pójdę na wicher. Będę z nim walczył i w tej walce zapomnę o wszystkim.

Wymówiwszy te słowa, wyszedł Eolion z pokoju.

Panna Celina, która się przysłuchiwała roznowiwie, wpatrując się dużemi czarnemi oczyma to w Koziełkę, to w Żeńskiego, spytała teraz głosem, pełnym niepokoju: — Co się panu Żeńskiemu stało? Nie wiem dlaczego, ale boję się o niego; przejął mnie na wskroś trwogą.

Koziełko odpowiedział poważnie: — Ta trwoga była słuszna, bo pani spojrzawsz w przepaść, która się rozwarła przed cywilizowaną ludzkością dni naszych i pochłonać ją gotowa. U brzegu tej przepaści przebywałem długo, a miałem straszny zawrót głowy, który mnie kusił, abym do niej skoczył na wieczne zatracenie. Wygoda doskonałej nowożytnej administracji, która w zapobiegliwości swojej nie tylko broni człowieka przed wszelką napaścią, ale nie dopuszcza, aby sam sobie radził, gdzie chodzi o co innego, niż o sprawy jaknajbardziej prywatne, wytworzyła u ludzi samolubstwo drobnostkowe, ślepe na wszystko, co wielkie, a dalsze, zapatrzone w każdy szczegół osobistego życia, skłonne do zmysłowego materialistycznego pojęcia wszechrzeczy. Wynalazki techniczne oderwały jednostkę od gniazda, z którego wyszła, zamieniły ją we włączającego się po bezmiarach ziemi; publicystyka sprawiła, że każdemu się zdaje, jakoby miał zdanie o rzeczach, których nierozumie, a wygody miejskie uczyniły rzeczami zbędnymi dom własny i rodzinę. Wykształceni, pozbawieni zmysłu dla prawdy narzucającej się ludziom, którzy żyją i waleczą w warunkach naturalniejszych i w bezpośredniem zetknięciu z przyrodą, szukali zrazu zabawy w dyskusji o wszystkim, co niegdyś żadnej nie ulegało dyskusji, lecz było niezachwianą podstawą społeczeństw; przyzwyczajeni do samolubnego każdej sprawy rozpatrywania, niecierpiwili się każdą prawdą, która ich drobne samolubstwo krępowała, a skoro w interesach prywatnych, które dziś jedynie życiem praktycznem mianujemy, a zwłaszcza przy doskonalszych robotach technicznych, będących chlubą naszej



cywilizacyi, zwracamy uwagę na to tylko, co namacalne, łatwo przyszło odrzucić wszystkie prawdy, które się ręką ująć nie dają, podstawy życia społecznego, przekazania, których dotrzymanie samo jedno osobiste daje szczęście ogłosić mrzonkami przestarzalemi. Prawdą jedynie zbawczą jest to, że człowiek wtedy tylko nie cierpi, kiedy o sobie nie myśli, wtedy szczęście znajdzie, kiedy go nie szuka. My zaś nowożytni w śmiertelnym pozostajemy błędzie, zapatrzeni jedynie w siebie, odnosząc wszystko do siebie samych i do siebie tylko. Społeczeństwo się rozprzega, nikczemnieje przez działanie nieskażonych, osamotnionych egoizmów, a upadek konieczny grozi cywilizacyi, bo cywilizacją nie jest nic innego, jak tylko uspołecznienie człowieka, poświęcenie własnego samolubstwa dla dobra powszechnego, dla celów wspólnych, a koniecznych. Im człowiek zdolniejszy, a w sobie zapatrzony, tem wyraźniej widzi, że wszystko jemu, jego samotnej woli przeciwnem bywa. Więc wszystko potępia i wszystko przeklina, i wszystko go tak boli, iż życie staje mu się nieznośnem. Młodzieniec szuka przez chwilę pociechy w pozie Prometeusza, wyzywającego Zewsa w zapasy, szatana mierzącego się z wszechmocą Bożą. Chce być w piekle pysznego przeczenia, a mając to, czego chce, cierpi niewysłowienie. Kończy się na tem, że słabsi, a mierni, toną w bagnie powszechnej nikczemności, dzielni szukają odurzenia w chorowitem rozpasaniu, albo tłumią w sobie myśl nieznośną alkoholem, morfiną, lub najniebezpieczniejszem pusczeniem wodzy żądom bezmyślnym, rojącem obrazy senne, niewyraźne, odurzające, któremi najnowsza sztuka i najnowsza literatura zdobywają sobie względy dekadencckich pokoleń. Pijany pychą i wyobraźnią młodzieniec zbyt często kończy życie samobójstwem wyraźnem, albo chorobą śmiertelną, sprowadzoną naumyślnie. Patrząc na Eoliona, drżę z trwogi na myśl, że i jego taki koniec czeka.

### VIII.

Z woli bożej wyłobitł Dunajec przed wiekami Kościeliską dolinę, przeorywając wodą, przejrzystą a spienioną, wapienny płaszcz, którym przedwieczne morza otuliły stopy Tatr granitowych, i z woli bożej tworzył Dunajec, sługa boży, pozbawiony myśli i świadomości, piękność niepokalaną, a pomagały mu w robocie chmury, które spuszczały deszcz na wapienną opokę i ro-

dziły źródła sączące się przez jej wnętrze, pomagały źródła ciche a pokorne, i dumne drzewa, które konarami swojemi skałę stroiły, a korzeniami ją kruszyły powoli. Stańto wśród bezludzia dzieło, piękniejsze od gmachów ludzkich, urzeczywistniających pomysły geniuszu. Z obydwu stron szumnej, rwącej rzeki stanął szereg tunów wspaniałych, zamków zaklętych, ujętych matematycznym likiem i ładem, a tak ogromnych i majestatycznych, że serce bije radośnie, kiedy na nie spojrzysz. Na dachu tych kościołów i tych zamczysk stanęły kolosy z kamienia: tu rycerz, tam panna, wiecznie nieruchoma, tam wreszcie sowa olbrzymia, roztwierająca skrzydła do lotu — posągi, których rzeźbiarzem była woda deszczowa. Do wnętrza gmachów zaczarowanych wiodły podziemne krużganki, niedostępne jaskinie, pełne mrocznej tajemnicy. Tu padała purpura zachodzącego albo wschodzącego słońca na pionowe, nagie, białe, niebotyczne mury skalne, niecąc wśród doliny fantastyczne, znikome pożary; tam rosła szarotka na kamieniu, zwisłym nad zawrotną przepaścią, albo szumiął las, nietknięty ludzką siekierą, a Dunajec szklął się i pędził i szumiął wśród głazów granitowych i różnorodnej zieleni. Tylko nie było rozumnego oka, któreby te cuda oglądało, nie było ludzkiej duszy, któraby się niemi radowała. Przez dolinę przebiegła czasem kozica i olbrzymim skokiem wysadziła się na szczyt nadbrzeżnej skały; ponad doliną przeleciał orzeł, władca powietrza, który poleciał, a skrzydłem nie drgnie; po Dunajcu skakał pstrąg srebrzysty; ale nikt nie odczuł, że to piękne, a piękność owa przez wieki całe nie istniała dla nikogo; było tak, jakby jej nie było.

Nastali potem ludzie prości, którzy tu gonili zwierza, łowili ryby, paśli trzodę; czuli tu czasem radość jakąś świętą, ale nie wiedzieli nawet, że się pięknnością radują. — Później o wiele — od stu lat conajwięcej — trafiało się, że tu zabłądził jakiś piechór śmiały, który się w mieście oderwał od książki, aby pożyć z naturą i z Bogiem. Z trudem, z narażeniem zdrowia, brnąc przez rwące nurty Dunajca, przerzynające ciągle dolinę, podziwiał piękność dziewiczą, jakiej my już nie zastaniemy — i on to rozgłosił je po szerokim świecie, że nasze Tatry należą do najpiękniejszych rzeczy pod słońcem. Dziś tłumy gości zakopańskich nawiedzają co roku, co dzień prawie Kościeliską dolinę; — wielu idzie tam dlatego tylko, że tak wypada — dla przechadzki, [dla towarzystwa. Wielu jednak podziwia i rozumie piękność, która teraz dopiero jest naprawdę. Bo rzeczy martwe mają przymioty, które mogą w nas podziw wzbudzić, i dlatego nazywają się pię-

knemi, ale uczucie piękna — a zatem piękność żywa, powstaje tylko w świadomej duszy, która podziwia.

Z gości tych, nawiedzających Kościeliską dolinę, wielu narzeka, że to przechadzka niedość wygodna, nie dość cywilizowana, przykrzy im się jazda wózkami góralskimi po złej, kamienistej drodze z Zakopanego do ujścia doliny; chcieliby, aby tramwaj elektryczny całą dolinę przecinał, aby wszędzie stały nad Dunajcem kawiarnie i traktyernie, w którychby koncertowa muzyka przygrywała; chcieliby, aby nie było już wcale dziewiczej piękności, na którą ich dusza jest zgoła nieczuła, lecz by było to miejsce pospolitej zabawy. Innych znów razi to już, że w kilku miejscach pobudowano mosty, pokrywające nurty bystrego Dunajca, gościniec przeprowadzono przez dolinę. Tym innym przyznam słusność, bo niezawodnie dolina straciła część swojej piękności, tem samem, że się dla wszystkich stała przystępną. I z tą sprzecznością spotkasz się zawsze. Poeta będzie żałował, że obraz i posąg przeniesiono do wielkomiejskiego muzeum; zawoła, że stokroć piękniejszym byłby posąg, gdyby stał dotąd wśród starożytnej ruiny, obraz nierównie silniej przemawiał do duszy w ustronnym wiejskim kościółku, dla którego był przeznaczony pierwotnie. Zapomina o tem, że gdyby tak było, jak tego pragnie, ani on, ani nikt posągu i obrazu nie oglądałby nigdy, nie trafiłby do miejsca, przechowującego zapomniane arcydzieła, któreby zatem właściwie dla ludzi nie istniało — może oddawna nie istniało wcale.

I cóż po greckim marmurowym bogu, stojącym we framudze ciemnej, zasypanej gruzem, pokrytej powojem? Cóż po bogu, pokrytym pajęczyną, u którego ramion zwieszają się do snu nietoperze? I cóż po obrazie precudnego pędzla, pokrytym złotą koszulką, w którą go prostacze otuliło nabożeństwo, i okopconym przez świece? To samo, co po górskiej dolinie, do której nie masz dla ludzi dostępu.

Grzechem są koleje, wiodące na śnieżne szczyty Alp. Nie okazują ich piękności tłumom, ale tę piękność niszczą, bo zależała ona od grozy nie przystępnej — a któż w nią uwierzy, kiedy kolej powiezie codziennie krocie gapiów na Jungfrau albo na Montblanc, i kiedy gapie tam u szczytu zobaczą śnieg, a nie zobaczą już pustynnego bezludzia na wysokościach? Taka kolej, to popularny wykład filozofii Platona dla pensyonarek, albo improwizacja Mickiewicza przełożona na polską prozę — dla ludu; to geniusz, któremu każą bawić towarzystwo rozmową dowcipną, albo prowadzić księgi kupieckie, to płaskie piękności zmarnowanie. Ale dobrze czyni ten, kto poprowadzi kolej aż tam, skąd wszyscy

mogą majestat szczytów oglądać — chociaż już i przez to piękność okolicy jakiś mały poniesie uszczerbek; — bo istota piękności gór pozostanie nienaruszoną, a ta piękność teraz dopiero w tysiącznych piersiach ożyje, budząc podziw. Trzeba także, żeby każdy człowiek niósł dary swego ducha na pożytek ludzi, aby talentu swego nie zakopywał. — Inaczej ten talent nic nie wart — i rzecz można, że go nie masz. Jeśli talent ma istnieć na prawdę, jeśli działać, jeśli nie ma być zasypany gruzem i pokryty pajęczyną, musi się przystosować do ludzi, musi się stać dostępnym, i musi przytem coś ze swojej piękności, z doskonałości swojej dobrowolnie poświęcić. Każdą rzecz piękną, jeśli ma być piękna na prawdę, musisz trochę zeszpecić, o tyle, o ile tego potrzeba koniecznie, aby się stała częścią, aby się stała własnością żyjącego świata.

Minęło kilka dni od rozmowy z Eolionem, kiedym w słoneczny poranek, samowtór z Koziellą, dolinę Kościeliską odwiedził. Zmieniło się przez ten czas znacznie towarzystwo w Skoczyskach, wyjechali z Zakopanego najpierw pani d'Estrée i Żeński, z którym ekscentryczna markiza nagle zażyłą zawiązała znajomość, a nazajutrz Borski; miejsce ich zajęli nowi goście, dla niniejszej opowieści zupełnie obojętni. Ważniejszym mi się to wydało, że z kilku rozmów z panią Zakliczyną nabyłem przekonania, iż przypatrzwszy się uważnie Kozielle, chętnieby mu teraz swoją córkę powierzyła. Nie znałem jednak zamiarów Litwina i to mnie niepokoiło. Pragnąłem gorąco nawiązać rozmowę, przerwana niegdyś na tarasie pensyi, przez panią Leokadyę, i to w chwili, w której zeznania Kozielle były najbardziej zajmujące, zdawały się wprost zmierzać do sprawy, która mnie teraz gorąco już obchodziła. Być może, iż się wybrałem teraz do doliny Kościeliskiej, w towarzystwie pana Antoniego, głównie w tej nadziei, że usłyszę tych zeznań dokończenie.

Siedzieliśmy obaj na trawie u stóp białej, przepaścistej skały, w miejscu, gdzie czerniał wśród ściany z wapienia otwór ciasny jaskini. Nieopodal widniała na opoche płaskorzeźba, wyobrażająca uśpionego rycerza, a powiadają, że tu rzeźbiarz dopomógł tylko naturze, która już wpieryw niewyraźną wytworzyła podobiznę. Ten rycerz — to Chrobry, a ta jaskinia to miejsce w podaniu sławne. Nikt dziś nie powie tego na pewne, ile w głośnym podaniu jest pierwotnej tradycyi ludowej, ile przyczynili do niej wykształceni goście, którzy tę dolinę nawiedzają. Dość, że wszyscy wiedzą dziś, iż jest to jaskinia, w której śpią zakłęci rycerze Chrobrego, oczekując, aż ich król sam się pierwszy zbudzi i zbroj-

ny orszak na wojnę wyprowadzi, aby zgotować narodowi dolę nieprzerwanego odtąd szczęścia.

Zastanawialiśmy się nad znaczeniem podania. Koziełło rzekł: — Dla mnie rzecz jasna. Rycerze Chrobrego się zbudzą, dadzą nam przyszłość słoneczną w chwili, w której staniemy się do nich podobni. Trzeba nam cnoty nabyć, które im niegdyś zapewniały zwycięstwo. Wyobraź sobie pan żywo tę chwilę! Murry skalne zatrząsą się do koła; z głębi opoki usłyszemy najpierw wołanie surmy, potem chrzęst oręża, rżenie koni, szczęk zbroi, tentent kopyt. Serce w nas będzie biło, jak młot, z grozy i radośnego oczekiwania. Wreszcie skała rozewrze się z hukiem tysiąca piorunów, a ciasny otwór jaskini zamieni się w bramę przestronną, przez którą wyjadą konni na słońce, najpierw król z koroną na głowie, w złotej zbroicy o skrzydłach orlich, za nim złoty wojewoda w srebrzystym pancerzu, okuty złotemi gwoździemi, a wreszcie okute w żelazo, konne, skrzydlate wojsko. Spojrzą na słońce, którego nie widzieli od wieków, ale radość zarysuje się tylko na twarzy, żadnym się ruchem niesfornym nie zdradzi. Na znak dany, szykiem żelaznym rozstawią się po dolinie, jak niegdyś na zamkowym dziedzińcu stawali w królewskim Krakowie; na znak dany zsiądą z koni i, jak jeden mąż, ukłkną z królem na czele, przeżegnają się tysiącem prawic, i jak jeden mąż zaśpiewają hymn Boga Rodzicy. Przyroda ta sama, co niegdyś, będzie słuchała tej samej pieśni, która przed tysiącem lat rozbrzmiewała w przededniu karnie podjętych trudów i zwycięstw, będących nagrodą czynów zgodnych, tak jak zgodnemi bywają głosy, które się w harmonijny chór pieśni zlewają. Skończywszy modlitwę znów dosiędą koni i czekać będą rozkazu, wiedząc, że rozkaz od Chrobrego będzie wyrazem największej miłości, najwyższego rozumu i tradycyi, którą stali przodkowie. My się tym rycerzom wydamy dziwactwem jakimś ludzkim, jednak żaden nas nie zagadnie ciekawie, chyba, że król wojewodzie każe nas rozinową wybadać. Pójdą razem prosto tam, dokąd ich powiedzie obowiązek, a żaden z nich, nie wyjmując króla, nie będzie myślał o chwale osobistej, ale będą czynili to, czego trzeba. Nikt naprzód się nie wyrwie, nikt z tyłu się nie zostanie, nikt nie będzie swego rozumu nad wspólny cel przekładał. Będą działali jak jeden mąż, bez wahania się i mędrkowania, i przeto zwyciężą znów, jak niegdyś, przed tysiącem lat, zwyciężali.

— Więc — przerwałem — Pan sądzisz, że wtedy zmartwychwstaną Bolesławowi rycerze, i wtedy zwyciężą, kiedy się u nas dawne ich cnoty odnowią, a miejsce wygórowanego indywiduali-

zmu, jaki nasz naród znamionuje, zajmie karność, podobna do pruskiej?

— Do pruskiej? — zawołał Litwin — Nie! inna karność być u nas musi. Tamta, to karność mechaniczna, płynąca ze strachu i żądzy osobistych korzyści, a tu chodzi o jedność, wynikłą z prostoty serca i z takiej miłości dla tego, co wszyscy cnotą mienia, że wobec tej miłości każdy się wyprze łakomstwa, pychy i próżności, że samolubne namiętności nie będą się nawet śmiały w nich odezwać. Wyobraź sobie pan, że tysiąc, albo, broń Boże, dziesięć tysięcy ludzi nowożytnych, ujętych jakimś przemożnem zaklęciem, uśnie na dziesięć wieków we wnętrzościach ziemi, że ich drugie zaklęcie po tysiącu leciach przebudzi, na jasny, boży świat wyprowadzi. Tych tysiąc, czy dziesięć tysięcy mogą tak samo być Niemcami, a nawet rodowitymi Brandenburczykami, jak Polakami, albo jakąkolwiek odmianą ludzi cywilizowanych po europejsku. Jeśli wpierv ze strachu ulegali dyscyplinie, strach ten przeninie po tak nadzwyczajnej przygodzie, a wszyscy będą tego świadomi, że po tysiącu leciach nie ma już owej organizacyi, której wpierv słuchali, wcale nie z miłości i przekonania, ale z bojaźni i łakomstwa. Dobra opinja o sobie wzmoże się jeszcze u każdego z tych zarozumiałców, bo jakżeż nie podziwiać kogoś, któremu się coś tak cudownego wydarzyło? Skoro tedy tylko z jaskini wyjdą, zaczną się najprzód okrótnie dziwić temu, co się stało. Mało który się pomodli, gestykulować będą wszyscy, jak waryaci. Nikogo nie zechcą słuchać; niektórzy, doktrynerzy, będą im doradzali, aby większością głosów obrali sobie prezesa, jego zastępcę, i koniecznie kilku sekreterzy; ale ci przemogą, którzy będą osobistą niepodległość nad wszelką organizację przekładali. W nieskończoność będą dyskutowali nad tem, jak można wytłómaczyć owo nadzwyczajne zaklęcie i nadzwyczajne przebudzenie. Rozbiją się na kupki, a każda kupka, szukając szczęścia na własną rękę, jeszcze będzie w niezgodzie chodziła po świecie, dziwiąc się wszystkiemu, obmacując, obwąchując wszystko, burząc, co się zburzyć da, dokuczając ustawicznie ludziom, którzy za tysiąc lat żyć będą. Skończy się na tem, że przyszłe pokolenia, albo pozabijają tych zmartwychwstańców, albo w najlepszym razie pozamykają ich do menażeryi jakiejś, i będą potomnym pokazywali te nadzwyczajne okazy zarozumiałej głupoty.

To, co Koziełło mówił, wydało mi się zabawnem, i nie mogłem stłumić uśmiechu. Zdawało mi się jednak, że usłyszałem paradoks, w gruncie rzeczy bolesny i niesprawiedliwy. Podejmując się tedy obrony ludzi współczesnych, rzekłem: — Bawisz się

pan w satyrę, ale sędzę, że sam nie zupełnie w tę satyrę wierzysz, bo wątpię, abyś wyrzeczenie się cywilizacji europejskiej doradzał. Na toby wyszło wyrzucenie się z ciekawości, zatracenie indywidualizmu, wyrzeczenie się własnego zdania, które się zdajesz zalecać. Niespokojny duch nowożytnego Europejczyka unieszczęśliwia go może osobiście, ale wytwarza moc zbiorową, wynikłą z badań indywidualnych i z intelektualnej swobody. Europejczycy, którzy wylądują w dalekiej części świata, wśród egzotycznego społeczeństwa i ekscentrycznej cywilizacji, nie wiele się różnią od tych, którzyby się po tysiącletnim śnie, wśród odmiennego ze wszystkim świata, przebudzili. Jednak nie widzę, aby ich autochtony krain dalekich do klatek zamykali i po jarmarkach obwozili; przeciwnie, Europejczycy, mimo wad przez pana potępianych, a może właśnie z powodu tych wad, stają się panami krajów, w których się indywidualizm ludzki nie zdołał rozwinąć, w których ludzie są podobni do wymarzonych przez pana Bolesławowych rycerzy.

Litwin wzdrygnął się cały; wyraz wstrętu przeszedł mu po twarzy; potem zawołał: — Nie gadaj mi pan o tem; widziałem ja tych białych dyablików przy robocie! Przyjedzie kupczyk z Europy i kala wszystkie świętości narodu, poniewiera ludźmi tysiącrotnie lepszymi od siebie, których za ludzi wcale nie ma, dlatego, że mają inną cerę i inne noszą ubranie, wyprawia okropności i bezceństwa, dla których mowa ludzka nie ma miana, a bywa tem sprośniejszy, że się przeżywa apostołom cywilizacji. Gdy o tych rzeczach myślę, rumienię się cały. Proszę, nie wspominać mi pan o tem!

— Przepraszam pana — rzekłem — nie myślę bronić tych cywilizatorów; ale muszę o nich wspominać, skoro pan mówisz, że nowożytna cywilizacja ludzi ubezwładnia, a te kupczyki, choć może należą nieraz do najpośledniejszego gatunku Europejczyków, podbijają, i to bez zbytecznego wysiłku, całe narody, niezarażone tą cywilizacją, którą pan w czambuł potępiłeś.

Koziełło odrzekł: — Europejczycy nie są ani rozumniejszymi, ani dzielniejszymi od egzotycznych narodów. Puść Europejczyka samopas w las dziewiczy, a, wskutek głupoty swojej, zginie tam, gdzie sobie Murzyn albo Azyata poradzą doskonale. Wyśadź tysiąc Europejczyków, bez armat i odcylcowych karabinów, na łąd daleki, zaludniony przez naród gościny, o łagodnych obyczajach, a w krótkim czasie zmuszą ten naród do nienawiści, a potem sami nie potrafią się ochronić przed zagładą. Źródłem przewagi Europejczyków jest jedynie ich większe bogactwo,

odziedziczone po przodkach, którzy nowożytnych wad jeszcze nie posiadali, po przodkach, nie zarażonych jeszcze przez samolubstwo bez granic, a lepszych istotnie od narodów Azji i Afryki tem, że ukochali cel, do którego, z poświęceniem osobistych zachcianek, dążyli gromadnie, podczas, gdy tamte narody żyły dla dnia dzisiejszego, do niczego nie dążyły i nic nabyć nie mogły. Bolesławowi rycerze nie usną na murawie, kiedy wyjdą z zaklętej jaskini, ale działać będą zgodnie; żaden z nich nie będzie myślał o sobie, wszyscy będą współzawodniczyli w dążeniu wspólnem do wspólnie obranego celu; i tem samem wielkich rzeczy dokażą. Bogactwami, nagromadzonemi przez Europejczyków, a namacalnymi i oczywistymi są niezliczone wytwory umiejętnej ludzkiej pracy, w części przekazane im już po przodkach, jako to kraje uprawne i zabudowane, mogące mnogą ludność pomieścić, i organizacje społeczne, wyznaczające każdemu właściwe miejsce we wspólnej pracy, poczęści wyrabiane obecnie w tych krajach bogatych, ludnych a ujętych prawem. Bogactwem nieuchwytnem już, niewidomem i nienamacalnym jest wiedza naukowa, umożliwiająca umiejętną pracę i wytwarzanie ciągłe umiejętności narzędzi. Bogactwem wreszcie mniej uchwytnem jeszcze, a jednak najważniejszym, był nastrój moralny, umożliwiający wspólną a skuteczną pracę dla wspólnego celu, dążenie do ziszczenia wspólnych ideałów. Wspólną wiarą ustanawiający przez wszystkich uznane zasady i utrwalający nieruchomy obyczaj mają także społeczeństwa Azji i Afryki; brak im wspólnej nadziei i wspólnej miłości. Nadzieja i miłość wspólna na wspólnej oparte wierze uzacniały niegdyś narody chrześcijańskie i sprawiły, że nagromadziły one skarby wiedzy i skarby materyalne, które im dotąd dają przewagę nad resztą świata — ale bodaj, czy nie na krótki tylko czas jeszcze. Wspólna wiara, wspólna nadzieja i miłość zginęły w Europie i w Ameryce, zakłute żądłem miliona kłótniowych sofistów; ten zanik pozbawił już Europejczyka indywidualnej dzielności, zamienił go w chciwego, bezczelnego a lekkomyślnego kupczyka, którym Turek i Chińczyk słusznie gardzą. Organizacja społeczna i przemysłowa stoją dotąd, tak, jak domek ślimaka przetrwa życie budowniczego. Ale gmach społeczny skostniał, skoro został bezdusznym; był niegdyś kościołem, ukochanym przez rzesze wiernych, jest dziś więzieniem, a mieszkańcy, pełni nienawiści, podkopują stare mury, które już wszędzie grożą ruiną. Przemysł rozwija się, pokrywając kulę ziemską niezliczonym lasem brzydkich kominów, a wydać się może, iż zastępy przemysłu wyrwą niebawem berło z rąk orężnych, które niegdyś państwa zakładały;



ale wojna domowa wre po wszystkich warsztatach, a tych warsztatów wyroby, na tani, natychmiastowy zysk obliczone, zamieniają się w lichą tandetę, która się niebawem nie będzie mogła równać z wyrobami Wschodu. Jedno tylko zajęcie bywa po dziś dzień ożywione wiarą, nadzieją i miłością. Tem zajęciem — nauka, uprawiana w Europie. Mam na myśli nauki przyrodnicze, historyczne i społeczne, o ile gromadzą systematycznie fakta i badają po szczególe prawa, do których się te fakta stosują. Tych nauk wiarą — zaufanie w doświadczenie i przekonanie, o niezmienności praw natury; ich nadzieją — oczekiwanie naukowego postępu w nieskończoność; ich miłością — miłość wiedzy. Taka wiara, nadzieja i miłość wystarczają jeszcze, aby ożywić naukę, i za jej pomocą utrzymać przewagę Europejczyków do chwili, w której sobie inne narody naukę naszą przywłaszczą. Nie wiem, czy metafizyczne marzenia, w których się lubujemy wtedy właśnie najwięcej, kiedy ich się wypieramy, czy różne transcendentalizmy i solipsyzmy spekulatywnych filozofów, a kosmogoniczne i kosmologiczne hipotezy, atomizmy i dynamizmy przyrodników, wiarę, miłość i nadzieję poważnych, naukowych pracowników nie obalają? Już je podkopały, trwają jednak jeszcze, jeszcze cudów dokazują, a organizacya nauki pozostała dotąd przykładem tego, jak ludzie użytecznie a skutecznie żyć, wspólną, nieosobistą pracą góry przenieść mogą z miejsca na miejsce. Uczony bada, w porozumieniu z innymi uczonymi, wedle wspólnych metod, za których pomocą te nawet metody udoskonala, zaparłszy się wyobraźni, zamieniwszy się w mrówkę, świadom tego, że jego nazwisko zostanie wkrótce przekazane zapomnieniu, staje w szeregu i przypatruje się starannie szczegółowi jednemu, powierzony sobie szczegół starannie obrabia. Często wyda się laikowi praca, której uczony cały swój żywot poświęcił, tak błahą, że aż śmieszną gotów ją przezwać. Ale jak niegdyś rzesza bezimiennych kamieniarzy tummy dźwigała średniowieczne, tak rzesza skromnych pracowników dźwiga dziś tummy wiedzy, a ten, kto najpiłniej strzegł pracy wspólnej, a może trochę lepiej robił od drugich, bywa narreszcie wysunięty na czoło, i jego imieniem znaczą jakieś chwilowo przynajmniej głośne, zbiorową pracą umożliwiające odkrycie.

Koziello umilkł na chwilę; spuścił głowę w głębokiej zadumie, a bolesny wyraz pokrył jego oblicze. Czas jakiś słyszałem tylko śpiew ptaków, szmer liści i szum Dunajca. Wreszcie odezwał się znowu.

Zwiedzałem różne zamorskie kraje, dziwnym przypatrywałem się narodom, które przeżyły mnogie wieki, nie znając tego,

co nam się całym światem wydaje, nie słyszawszy ani o Aleksandrze Macedońskim, ani o Juliuszu Cezarze, ani o wielkim Napoleonie, a jednak przeżyły całe żywoty dziejowe, pełne nieszcześćia i chwały. Patrząc na te niezliczone rzesze różnej cery i różnych obyczajów, małałem w swoich oczach nieustannie. Małym staje się człowiek, gdy przejdzie w Rzymie progi świętego Piotra; mniejszym bywa w obliczu niebotycznej góry, albo nieprzejrzanego morza; niczem ta małość, w porównaniu z uczuciem osobistego unicestwienia, jakie mnie opanowało, kiedy odwiedzając ogromne lądy Afryki i Azji, patrzałem na tamtejsze narody. Z całą mocą oświadczyłem mi się to uczucie dopiero wtedy, kiedy w drodze z Japonii do San Francisco, znalazłem się na statku, pośród bezmiernej topieli oceanu Spokojnego. Minęły już barwne, coraz odmienne wrażenia podróży po ziemiach egzotycznych; przedemną leżały już tylko Stany Zjednoczone, owa hałaśliwa przesada Europy; a zaniin miałem zajechać do Ameryki, miałem przez długie tygodnie patrzeć tylko na niebo i morze. Od rana do wieczora siedziałem na pokładzie, huśtając się na wygodnym amerykańskim krześle, a oko spoczywało nieustannie na fali, pędzącej jednostajnie od widnokregu, piętrzącej się chwilami pod niebiosa, pokrywającej się ogromnym szumem białej piany, jak naród żyje milionem kropli żywotów ludzkich, i zapadającej wnet znowu w nicość. Pod brzemieniem wspomnień podróży czułem, że ja, nie już falą bezimienną, o żywocie krótkim a szumnym, ale tylko kropelką piany, próżnością nad próżnościami — niczem! A przecie w małej Europie myślałem, że wielki i świetny i mądry, chciałem błyszczyć i używać, sądziłem, że mój rozwój osobisty jest celem wszechrzeczy. Z tem było mi źle, źle być musiało — bo cóżby się stało z kropelką piany morskiej, któraby oszalała i chciała koniecznie, aby się cały ocean stosował do jej widzimisię? Hulałem nibyto górnio, a w istocie przewracałem się z boku na bok na pościeli żywota, jak chory, dręczony gorączką. Czezości pozbyć się nie mogłem. Najlepiej było mi jeszcze wtedy, kiedy na Litwie, z ciekawości, próbowałem żyć tak, jak ludzie żyją, i brać udział w ich pracy powszedniej. Po drodze obce paczyłem żywoty, a przejrzaawszy ogrom zbrodni, jaki ziemię niewyczerpanym pokrywa lamentem, rozgrzeszałem się z pojedynczych czynów, a tylko z bezmiernego samolubstwa rozgrzeszyć się nie mogłem. Ono tylko mnie bolało, a prócz tego, jedno tylko wspomnienie — wspomnienie młodej, niewinnej Litwinki, która mnie z mojej pokochała winy, i którą odjechałem. Ból mnie gryzł i wreszcie zgryzł. Kiedy wylądowałem w San Francisco,

postanowienie stanowcze dojrzało już we mnie; nawróciłem się już był, innym już byłem człowiekiem. Mało się przypatrywałem owemu wielkiemu młynowi parowemu, który się nazywa Stanami Zjednoczonymi. Spieszyłem z powrotem do Europy, do kraju. Na chwilę zajechałem do Zakopanego, bo wstydziłem się, że ze wszystkich gór świata jednych tylko Tatr nie znam. Zabawiłem tu dłużej niż należało — nie pytaj się pan dlaczego. Teraz jadę prosto na wieś — na Litwę. Marzenia nie marzenia, talenta nie talenta odrzucę precz od siebie, głęboko w roli zakopię. Powiedziałem sobie: tyś kropelką piany, tyś sam przez się niczem, a czemś być możesz, jako część tylko fali, która cię wydała; nie pytaj się, czyś usiadł u szczytu, czy słońce piękne na tobie tęcze maluje? Nie myśl o sobie, lecz myśl tylko o fali, której jesteś częścią. Żyj tam, i tak, jak tego chciało przeznaczenie, które ci się ziemianinem na Litwie rodzic kazało, spełniaj obowiązki ziemianina, łącząc się z żywymi do jednej pracy, obcując synowskim uczuciem z umarłymi, którzy się w dzień Dziadów dokoła twojego stołu zejda niewiedomie, myśląc o szczęściu tych, którzy przyjdą po tobie, i te same obsiądą zagrody.

Uczułem, że nadeszła chwila, w której mogłem dokonać misji, powierzonej mi przez panią Laurę. Wtrąciłem zatem: — Litwinka owa czeka może dotąd, może przebaczyć gotowa i przy wspólnym dopomagać trudzie.

Koziełło spojrział na mnie znacząco i przez długą chwilę patrzył mi w oczy. Potem rzekł: — Tam na Litwie, w domu jej matki, wydało mi się, że mógłbym być szczęśliwym przy niej, jak młody bóg — i próbowałem tego szczęścia. Wpierw tych uczuć nie znałem, nie rozumiałem pisarzy, twierdzących, że zakochani przebywają nieustannie wśród porannej zorzy, że ich dusza zmienia się w słowiczy śpiew. Przywykłem każdemu folgować uczuciu, każdemu ulegać urokowi. Więc przebywałem z nią, ile tylko mogłem. O miłości nie mówiłem wprost — nie mówiłem wcale, a jednak rozumiała, rozumieć musiała, że ją kocham — a wiem, że pokochała mnie nawzajem. O tem mówiła cała Litwa, a ta panna była dla mnie jasnym obłokiem, wśród którego przebywałem z rozkoszą.

— Więc — spytałem — dlaczegoś się pan nie oświadczył? nie ożenił?

— Dlaczego? — zawołał Koziełło — bom sobie zdał sprawę, że kocham się dla próby, dla sentymentalnego doświadczenia, i to w istocie niewinnej, czystej, anielskiej, która wierzyła, że szlachetny, że na prawdę chciałem żyć, służąc swemu społec-

czeństwu, która w istocie zupełnie nie wiedziała, czem byłem, któraby moich grzechów nie rozumiała, gdyby jej ktoś o nich opowiadał, a która skostniałaby z trwogi, gdyby je rozumiała. Wiem, że to, co zrobiłem, sprzeciwiało się wszystkim prawdom honoru, i żeby mi ludzie tego nie przebaczyli, gdybym nie był tak majątny. Ja sobie tego nigdy nie przebaczę, a jeśli postanowił życie odmienić na zawsze, to może najwięcej dlatego, że swój grzech chcę odpokutować — pokutą trwającą przez całe życie, nie dopuszczającą ani jednej chwili szczęścia. Ale nie to mam sobie za złe, że odjechał, bo wtedy spełniłem obowiązek, lecz to, że przy niej przebywałem, że rozmowami swojemi zatrąłem jej niewinne szczęście.

— Ale teraz, skoro się pan nawrócił, skoro postanowiłeś życie odmienić, możesz się pan z czystym sumieniem ożenić.

Koziello odparł; — Gdybym się wogóle kiedykolwiek ożenił, to tylko z ową Litwinką. A wiem, i pan wiesz, że się z nią żenić nie mogę, że nie podobna, aby mi matka i córka moje postępowanie dawniejsze przebaczyły. Wiem o tem, przyzwyczaiłem się do myśli o samotnej a pracowitej pokucie, trwającej przez całe życie, myśl tę nawet ukochałem, tak jak ktoś powinien dożgonnego ukochać przyjaciela.

— A jednak, odparłem, jeśli pan chcesz naprawdę rozpocząć żywot nowy, zgodny z przekonaniem, jakie w sobie wyrobiłeś, jeśli chcesz skuteczną odbyć pokutę, musisz zacząć od naprawienia krzywd, które wyrządziłeś, odwrócić cudze nieszczęście, przez dawne grzechy spowodowane. Pańska pokuta nie będzie szczerą ani skuteczną, jeśli się nie ożenisz. Starym będąc kawalerem, nie będziesz w całym tego słowa znaczeniu obywatelem społeczeństwa swego. O jego przyszłość dbać nie będziesz w pełni. Bezdziętne małżeństwo nie ponosi w tem winy, ale kto od ślubu naumyślnie stroni, wyrzeka się samowolnie świętego obowiązku wychowywania przyszłych obywateli. Człowiek samotny, bezżenny i bezdziętny unika najściślejszych związków społecznych, nie wytwarza owej koniecznej pierwotnej komórki, która, będąc społeczeństw początkiem, nigdy nie przestaje być ich najistotniejszym składnikiem, bez której bywają jakies kupy piasku ludzkiego, na marne wymarcie skazane, nie ma żywych narodów. Dopiero kiedy się ma żonę i dzieci, rozumie się naprawdę, odczuwa się w całej pełni społeczne potrzeby, które dobrowolnemu samotnikowi tylko z nienchwytniej teorii bywają znane. Mnożą się starzy kawalerowie w czasach, w których rozpowszechnione samolubstwo zamienia życie rodzinne na ciężar niecznośny dla męż-

czynn, szukających tylko osobistej swobody, a przerażonych myślą ofiar moralnych i materyalnych, które małżonek i ojciec rodziny znosić musi; wolą się zrzec pełni obywatelstwa i pełni męstwa, byle się pozbyć troski. Nie zdają sobie sprawy z rozstroju, w jaki społeczeństwo wprawiają, a może zdają sobie z tego sprawę, ale w dekadenskim swoim samolubstwie o to nie dbają, w najlepszym razie sofizmatami, zaczerpniętymi u źródła epikurejskiego albo stoickiej filozofii usiłują prawdę przed samym sobą ukryć. Jednej rzeczy nie zdołają zapoznać. Każdy stary kawaler przy czynia się do najokropniejszego poniżenia dziewcząt ubogich, podkopując samowolnie moralność publiczną. Każdy stary kawaler skazuje prócz tego bodaj jedną uczciwą dziewczynę na staropanieństwo, to jest na życie bez celu i pociechy; ma bodaj jedno życie ludzkie na sunieniu. Jeśli panu powiem, że wiem, iż owa Litwinka pana dotychczas kocha, że postanowiła za nikogo innego nie pójść za mąż, zrozumiesz pan, że ten grzech o tyle mógłby być cięższym, że byłby krzywdą, wyrządzoną świadomie osobie, którą pan znasz, o której powiadasz, że ją kochasz.

— Pan nie masz prawa tak do mnie mówić — zawołał Kozięłło — tego co twierdzisz nie wiesz i wiedzieć nie możesz.

— Owszem — odparłem — wiem na pewne, mówiła mi to pani Laura Zakliczyna.

Kozięłło zerwał się z miejsca, odszedł ku brzegom Dunajca, postął czas jakiś nad brzegiem szalejącego strunienia, zapatrzony w jego nurty, z głową spuszczoną i założonemi na pierś rękoma. Potem potarł czoło i powolnym krokiem powrócił do ujścia jaskini. Stał koło mnie i przemówił dobitnym głosem, przez którego powagę przebiegał wielki niepokój.

— Wdzięczny jestem panu bardzo za troskę o moją przyszłość, a raczej sądzę, żeś pan występował w roli przyjaciela pani Zakliczyny, z którą łączy pana podobno przyjaźń z lat dziecińczych. Wiedząc o tem, chciałem się panu wypowiadać z powodów postępowania swego na Litwie, abyś pan w razie potrzeby przed nią to postępowanie, jeśli nie uniewinnił, przynajmniej wytłómaczył, aby mnie bezwzględnie nie potępiła. Wtedy przerwała rozmowę pani Leokadya; pomyślałem sobie potem, że to się dobrze stało, że nie miałem prawa czynić zwierzeń, dotyczących się trzeciej osoby, i rozmowy już nie odnawiałem; spowiadając się ze swoich myśli i postanowień, wspominałem o tem, com raz już zeznał, ale nazwisk nie wymieniałem. Pan wymieniłeś nazwisko; więc wiem, że żadnej tajemnicy już przed panem ukrywać

nie potrzebuję. Winienem jednak dać odpowiedź nie tyle panu, ile pani Zakliczynie. Otóż powiedz jej pan, że nie chcę, aby miała w przyszłości najsluszniejsze powody do potępiania Antoniego Koziełły i złorzeczenia jego imieniu. Za jakiegoż to człowieka gotowa wydać swoją córkę, i czyż jej sumienie matki na taki czyn pozwolić może? Gdybym się dziś ożenił, otaczałbym młodą, powierzoną sobie istotę wszystkim, co najczulszy wymyślić może kochanek. Wszystko inne bym zaniedbał, o jej tylko szczęściu myślał. Wśród błogości niebiańskiej, wskrzesiłbym w całej pełni dawnego samoluba, który dostawszy się do raju, wszystkie rajskie owoce spożyje, odwracając się ze wstrętem od widoku pustkowia, zamieszkałego przez nieszczęsny rodzaj człowieczy, a tem łakomiejbym raju zażywał, żem nadto doświadczony, abym nie wiedział, że w raju nikt długo nie przebywał. Krótko trwa wiosna; jesień nieubłagana, nieodwrócona prędko przyjść musi; eteryczne dziewczę, niewinne dziecko, musi zamienić się w matronę, otoczoną przez synów i przez córki; młoda małżonka, wyłącznie ukochana i kochająca wzajemnie, musi się zamienić w kobietę, dla której celem życia są przedewszystkiem dzieci, która miłość swoją między męża a dzieci podzieli i która od męża żąda, aby nie o niej tylko, ale przedewszystkiem o wspólnych dzieciach myślał. To zająć musi, i tak być powinno, i skoro to się stanie, prysnie mój sen rajski. Z osłabioną przezeń wolą, z przytępieniem postanowieniem zechcę rozpocząć pracę szarą, powszednią, ziemianina litewskiego, ubogich i zamożnych swoich sąsiadów sąsiada, a okaże się, że będę się musiał od niej odrywać ustawicznie dla wymagań żony, myślącej przedewszystkiem o swoich najukochańszych dzieciach, wywyższającej familijną prywatę nad cele powszechnie, nie dającej mi pokoju, kuszącej albo napominającej, abym zadość uczynił tej rodzicielskiej prywatcie. Coraz mniej uroczem będzie jej towarzystwo, a z biegiem czasu nie będzie już precudnie pięknej Celiny. Daremnie będę sobie powtarzał, że moja żona spełnia swój macierzyński obowiązek. Sam siebie znam dobrze. W pełni żyć dla społeczeństwa potrafię może — połowicznie tego nie potrafię — prysnę... ocknie się we mnie stary grzesznik i w miejsce jednego czarta, wróci do przybytku mego czartów siedmiu. A wtedy Celina i dzieci Celiny będą miały i męża i ojca niegodziwego, niewiernego. Nie panie! powiedz pani Zakliczynie, że dlatego właśnie, iż pannę Celinę kocham, nie narażę jej na nieszczęście straszne, które nie minie żony Antoniego Koziełły.

To rzekłszy, odwrócił się złotousty Litwin i odszedł szybkim krokiem w głąb Kościeliskiej doliny. Miałem ochotę pójść za nim i spytać się, choćby o to jedno, jakim prawem przedłużał swój pobyt w Zakopanem, jakim prawem rozmawiał co dzień z panną Celiną? Ale tego nie uczyniłem, bo wiedziałem już dobrze z kim miałem do czynienia. Koziello był równie zdolny jak Eolion, a był bez porównania lepiej wychowany, ale ani o krztę nie był lepszy — owszem, był gorszy, bo umiał rozumem dobro od złego odróżnić, umiał rozprawiać o tem, co toczy dzisiejsze pokolenia, o przyczynach upadku społecznego i o cnocie, która być powinna i która jedynie pojedynczych ludzi uszczęśliwia i narody zbawia, ale działać poprostu, podjąć się naprawę ludzkich obowiązków, pozbyć się ogromu samolubstwa, które nowożytnie wychowanie w wykształconych wpaja, nie umiał. Chciał się nie tylko innym podobać, ale przede wszystkim sobie samemu. Za lat młodszych chciał zrazu przyklasnąć ścłdopiałemu junakowi, gardzącemu cywilizacją; potem bawił się europejskim lwem salonowym, wreszcie podróżnikiem, objeżdżającym świat wkoło, w czasach, w których taka podróż, wcale już sztuką nie jest. Dojrawszy, przyszedł do przekonania, że obywatel, spełniający swoje powszednie obowiązki i pracujący dla dobra ogółu, z zaparciem się niejednej osobistej zachcianki jest daleko godniejszy podziwu rozumnego człowieka, wtedy zwłaszcza, kiedy się w tym celu wyrzeka świetnych aspektów i błyskotliwych tryumfów, których mógł się spodziewać, wskutek swoich nadzwyczajnych zdolności. Postanowił tedy na takiego pozować obywatela, cieszyć wrodzoną dobroć serca niejednym dobrym uczynkiem, uspokoić sumienie podjęciem poważnej nieraz pracy, i zażywać subtelnej rozkoszy, jakiej się doznaje wierząc, iż życie zamieniło się w szlachetną pokutę za dawne przewiny. Ale to wszystko miało być tylko subtelnem, epikurejskiem używaniem, o jakim się pewno nigdy bolesławowym nie śniło rycerzom. Koziello zachał się przed najprostszym i najświętszym obowiązkiem, skoro jego spełnienie mogło na niego nałożyć więzy. Być może, iż wytrwa przy nowo obranym a pożytecznym trybie życia; gdyby mu przyszło spełnić widny czyn bohaterski, nałożyłby głowę, aby mózgiem sobie przyklasnąć przy zgonie. Na sposobność do bohaterstwa nie zanosiło się jakoś; więc prawdopodobnie będzie Koziello wygodnie grał rolę zacnego obywatela, tem pewniejszy pokłasku sąsiadów i znajomych, że będzie ich zadziwiał wiedzą i że będzie wymownie najślusniejsze wygłaszał zasady. Służąc niby społeczeństwu, będzie istotnie służył sobie; pozostanie samolubem i dekadentem,

dając przykład, jak samolub, gotów życie bliźniego złamać bez namysłu, może pozyskać powszechne poważanie — choć najważniejszych obowiązków nie spełni, choć wiecznie sam będzie grzązł w jałowej pysze. Może przypadkiem coś wielkiego zrobi — ale o taki przypadek trudno, bo wychowany w przekonaniu, że sam jest wszechrzeczy środkiem, będzie głośno potępiał samolubstwo dekadentów, ale sam pozostanie samolubnym dekadentem, do trudu wytrwałego niczem się nie da skłonić, nigdy niczem sobie na zawsze nie zwiąże, każdego cięższego obowiązku uniknie, dowodząc z ironią olimpijczyka, że sprawa, którą się społeczeństwo gorączkuje, jest błahostką, obojętną nie tylko dla bogów i dla mieszkańców planety Marsa, ale nawet dla mieszkańców większej części Europy; — robić będzie dobrze, kiedy mu się podoba — a jak mu się podoba, ucieknie gdzieś do jakiejś stolicy, aby sobie dawniejsze przypomnieć życie, wymawiając się tem, że mu potrzeba kultury. Będzie miał naśladowców, których popchnie do zguby, siłę i wytrwałość swojego narodu pomniejszy, i doczeka się pięknego nekrologu, skrzywdziwszy wpierw na pół świadomie ludzi coniemiarą.

W. DZIEDUSZYCKI.



# Z dziejów cenzury w Polsce.

Długa, kilkunastowiekową ewolucję przechodziła stara nazwa *cenзора*. Na 413 lata przed Narodzeniem Chrystusa cenzorowie znani byli, jako „tribuni militares consulari potestate.“ Stopniowo przeznaczenie urzędników tych zmieniało się na stróżów i sędziów moralności publicznej i prywatnej. Władza ta upadała i podnosiła się, była narzędziem błogosławionem i przeklinanem, rosła i nikła, aż odrodziła się w nowej erze swojej, od 1500 lat trwając w potężnej roli państwa życia i śmierci wyrażanej myśli ludzkiej w piśmie i druku.

Odrodzenie nowej, do dziś dnia istniejącej, misji cenзора, historia przypisuje Kościołowi i duchowieństwu katolickiemu, jako jednym z tych, którzy przyswoili sobie prawo sądzenia prawomyślności dogmatycznej pism i ksiąg zarówno religijnych, jak świeckich. Kiedy Sobór nicejski pierwszy w r. 325, potępił naukę Aruaszę, cesarz Konstantyn nakazał spalić jego pisma. Stopniowo władza duchowna, coraz większej nabierając siły, egzekucyj literackich dokonywać zaczęła bez wszelkich porozumień się z organami świeckimi. Podległe Kościołowi rzymskiemu rządy państw europejskich w zupełności akceptowały prawo papieskie, że w myśl Koncylium lateraneńskiego żadna praca nie mogła być ogłaszana bez piśmiennego zezwolenia na to wikaryusza papieskiego, biskupa dycezyi albo jego zastępcy, pod karą zniszczenia dzieła, lub skazania na grzywny w ilości 100 dukatów, a nadto wyklęcia.

Nie da się powiedzieć, aby i rządy reformackie miały odznaczać się większym liberalizmem od państw katolickich. Na sejmach Rzeszy niemieckiej 18 kwietnia 1524 r. i 22 kwietnia

1529 r. obostrzono przepisy cenzury rządowej, aby tym sposobem ograniczyć szerzenie się herezyi.

W Polsce od wczesnego zarania XV wieku prawo przestrzegało treści dzieł, do wiadomości ogółu podawanych. Statut Władysława Jagiełły z r. 1426 najwyraźniej powiada, że „heretyckie błędy szkodzą i wątlą wiarę prawą chrześcijańską i upadek Rzpltej czynią,“ a przeto: „heretyk albo ich obrońca, lub o herezyę podejrzany, ma być inaczej sądzony i karany.“ Z biegiem czasu i w miarę potęgowania się wpływów duchowieństwa katolickiego, srogość prawa przeciwko „heretykom“ nabierała coraz bardziej mocy, wznosząc się do szczytów zwłaszcza po r. 1627. „Palenie książek — pisze Chmielowski <sup>1)</sup> — w których dopatrywano się obrazy religii lub duchowieństwa, powtarzało się coraz częściej. Co więcej, sfanatyzowanie ogółu doszło do takich granic, że na podstawie bardzo niepewnej nie wahano się r. 1689 skazać na spalenie żywcem Kazimierza Łyszczyńskiego, a tylko łaskawość Jana III sprawiła, iż jeno zwłoki jego, po dokonaniem ścięciu głowy, na stosie spłonęły.“ Ostrość walki z „herezyą“ i dysydentami nie była jednak wcale wyłącznością prawa polskiego. Państwa zachodnie nie odznaczały się bynajmniej większą tolerancją. Już w r. 1546 parlament francuski skazywał Stefana Dolet na torturowanie, powieszenie i spalenie wraz z jego dziełami, za wydawanie książek „damnables, pernicieux et d'hérétique doctrine.“ W Anglii, w r. 1525 Henryk VIII mianował specjalnego inkwizytora, którego zadaniem było śledzić, aby nikt nie ważył się rozpowszechniać zabronionych książek. Stopniowo uzupełniane prawo, długo w Anglii groziło przestępcom myśli utratą wolności i pozbawieniem życia.

Na ziemiach polskich myśl zorganizowania prawidłowej, nie przygodnej kontroli nad ukazującymi się książkami, wyłoniła się wskutek niewątpliwych nalegań duchowieństwa katolickiego. Artur Benis<sup>2)</sup> zaczątków tej organizacyi rządowej w Polsce dopatruje się w reskrypcie królewskiej z d. 24 lipca 1520 r., dopełnionym edyktami z 1522 a zwłaszcza 1533 roku. W tym to czasie władzą królewską ustanawia się specjalna komisya, złożona z dygnitarzy duchownych i świeckich, która ma czuwać nad książkami, księ-

<sup>1)</sup> Piotr Chmielowski: „Historya Literatry Polskiej“ — Warszawa 1899 r., str. 9 — 10.

<sup>2)</sup> Artur Benis: „Historya obrony praw autorskich w Polsce“, Kraków 1887 r.

garniami i drukarniami, mając sobie zlecone prawo wykonywania z magistratem krakowskim wyroków: „brachium Saecularae.“ Na wezwanie biskupa krakowskiego, rzeczona komisya otrzymuje też prawo spełniania misyi policyjnej, dokonywając rewizyi w domach i sklepach, czy nie znajdują się wypadkiem książki wyraźnie luterzańskie. Winnych karać miano konfiskatą i stosem.

Jednocześnie, idąc konsekwentnie w myśl stawienia tamy rozszerzaniu się książek, nie po myśli tendencyom panującym, król, wraz z komisją kontrolującą, ustanawia urząd cenzury prewencyjnej i dozór nad dziełami, mającemi ukazywać się w druku, składa w ręce J. E. Rektora Wszechnicy Jagiellońskiej. Odtąd rektor krakowski nosi dodatkowo tytuł: „ordinarius librorum censor,“ lubo edykt królewski z dnia 3 września 1533 r. daje jednocześnie moc i biskupom przeglądać, dozwać lub zabraniać dzieła przeznaczone do druku. Opierając się na ścisłych faktach historycznych, autor „Praw autorskich“ — Benis — słusznie ustala początek istnienia cenzury w Polsce na okres panowania Zygmunta I. Cenzura ta słabła, upadała i podnosiła się na nowo. Miała chwile kompletnego lekceważenia jej za Zygmunta Augusta, spotkała się jednak z aktem wzmocnienia jej przy Stefanie Batorym (edykt z d. 7 lutego 1580 r.) Nie da się jednak zaprzeczyć faktowi samemu, iż zaczątki cenzury w Polsce istotnie miały miejsce w XV, XVI i XVII wieku. Niektórzy monografiści nasi starają się jednak argumenty dziejowe osłabić. Wiktor Czajewski <sup>1)</sup> utrzymuje, że „rozporządzenia królewskie (o cenzurze) zostały wywołane paszkwilami.“ Jeżeli przyjmiemy pod uwagę prawo, ustanowione w r. 1653, które powiada, że „cenzura ksiąg nazawsze do biskupa należy, wszelako i Krzysztofowi Schedlowi daje się to dobrodziejstwo,“ a potem dodamy do tego jeszcze wystąpienie drukarzy na sejmie grodzieńskim w 1784 r. i czteroletnim warszawskim w 1789 r., gdzie żądają pewnych praw dla siebie, a między niemi proszą o zaprowadzenie cenzury prewencyjnej, to musimy przyjść do przekonania, że innej, prócz duchownej, cenzury w Polsce nie było, że te rozporządzenia Zygmunta I i Stefana Batorego odnosiły się do paszkwilistów, których już i tak sądy biskupie, na podstawie bulli Gelazjusza I, ścigały, a wydawanych na razie w tym względzie edyktów nikt inaczej w dawnej Polsce nie uważał, jak tylko za potwierdzenie praw, dawniej-

<sup>1)</sup> Wiktor Czajewski: „Warszawa Illustrowana“ tom IV Dziennikarstwo Współczesne, str. 27 i 28, Warszawa 1895.

szymi edyktami objętych. Gdyby bowiem istniała cenzura, nie potrzebowaliby dwukrotnie o nią prosić drukarze na sejmach. Tymczasem paragrafy 5, 6 i 7 zamieszczone w podaniu drukarzy do sejmu, „żądadją zaprowadzenia cenzury prewencyjnej manuskryptów, wykonywanej przez świecką komisję.“

W kwestyonowaniu faktycznego istnienia cenzury świeckiej w Polsce, nie widzimy właściwie istotnego celu. Prawda dziejowa winna być wyższą nad wszelkie względy. Nie mamy powodu wstydzic się przyznać, iż w wieku złotym powstała u nas cenzura świecka, skoro prawo takie istniało ówczesnie w całej Europie Zachodniej. Faktem jest stwierdzonym, iż cenzura w Polsce nikła i odradzała się, ale gołosłownem wydać się musi twierdzenie, jakoby cenzura świecka istnieć miała jedynie dla paszkwilów. Rzeczą zgoła byłoby niemożliwą z góry określać, iż ten tylko X rękopis jest paszkwilem, i dla tego nie przegląda się manuskryptów Y lub Z. Pan W. Czajewski, jakby na potwierdzenie swoich dowodów o istnieniu jedynie cenzury kościelnej, przytacza napis na jednym z pism z XVII w., który ma brzmieć: „z dozwoleniem urzędu duchownego,“ osobiście jednak spotykałem wiele *Awiz* i *Relacyi*, na których widniał inny napis drukowany: „z pozwoleniem starszych.“ Jest to widoczny dowód, że pisemka te oddawane były do uprzedniej, prewencyjnej (świeckiej) cenzury, skoro drukowane adnotacye umieszczane były w druku obok tekstu iletnich tych gazet. Czyż *musiały* one koniecznie zawierać paszkwile, aby być z góry zawsze cenzurowane? Należy ostatecznie ustalić przekonanie, iż podobnie jak w innych krajach, i w Polsce świecka cenzura prewencyjna sięga odwiecznej daty powstania. Usiłowano więc ją jedynie wznowić, kiedy drukarze na sejmach schyłku XVIII stulecia domagali się zaprowadzenia w kraju urzędu cenzury uprzedniej.

## II.

W dobie panowania Stanisława Augusta literatura i prasa polska cieszyły się pełną swobodą w wyrażaniu swych myśli, hasel i poglądów. Słynny po wszystkie czasy „Monitor“ Bohomolca nie szczędził występów i przeciw osobie królewskiej. Pióra nabierały swady i rozmachu. W druku ukazywały się opinie ostre i przestrzegawcze. Pisma spełniały swój obowiązek. Swoboda zachęcała do powstawania wciąż nowych, dzielnych organów,

z których na czoło wysuwał się „Pamiętnik polityczny i historyczny“, zdolnie redagowany przez jednego z najwybitniejszych polskich publicystów — Piotra Świtkowskiego. Pełna dowolność w dobieraniu wyrazów nie była jednak tolerowaną przez państwo polskie. Kontrola istniała, ale rozumna i w dobrą skierowana stronę. Z rozkazu Gurowskiego <sup>1)</sup>, marszałka W. X. Litewskiego, w dniu 12 czerwca 1784 roku ustanowiono cenzurę świecką dla wszystkich licznie w kraju rozpowszechnionych „gazet pisanych“, świstków, wychodzących regularnie w Polsce od czasów najdawniejszych. Przy braku kontroli opinii publicznej nad nimi, „gazety pisane“ dowolnie szafowały poprzednio paszkwilami i wystąpieniami, nieraz przeciwko najszlachetniejszym osobistościom.

Sejm Czteroletni na szerszej jeszcze stopie swobody postawił czasopiśmiennictwo polskie. Zniósł monopole edycyjne, nadawane wydawcom gazet, i *zapewnił prawo pełnej wolności słowa.*

...Ale nadeszła epoka Konfederacji Targowickiej. Pierwszą forpoczta narzucanego narodowi skrepowania i upodlenia, było ogłoszenie uniwersału Szczęsnego Potockiego z dn. 9 czerwca 1792 r., w którym w znaczących słowach obwieszczał narodowi: „wszem wobec, i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, a mianowicie wszystkim przełożonym nad drukarniami, w kraju polskim będącemi, wiadomem czyniąc: — iż gdy złączonej węzłem miłości ojczyzny konfederacyi generalnej koronnej pod Targowicą w dniu 14 maja roku bież. 1792 jest zamiarem, aby pokój, jedność obywatelska i zjednoczenie serc, wydartych narodowi spiskiem warszawskim 3 maja r. 1791, wolności, wszystkich zajmowały serca, a rozrzucone i drukowane, od źle życzących swojemu krajowi, pisma, rozróżniać tylko umysły i zapalać fałszywemi uprzedzeniami serca są zgodne, dla czego tym uniwersałem zalecam, aby w żadnej w kraju całym znajdującej się drukarni, żadnego takowego pisma, któreby Konfederacyi Generalnej Koronnej pod Targowicą dnia 14 maja rozpoczętej, przeciwne było, drukować nie ważyli się. O takich i o podających je do druku Konfederacyi donieśli. Nieposłuszni temu obwieszczeniu nietylko zakazaniem drukarni, ale nadto osobistemi karami sążeni i karani będą.“

Śmiały redaktorowie wybornej „Gazety Narodowej i Obcej“ Tad. Mostowski, J. Niemcewicz i Józ. Weyssenhoff nie ulękli się

<sup>1)</sup> „Warszawa Illustrowana“, t. IV, str. 47.

jednak grózb i dalej przeciwko Targowicy i targowiczansom występowała. Konfederacja nie mogła jednak znieść niebezpiecznego przeciwnika, to też uniwersałem z dnia 24 lipca 1792 r, generalność zabroniła druku najdzielniejszego podówczas pisma. Zaciętej przeciwnicze kreciej roboty Szczęsnego Potockiego, równie podle, jak nedorzeczne wypisano oskarżenie władzy: „na miejsce prawdy fałsze po kraju nosiła. Wszystkie spisku warszawskiego bezprawia uwielbiała. Listy, czyli raczej paszkwile na czernienie cnotliwych obywateli, chcąc ich ohydzić, ogłaszała. Głosy gorliwych posłów tajiła, przemieniała... Kiedy monarchicznych ustaw siłą utrzymać nie widzi nadziei — pełna jadu i żółci odważa się cnotliwych (!) dowódców tych, co te ustawy zniszczyć złączyli się, czernić i nadzieją obiecanych pomocy do ostatniej zguby przyprowadzić część obłąkanego (!) narodu...“ Po dobrym początku Targowicy, zrobionym przez zamknięcie niebezpiecznej dla szajki targowickiej „Gazety Narodowej,“ wkrótce nadeszła kolej i na „Pamiętnik historyczny“ Świtkowskiego: „jako chytre i buntownicze zamykającego w sobie wyrazy.“ Tak to mijają piękna dla polskiej drukowanej myśli wiosna.

„Drukarniom warszawskim — pisze Wł. Smoleński <sup>1)</sup> — wzbroniono tłoczenia pism przeciw konfederacji, odezw buntowniczych i niemoralnych, głosów bezimiennych, paszkwilów, fałszywych wiadomości w gazetach i t. p. W wykonaniu „urządzenia“ marszałek wielki koronny Mniszech zaleceniem z d. 17 września (1792 r.) *zaprowadził cenzurę*. Bez jego aprobaty żadne pismo nie może być publikowane. Drukarze obowiązani są rękopisy oryginalne składać w biurze ur. Glińskiego, sekretarza urzędu marszałkowskiego. W kwestyach cenzury marszałek, nie krępowany żadną ustawą, miał władzę dyskrecyonalną. Tylko w materjach większej wagi odwoływał się do generalności: odesłał np. do decyzji konfederacji obu narodów notę Descorches'a z 8-go września w sprawie opublikowania uchwał Zgromadzenia narodowego o zawieszeniu we Francji władzy królewskiej. — Po zaprowadzeniu cenzury zapanowała w Warszawie cisza publicystyczna, którą mąciły tylko odgłosy uniwersałów konfederackich i ordynansów Kachowskiego.“

Ustanowienie cenzury świeckiej stało się faktem. Skrzętna w zabiegach swoich Targowica przystąpiła też niezwłocznie do

---

<sup>1)</sup> Władysław Smoleński: „Konfederacja Targowicka“, Kraków 1903, str. 337 — 8.

wypracowania odpowiednich regulaminów cenzury, „iżby odtąd nieograniczona wolność prasy nie mogła w Ojczyźnie Naszej, rzucać nasiona obyczajów zepsutych, ani rozsiewać błędów w fałszywych zdaniach, spokojności i szczęśliwości (!) krajowej uszczerbek przynieść mogących“<sup>1)</sup>. Instrukcyja dla drukarzy warszawskich za podpisem marszałka W. Kor. Michała Wandalina Mniszcha ogłoszoną została urzędownie w dniu 1 lutego r. 1793. Przebiegłą, paraliżującą wszelką wolność druku „Instrukcyę“ poprzedzały równie wznioste, jak nieszczerze słowa: „radziłyśmy owszem odtąd widzieć, żeby z czystego oświecenia, sława, a z nieskażonego charakteru i obyczajów Narodowych, zaleta powszechna wzrastała. W tej myśli My, Marszałkowie Wielki i Nadworny Koronni, wraz z przydanemi Assessorami od Najjaśniejszej Konfederacyi Generalnej Obojga Narodów, osądziliśmy za potrzebę wydać to niniejsze Nasze Urządzenie“... W myśl tych zbawczych, zdaniem targowiczian, przepisów „wszyscy drukarze i przełożeni nad drukarniami warszawskimi nie będą ważyli się odtąd drukować żadnego pisma i książki, bądź oryginalnej polskiej, bądź tłómaczonej z obcego języka na polski, bądź w obcym języku do druku w kraju podanej, bez aprobaty i podpisu jednego z cenzorów na to wyznaczonych“ (§ 1). Zasadnicze to rozporządzenie dotyczyło zarówno utworów literackich, jak gazet i wszelkich wydawnictw peryodycznych. Aby uniknąć wszelkiej w wykonaniu tej ustawy zwłoki, w „Instrukcyi“ ogłoszono jednocześnie wykaz osób, obdarzonych godnością cenzorów warszawskich. Do dzieł teatralnych, polskich książek i pism peryodycznych z zagranicy sprowadzanych, zamianowano Stanisława Pruss Trembeckiego. Do książek oryginalnych polskich i z innych języków tłómaczonych, w Warszawie drukujących się — scholastyka katedralnego, Ignacego Raczyńskiego. Do czasopism warszawskich — Kanonika Jana Dorau'a.

Instrukcyja powyższa wkłada jednocześnie na cenzorów obowiązki kontrolowania nie tylko drukarń, ale i księgarń warszawskich. „Drukarze tutejsi — głosi punkt czwarty — zazwyczaj mają i księgarnie swoje publiczne; zaczem, gdy wyznaczony jeden na to z cenzorów zejdzie, i żądać będzie pokazania sobie wszystkich katalogów książek, aktualnie teraz znajdujących się, i wielość egzemplarzy, te mu wiernie okazane być mają.“ Tak dokonując rewizyi i dokładnie sprawdzając prawomysłność tekstu książek,

<sup>1)</sup> Dodatek do „Dziennika Handlowego“ za r. 1793.

cenzorowie mieli nakazane opieczętować te dzieła, jakie za niedozwolone osądzić uznają za potrzebne" (§ 6). „Wszystkim punktom w urzędzeniu naszym umieszczonem — kończy Instrukcyja — zalecamy jaknajściślejsze posłuszeństwo, a to pod odpowiedzialnością w sądzie naszym za doniesieniem nam, o przestępującym od cenzorów na to od nas wyznaczonych, z instancyi ur. instygatora sądu naszego, moc czynienia o takowe przestępstwa mającego, i pod przestępstwa karami w miarę przestępstwa wskazać się mianem." Tak więc mimo nawet istnienia ogólnikowej Instrukcyi, Targowica gwarantowała sobie pełną dowolność w sądzeniu przestępców, wyłamujących się z pod narzuconego ludziorom oniemia i drętwyoty czynu.

Pełna cisza zapanowała odtąd w pismach jawnie redagowanych w dobie rządów Konfederacyi Targowickiej. Cenzura steroryzowała wydawców i redaktorów, z drugiej zaś strony czytelnicy domagali się innej, żywszej treści dzienników. Doprowadzony do rozpaczycy ks. Malinowski, redaktor „*Korespondenta Warszawskiego*“ odezwał się nareszcie z pełnem bezsilności wyjaśnieniem wobec czytelników. „Przysłano do mnie — pisał — listy niektóre z uwagami i wyrzucaniem na oczy umieszczenia w korespondencyi wiadomości i pism dla wielu niemiłych, odgrażając wzgardą mego pisma i dalszym jego nieabonowaniem. Cóż mam robić? będę więc i sam pisał i sam czytał, gdy nie znajdę amatorów dla niesmacznych (jak twierdzą) kawałów. Każą mi niektórzy Jejmość zdania i uwagi od siebie nadesłane, a w nich zawarte obelgi nawet osób godnych w korespondencyi umieszczać. Możeby takową popelił ich wolę, gdyby równie było wykonać, jak rozkazać łatwo, albo gdyby ciż jejmość, nim pisma mego będą czytelnikami, raczyli wprzód raczej — cenzorami zostać, nie zaś po wydrukowaniu już te ganić wiadomości“...

Konfederacya święciła tryumf, pisma legalne posłusznie spełniały zalecenia cenzorów.

### III

Wraz z zaprowadzeniem rządów pruskich na ziemiach polskich, wydawców, księgarzy, autorów i dzienniki obowiązywały nowe narzucone prowincjom prawa. Władze pruskie, jak poprzednio Konfederacya Targowicka, ustanawiały cenzurę uprzednią z rzekomo wzniostłych i obywatelskich pobudek. Rozporządze-



niem o zaprowadzeniu cenzury z d. 12-o lipca r. 1794 postanowiono więc w pismach zwalczać wszystko, co „powszechnym maksymom religii, państwu i tak moralnemu, jako też obywatelskiemu porządkowi, sprzeciwia się, albo na uszczerbek osobistego honoru i dobrej sławy innych zmienia“... Niewinne te motywy stwarzające cenzurę pruską w Warszawie, nakładały istny kaganiec na prasę polską. Nigdy też bodaj jeszcze do podobnego stopnia bezbarwności nie dochodziły czasopisma warszawskie; z konieczności pisać musiano o wszystkim, z wyłączeniem — jedynie wszystkiego tego, co choć pobieżnie dotykało spraw kraju i społeczeństwa. „Cenzurowanie książek i pism — mówi Wł. Smoleński<sup>1)</sup> — dotyczących administracyi i politycy krajowej, sztuki lekarskiej i ekonomii należało do kamer; kontrolowanie reszty stanowiło atrybucyę regencyi. Wydawca lub drukarz za treść wytłaczanego po zaaprobowaniu dzieła nie odpowiadali, pociągany jednak był autor, zwłaszcza jeżeli cenzora podszedł, albo za pomocą środków zabronionych, pozwolenie jego sobie wyjednał. Wydawca lub drukarz — za ogłoszenie dzieła bez pozwolenia cenzury, bez względu na treść jego, podlegali karze od 5 do 50 talarów.“ Roznosiciele, rozpowszechniający ze świadomością publikacye wzbronione, podlegali karze więzienia do szesnastu tygodni.

Te obowiązywały prawa zasadnicze cenzury na ziemiach polskich, zostających pod rządami oręża pruskiego. Na Litwie władze rosyjskie zajęły się zorganizowaniem cenzury, poczynając od roku 1799. Reskryptem Cesarskim z d. 4 lipca t. r. „wskazano na ukrócenie mogących wpływać przestępstw w przewożeniu niedozwolonych książek przez Połagę“<sup>2)</sup> na przedstawienie gubernatora litewskiego, ustanawiając jednocześnie cenzurę w Wilnie, jako mieście „za najdogodniejsze uznane.“ Jednocześnie zalecono spełnianie obowiązków cenzora do spraw duchownych — ks. Augustynowi Tomaszewiczowi, do spraw cywilnych — ex-pułkownikowi Karolowi Gerdsdorfowi, do ksiąg uczonych — b. podczaszemu Józefowi Kossakowskiemu, do języka żydowskiego — Karolowi Tilowi. Sekretarzem pierwszego komitetu cenzury mianowano Kazimierza Kontryma. Dla trzech pierwszych osób wy-

<sup>1)</sup> Wł. Smoleński „Rządy pruskie na ziemiach polskich,“ str. 45 — 46, Warszawa, 1903 r.

<sup>2)</sup> „Sbornik postanowlenij i rasporiazenij po cenzure z 1720 po 1862 god,“ Petersburg, 1862. Str. 55 — 56.

znaczono pensyę po 800 rb. rocznie, dla dwóch ostatnich — po 600 rb., a nadto dla służących w kancelaryi i na wydatki tysiąc rubli. Razem etat cenzury wileńskiej wynosił cztery tysiące sześćset rb. rocznie<sup>1)</sup>.

Początkowo cenzura wileńska posilkowała się specjalnie udzielonemi jej *instrukcyami*. Ustawa normalna dla cenzury wileńskiej istnieje bowiem od r. 1804 z d. 9 (22) lipca. W myśl tego Najwyżej zatwierdzonego statutu, „głównym zadaniem rozpatrywać (cenzury) jest dostarczać społeczeństwu książki i dzieła, przyczyniające się do prawdziwego oświecenia rozumów i kształcenia obyczajów i oddalać książki i dzieła, przeciwnie temu zamiarowi“ (§ 2). „Komitet cenzury i każdy cenzor w szczególności, przy czytaniu książek i dzieł śledzi, aby nie było w nich nic sprzeciwiającego się religii, rządowi, moralności i osobistemu honorowi kogokolwiek z obywateli. Cenzor dozwoliwszy książkę lub dzieło, przeciwnie temu przepisowi, jako naruszający prawo, podlega odpowiedzialności, w miarę ważności winy“ (§ 15). „Jeżeli do cenzury przesłany zostanie rękopis, pełen myśli i wyrażeń, jawnie odrzucający zasady (*bytjo*) Boże, uzbrajając się przeciwko religii, i prawom ojczyzny, obrażający wyższą władzę, lub całkowicie sprzeciwiający się duchowi społecznemu ustroju i ciszey — *Komitet niezwłocznie zawiadania rząd o rękopisie tym, dla odszukania autora i obejścia się z nim podług prawa*“ (§ 19). „Zresztą, cenzura zakazując druk książek i dzieł, kieruje się rozumną względnością, unikając tendencyjnego (*pristrastnago*) tłumaczenia dzieł, lub ustępów w nich, które w skutek rzekomych przyczyn wydają się nadającemi do zabronienia. Kiedy ustęp, uznany za wątpliwy, ma dwojakie znaczenie, w takim wypadku lepiej wyrazić go w sposób bardziej odpowiedni dla autora, aniżeli go przesładować“ (§ 21).

Przy przestrzeganiu takich przepisów odbywało się cenzurowanie ksiąg i czasopism w Wilnie, kiedy w Warszawie rządy pruskie chyliły się ku końcowi. W r. 1807 ogłoszono konstytucyę Księstwa Warszawskiego, a wraz z zaprowadzeniem nowej administracyi, nowe obowiązywały prawa. W art. 40 organizacyi ministrów z dwudziestego kwietnia 1808 r. powiedziano<sup>2)</sup>, iż za-

<sup>1)</sup> Od r. 1803 istniała jednocześnie specjalna cenzura przy uniwersytecie. Misyę cenzorów pełnili wybieralni profesorowie.

<sup>2)</sup> „Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego. Wydział spraw wewnętrznych.“ Tom II, 23.

chowanie wolności druku w granicach przepisać się mających należy do obowiązków ministra spraw wewnętrznych. W szczególności zaś na niego włożona została cenzura wszelkich dzieł, prócz pism i gazet peryodycznych w materji politycznej. Cenzura polityczna dzienników należała do ministra policyi, podług art. 59 teje organizacyi. W ten sposób cenzura przewencyjna w owym czasie była rozdzielona między dwoma ministrami. Regulamin prasowy nie był jednak nadmiernie dla wydawnictw uciążliwym. Po destrukcyjnych rządach pruskich dziennikarstwo polskie nabierało obecnie życia i barwy. Jedynie w dziale artykułów politycznych, ze względu na ówczesną drażliwość dyplomatyczną, należało zachowywać umiarkowanie, niekiedy — wprost milczenie.

Wraz z zaprowadzeniem ustroju Królestwa Kongresowego w artykule 16 konstytucyi z r. 1815 powiedziano <sup>1)</sup>, iż wolność druku jest zaręczona, i że prawo przepisze *środki ukrócenia jej nadużyć*. „Stosownie do powyższych zasad—pisze prof. d-r Okolski <sup>2)</sup> — były wydane po r. 1815 różne przepisy, wskazujące władze, które miały zajmować się cenzurą przewencyjną. Statut organiczny Komisyj rządowych z d. 5 (17) października 1816 roku, a także organizacya Komisyi wyznań relig. i ośw., tudzież Komisyi spraw wewnętrznych i policyi włożyła na te dwie Komisye obowiązek przestrzegania wolności druku, a także zapobiegania jej nadużyciom przez cenzurę. Organizacya znów administracyjna z 5 lutego r. 1816 w art. 7 włożyła na wydział wyznań religijnych i oświecenia narodowego w komisjach wojew. obowiązek czuwania w województwach nad wolnością druku, według przepisów. Postanowienie namiestnika z 22 maja 1816 r. poruczyło Komisyi wyznań religijnych i oświecenia publicznego przedsięwzięcie wszelkich środków, jakie za potrzebne uzna do ukrócenia nadużyć wolności druku, stosując się pod tym względem do dawnego prawodawstwa polskiego i urzędzeń za Ks. Warszawskiego wydanych. Według tego postanowienia wszystkie gazety i pisma peryodyczne bez wyjątku miały odtąd ulegać cenzurze rządowej. Rozporządzenie to zostało rozciągnięte do dzieł wszelkiego rodzaju, nawet nie peryodycznych, przez postanowienie namiestnika roku 1819.

<sup>1)</sup> „Dziennik Praw Królestwa Polskiego.“ Tom I, 10.

<sup>2)</sup> Dr. Antoni Okolski „Wykład prawa administracyjnego.“ Warszawa, 1880—4. Tom I, str. 166—7.

Kierującym wydziałem cenzury na Królestwo Polskie miano-  
wano Józefa Kalasantego Szaniawskiego, literata i uczonego, je-  
dnocześnie urzędnika, kolejno zajmującego wybitne w administra-  
cyi stanowiska. Funkcjonująca pod sterem Szaniawskiego cenzu-  
ra nie okazywała się w początkach zbyt hamującą rozwój piśmien-  
nictwa i prasy w Warszawie. Owszem, stolica kraju dawno, bo-  
daj nigdy nawet, nie uwydatniała tak żywych prądów literackich,  
staré politycznych w czasopismach i haseł szczerych, postępo-  
wych. Nie mniej przecież warunki cenzuralne zaznaczały się na  
niektórych organach warszawskich. Redaktorzy *Gazety Codzien-  
nej* Bruno Kiciński i Teodor Kiciński zmuszeni byli zawiesić swe  
wydawnictwo wraz z zaprowadzeniem cenzury w Warszawie. Po-  
dobnegoż końca doznał się i „*Orzeł biały*,” żywo i dzielnie re-  
dagowany organ postępowo - narodowy, kierowany przez poprze-  
dnych redaktorów *Gazety*. Ogólnie jednak biorąc, literatura i pra-  
sa względną cieszyła się swobodą, zarówno w Warszawie jak  
Wilnie. Życie piśmiennicze kwitło też w dwóch odwiecznych  
grodach, przynajmniej w stosunku do Galicyi i Wielkopolski,  
gdzie systemy germanizacyjne doprowadzały czasopiśmiennictwo  
polskie do najkompletniejszego upadku. Ziemię tę znajdowały się  
w sytuacji, w jakiej przed kilkunastu laty do kompletnej dewa-  
stacyi narodowej doprowadziły rządy prusaków w Warszawie.

#### IV

Z upadkiem wojny r. 1831 i zniesieniem konstytucyi Króle-  
stwa, nowe obowiązując zaczęły instrukcye cenzuralne zarówno  
w Warszawie, jak Wilnie. Nastął czas, kiedy pisma polskie na  
Litwie przestawały zupełnie wydawnictwa, zamienione na edycye  
zeszytowe („*Athenaeum*,” „*Teka Wileńska*”), bądź też, jak „*Kuryer  
Litewski*“ (1834—40) w dwóch drukowano językach. Pisma war-  
szawskie i pod wpływem silnych wstrząśnień politycznych i ze  
względu na tak zwane „warunki niezależne“ stają się suchemi  
i sztywnemi. Postanowienie namiestnika z dnia 10 maja r. 1836 <sup>1)</sup>  
rozszerza jeszcze cenzurę do płodów litografii i sztycharstwa.  
W trzy lata później, z utworzeniem Okręgu naukowego warszaw-

<sup>1)</sup> „Dziennik Praw.“ Tom XVIII, 429.

skiego, zarząd cenzury przechodzi na kuratora tegoż okręgu, przy którym ustanawia się specjalny komitet. Ustawa z roku 1843 modyfikuje jeszcze tę organizację. Na mocy nowej ustawy istniejący warszawski komitet cenzury zostaje przy okręgu naukowym, co zaś do cenzury wewnętrznej — pod głównym kierunkiem namiestnika Królestwa i ministra oświecenia narodowego Cesarstwa; co do zagranicznej, pod kierownictwem głównego zarządu w Petersburgu, obie zaś w zawiadywaniu kuratora okręgu naukowego, a pod prezydencją jego pomocnika<sup>1)</sup>. W ogóle cały ustrój przedstawiał machinę mało uproszczoną i w sposób przykry dający się uczuć zarówno literaturze, jak i prasie warszawskiej. System ten odbijał się zresztą nietylko na wydawnictwach osób prywatnych w Warszawie, ale i na lojalnym „*Tygodniku petersburskim*,” organie urzędowym dla Król. Polskiego.

Być może, wydałoby się przesadą, gdybyśmy uwydatniać mieli samodzielnie te wszystkie fakty, jakie zna historia cenzury pism polskich. Przekładamy więc raczej przytoczyć w skróceniu mało u nas znane, a niezmiernie ciekawe „Wspomnienia J. A. Przeclawskiego“ redaktora „Tygodnika,” które, ku schyłkowi swego życia, pomieścił był autor w rosyjskiem czasopiśmie „*Ruskaja Starina*“ za rok 1875, (nr. 9, str. 131 — 160).

„Od końca roku 1830 — pisze Przeclawski — gazeta „*Tygodnik*“ stała się organem najbardziej energicznego osądzania ruchu warszawskiego i nie przestawała wszelkimi siłami przeciwdziałać rewolucyjnym doktrynom, przez jakie pod hasłem kłamliwego patriotyzmu większa część narodu polskiego, wciągnięta została do przestępstw i zguby. Dla takiego przeciwdziałania jak i wszelkiej walki za prawdę, wobec panującego w Królestwie i Kraju zachodnim fanatyzmu, trzeba było niemało nietylko męstwa, ale i zaparcia się siebie, bo gazeta i jej redaktor z takim kierunkiem nie mogli przypadać do gustu owoczesnej publiczności polskiej.

„W roku 1832 rząd przyznał naszemu piśmu nazwę i prawa oficjalnej gazety Królestwa Polskiego. Prawie jednocześnie, zdaje się w początku roku 1833, redaktor, razem z czterema kolegami swymi z uniwersytetu, a znajdującymi się jak on na służbie rządowej, przez trybunał emigrantów paryskich skazani zostali na śmierć i uwięzieni, według portretów, na polu batiniolskiem. Wszystko to mówię dla tego, aby wykazać, że „*Tygodnik*“ zasługiwał

<sup>1)</sup> „Encyklopedia powszechna“ (stara). Tom V.

na pełne zaufanie rządu — dawał wszelkie gwarancje lojalności i oddania się obowiązкови. To, co ja sam pisałem i moi współpracownicy redakcyjni, nie mogło podlegać żadnym podejrzeniom; dla artykułów nadesłanych przez osoby obce byłem najostrożniejszym cenzorem.—Jedno o co prosiłem Opatrzność to to, aby moim cenzorem był człowiek mądry, taki, który rozumiałby wszystko w tym prostym sensie, w jakim się pisze, aby nie szukał, jak to mówią Francuzi, „pół dnia w czternastej godzinie,“ i na białym papierze, między wierszami nie silił się czytać tego, czego tam wcale nie było.

„Pismu mojemu, przy jego debiucie, powiodło się i pod względem cenzuralnym. Od roku 1830 — 1847 włącznie znajdowało się ono pod opieką ludzi rozumnych, wykształconych i znających dobrze język polski. W tym okresie „Tygodnik,“ nienapotykał na nieracjonalne przeszkody, zamieścił najbardziej godne uwagi artykuły i całe dzieła lepszych owoczesnych autorów. Ale po tym okresie nastąpił i trwał prawie dziewięć lat peryod inny, jaki można nazwać rozpaczliwym stanem pisma. Przyczyny niepomyślnego wpływu dwóch osób w różnych czasach, ale kolejno cenzurujących „Tygodnik,“ były różne i czysto *osobiste*, lecz przez to wcale mi lżej nie było. Pierwszy, rozumny i uczony, nie był cenzorem oficjalnym; zajmował on stanowisko wybitne w sferach uczonych i był niem bardzo zajęty. Obowiązek cenzurowania mojego pisma był mu zlecony wbrew jego powołaniu i oddany bez wszelkiego wynagrodzenia, powierzony ot, wprost dla tego tylko, iż znał język polski. On sam otwarcie przyznał mi się, że przy odpowiedzialności, jaka w ówczesnym trwożliwym okresie spadała na cenzurę i przy jego zajęciach, bodaj czy może uważać za swój obowiązek zadawać sobie tyle trudu, by wnikać w sens prac literackich z pełną uwagą cenzora: praca byłaby nieowocną, a ryzyko zbyt duże. Nie mogłem nie uznać pewnej podstawy takiego *realnego* poglądu i musiałem się zrzec wszelkiej literatury, ograniczając się w piśmie do wiadomości wewnętrznych oficjalnych, półurzędowych zagranicznych i najbardziej niewinnych „rozmaitości.“ Tym sposobem nie zakończoną została w „Tygodniku“ piękna powieść Kraszewskiego.

„Inny, czytający moje pismo nieszczęsne w drugim okresie jego ciężkich czasów, był już cenzorem oficjalnym. Ale ten prócz nadzwyczajnej bojaźni, miał pewien *maleńki* brak: nie umiał on słowa po polsku! Przy całym obrachunku czasu, wobec powolności cenzora, nie mogłem nie zauważyć, że moją korektę przetrzymywał zbyt długo, często do późnej nocy. Przestałem jednak

dziwić się temu, kiedy dowiedziałem się, że za każdym razem pisał po pewnego studenta, urodzonego na Litwie, który tłumaczył mu ustnie każde słowo. Po przewyciężeniu trudności językowych, występowały dopiero na scenę przeszkody intelektualne. I przy tym cenzorze musiałem się zrzec wszelkiej literatury, wszelkich artykułów z rozumowaniami i wnioskami. Pismu, więcej niż kiedykolwiek, sądzone było prowadzić żywot marny, nikły. Aby zaś ktoś nie mógł podejrzewać mię o przesady, i aby dać pojęcie o takim cenzorze i o mojem owoczesnem położeniu, przytoczę z pośród wielu innych, dwa następujące przykłady:

„Od znanego właściciela cukrowni, obywatela wołyńskiego, Zenona Hołowińskiego, otrzymałem list z Brukselli, w którym prosi mię o wydrukowanie, iż w mieście tym widział zastosowanie do wyrobu cukru świeżo odkrytego procesu, przy którego pomocy skryształowaną rafinadę otrzymuje się w 24 godzin ze świeżego soku buraczanego. Autor listu przestrzega fabrykantów, aby wstrzymali się od zaprowadzenia wszelkich ulepszeń, aż do jego powrotu na wieś, kiedy wszystkim zakomunikuje nowy sposób, z którym on zapoznaje się obecnie w Belgii.

„Cóż mogło być bardziej cenzuralnie niewinno? Ale to mnie się tak zdawało; dwuokiemu zwyczajnemu śmiertelnikowi. Mój stooki Argus dojrzał przecież w tem coś takiego, co zniewoliło go do zatrzymania artykułu, aż do decyzji komitetu. Jeśliby z tego powodu naznaczono nagrodę na domyślność, to i wtedy, sądzą, nikt nie znalazłby nic takiego, co zwróciło uwagę mojego cenzora. Wybrałem się do niego z oryginałem listu. Tu na moje pytanie p. A., tłumacząc się przedemną, powiedział:

— „Zlituj się pan, nie mogłem się niezawahać: w artykule mowa o krystalizacyi, o sile dośrodkowej i o rozpowszechnianiu nowości w kraju. I przy tem wszystkim wynalazca.— Rousseau! Czyż nie jasno widać tu przenośnię?

„Nie miałem co odpowiedzieć i tylko siłą woli wstrzymałem się od śmiechu, spodziewając się, iż artykuł komitet ocenzuruje. Lecz to właśnie osobliwość, że list Hołowińskiego był całkowicie zabroniony przez cenzurę. Ależ jakie było zdziwienie i pierwszej i apelacyjnej instancyi, posadzających o podstępna agitacyę, kiedy w dwa tygodnie po takiej decyzji ukazał się w „*Wiadomościach Senatorskich*“ przywilej nadany panu Rousseau na jego wynalazek. Wtedy cenzor naiwnie i prawie nie czerwiejąc się, powiedział mi, że teraz do wydrukowania listu Hołowińskiego „przeszkód nie spotyka się.“

Inna nadzwyczajność. W chemii od dawien dawna pozostaje nie rozstrzygniętą kwestya: co to jest *Curare*, straszliwa trucizna, którą dzicy z Ameryki Południowej i niektórych wysp nasycają swoje strzały, kindżały i t. p. i przy której działaniu momentalnie zadają śmierć przy najmniejszej ranie. Nareszcie Humboldt w czasie ostatniej swojej podróży rozwiązał pytanie; ten widział i opisał, jak przygotowuje się truciznę. Znalazłszy o tem wiadomość w pewnem piśmie angielskiem, powtórzyłem to w rubryce „rozmaitości.“ Nic dziwnego, że spostrzegawczy cenzor, zląkwszy się krystalizacyi cukru, bał się również i *Curare*. Wstrzymał też artykułik do rozpatrzenia przez swój areopag. Kiedy zapytałem go o przyczynę, odpowiedział mi z właściwą sobie subtelnością:

— „Ta wiadomość może posłużyć dla złego człowieka, jako recepta do zrobienia podobnejże trującej substancyi.

Napróżno tłómaczyłem, że taki zły człowiek musiałby odbyć podróż w te strony, gdzie rośnie drzewo i gdzie hodują się wspomniane żmije. To cenzora nie przekonało. Komitet cenzury nie podzielił jednakże tym razem ultra-humanitarnych bojaźni. Mógłbym przytoczyć masy podobnych przykładów, regularnie powtarzających się dwa razy na tydzień, ale przypuszczam, że i dwóch wystarczy, aby dać pojęcie o mojem położeniu i tym żalu, jaki odczuwałem, bez żadnej z mojej strony winy, widząc upadek pisma, które w pierwszych latach 16 zajmowało tyle szanowne miejsce w prasie. Pomoc zaś, wskutek ówczesnych przyczyn, była niepodobieństwem; wiedziałem napewno, że skargi na cenzora, i właśnie na mojego cenzora, nie doprowadziłyby do niczego, dołączyłaby się do mnie tylko niechęć osobista. Zresztą, nie miałem czego zazdrościć innym, nawet wydaniom rosyjskim.“

Istotnie, A. M. Skabiczewskij, autor głośnej pracy o cenzurze<sup>1)</sup> podaje wiele, podobnych do Przeclawskiego, żywo ilustrujących rozpaczliwy stan skrępowanych czasopism petersburskich i moskiewskich, a bardziej jeszcze — wydawnictw prowincjonalnych.

Wspomnienia Przeclawskiego typowe są ze wszechmiar i z małemi zmianami dałoby się je zastosować, jako obraz stosunków, aż po dni ostatnie... W dziejach prasy polskiej przed

<sup>1)</sup> „Oczerki istoriji ruskoj cenzury.“ Petersburg, 1892.



rokiem 1860 istnieją jednak i momenty nieco pogodniejsze. Pomijam tego rodzaju przysługi materyalne dla prasy polskiej, jak udzielanie subsydyów rządowych, dla „*Pamiętnika Sandomierskiego*“ (1829—30), „*Pamiętnika religijno-moralnego*“ (od r. 1841), lub słynnego z artykułów Hr. Rzewuskiego „*Dziennika Warszawskiego*“ (1851—6), ale trzeba zaznaczyć, iż około roku 1850 literatura warszawska pozyskuje względnie większą swobodę w wypowiedaniu się. Niezawodnie, nie wpływała na to obowiązująca od roku 1843 ustawa prasowa, która ujmowała w pewne ramy regulamin o czem pisać można było, a o czem należało milczeć; postawa cenzury bowiem zawsze bardziej uzależnioną bywa od tyśiącznych cyrkularzy i różnych „prądów“, niżli od samego statutu zasadniczego, który stosownie do warunków zawsze da się tłómaczyć w ten, lub inny sposób. Do roku 1850, lubo o wolności prasy nie było mowy, nie mniej przecież mógł się zbudzić tak wielki ruch dziennikarski, jakiego od roku 1820 nie znano w Królestwie. Zbudzone ożywienie publicystyczne w Warszawie, upada jednak wraz z zaprowadzeniem w kraju rządów margrabiego Wielopolskiego. Zawiodły pokładane nadzieje, że dziennikarstwo warszawskie korzystać będzie chociażby z tej swobody, jakiej już w r. 1862 używała prasa rosyjska. której mimo cenzury dozwolono zajmować się szeroko sprawami wewnętrznymi kraju i zewnętrznymi... Dziennikarstwo rosyjskie cieszyło się względną swobodą, i ono jednak miało pewne zastrzeżenia. Z rozkazu Najwyższego nadany był obowiązek, „aby przez cenzurę nie były przepuszczane artykuły, mające na celu działać na umysły w rozumieniu wskrzeszenia Polski, nawet i w tym wypadku, gdyby artykuły te dotyczyły wyłącznie Galicyi, lub Wielkiego Ks. Poznańskiego“<sup>1)</sup>.

Zastrzeżenia dla prasy rosyjskiej ukazywały się w tym czasie niemal że wyjątkowo, nowe krępujące wolność rozporządzenia o cenzurze w Królestwie mnożą się natomiast obficie. W dn. 12 czerwca 1861 r. rozesłano cyrkularz<sup>2)</sup>, aby „dzieła w polskim języku do czytania dla ludu i abecadło, rozpatrywano ze szczególną przezornością i zwracać uwagę na to, iżby w dziełach tego rodzaju nie przepuszczano artykułów, dążących do podtrzymania narodowości polskiej i kierunku w tym rozumieniu.“

<sup>1)</sup> Skabiczewskij l. c. str. 467.

<sup>2)</sup> „Sbornik postanowlenij po cenzure“ (wydanie urzędowe). Petersburg, 1862. Str. 459 — 461.

Z objęciem stanowiska dyktatora przez Wielopolskiego, margrabia - wielkorządca stał się istnym biczem dla prasy polskiej w Warszawie. Zarzutów pod tym względem nie zdołał przemilczeć, nawet gorący zwolennik margrabiego, a znany lojalista, autor „Historji sześciu miesięcy,“ Walery Przyborowski. „Margrabia przez szczególne zaślepienie, czy też rozgoryczenie przeciw dziennikarstwu warszawskiemu, do którego zawsze żywił urazę i gniewał się, że nie śpiewa na cześć jego dytyrambów, jeszcze bardziej prasę skrępował i oddał zupełnej dowolności cenzorów i policji“ — pisze lojalny dziejopis. Pomieszczania jakichkolwiek artykułów wstępnych, lub rozumowań Wielopolski najostrzej prasie warszawskiej zakazał. Wolno tylko było pomieszczać przedruki z zacytowaniem jedynych trzech organów zagranicznych: *Times*, *Indépendance Belge* i *Schlesische Zeitung*. Głośny naówczas publicysta, redaktor „*Gazety Warszawskiej*,“ Józef Kenig z konieczności uciekał się nieraz do fortelów i pod własnymi, oryginalnymi artykułami, podpisywał tytuł pisma zagranicznego. Podstępny takie udawały się jednak tylko w ogłaszaniu artykułów politycznych, traktujących o sprawach europejskich, lubo niekiedy, z umysłem, pisanych alegorycznie... Ogólnie jednak prasa warszawska milczała. Głosu jej nikt usłyszeć nie mógł przed wypadkami z roku 1863. Polityka prasowa Wielopolskiego, była jednym z największych nieszczęść narodowych.

Dziennikarstwo wielkopolskie i galicyjskie w o wiele lepszych znajdowało się ówczesnie warunkach. Cenzura tam nie istniała. Po silnej presji germanizacyjnej zakordonowa prasa odżyła. Zwłaszcza Kraków i Lwów stawały się ośrodkami ruchu publicystycznego. Gotowało się do wcielania wielkich reform konstytucyjnych w Galicyi, które dziennikarstwu tamtemu nadać miały pełną wolność. Sędzia i prokurator stali się jedynymi instancjami zwierzchnictwa nad prasą. Granice wolności prasowej zdobywano krok za krokiem, rozszerzając prawa swobody i przywilejów. Akcja ta walki w Galicyi trwała i trwa aż do dni ostatnich, zdobywając jaknajlepsze rezultaty.

## V

Nie nadeszła jeszcze chwila stosowna do kreślenia historii cenzury w Królestwie Polskim za czas, po roku 1863. Dzieje te na Litwie przedstawiają się prościej: w okresie od r. 1865 aż po rok 1905 nie wolno było w Wilnie wydawać żadnego dziennika, drukowanego w języku polskim. W Warszawie i na prowincyi Królestwa Polskiego cenzury dzienników i książek przedstawiać będą nieprawdopodobny dla przyszłych pokoleń materiały historyczny. O dziejach policyi myśli polskiej powstanie kiedyś dzieło, które będzie nosiło wszelkie cechy przesady i nieprawdopodobieństw. Ale jak dzisiaj zauważa słusznie „Gazeta Polska“ (z d. 31 października r. b.) „trzeba było przeżyć z nami tę srogą epokę ucisku i bezprawia, która, niestety, trwała zbyt długo...— Mieliśmy związane ręce, zakneblowane usta. Tak związanych i milczących bito. Srożyło się bezprawie we wszelkich formach. Ucisk, jakiemu podlegaliśmy, był podwójnie ciężkim. Zwracał się on przeciw naszym prawom narodowym. Taki system rządów doprowadził do niesłychanego w dziejach zamętu“...

Formalnie, w Królestwie Polskiem, w części istniało prawo o cenzurze, wydane w Rosyi w r. 1857. Przez pewien czas w Warszawie funkcjonowały dwie instytucye, zajmujące się cenzurą: Komitet Cenzury i oddział prasy peryodycznej<sup>1)</sup>. Ukaz wszakże z dnia 17 września 1869 roku zniósł obydwie te władze i utworzył zamiast nich jedną, t. j. Warszawski Komitet Cenzury, z poddaniem go według ogólnego w Cesarstwie porządku, pod władzę ministeryum spraw wewnętrznych, w wydziale głównego zarządu do spraw prasowych. Tenże ukaz polecił rozciągnąć do Warsz. Komit. Cenzury i do Cenzury w Królestwie Polskiem, moc obowiązującą ogólnej w Cesarstwie ustawy o cenzurze i dodatkowych do niej postanowień. Wyliczenie wszystkich jawnych i tajnych przepisów o cenzurze, stopniowo wydawanych w ciągu ostatniego 40-stolecia, przechodzi ramy kilkutomowego dzieła. Ustawy zasadnicze tonęły całkowicie w tysiącach okólników i cyrkularzy, zawsze znamiennych i nie licujących z wymaganiami

---

1) Okolski l. c., str. 168 — 9, tom I.

XIX i XX wieku. Te wszystkie ograniczenia cenzuralne, doprowadzające prasę polską do najwyższej w świecie jałowości nie pozbawiały zarazem odpowiedzialności wydawnictw przed karami administracyjnymi, które na dziennikarstwie naszym mściły się nieraz w sposób więcej niż nielitościwy.

...I po wielu latach oplakanych stosunków nadeszła epoka reform ogólnopaństwowych. Powołani we wrześniu r. 1905 redaktorowie pism warszawskich wystawili w załączonym memoriale obraz stosunków prasowych w Królestwie. Obradująca w Petersburgu Komisya r. t. Kobeko ze współzuciem przyjęła memoriał ten do wiadomości. Obraz to był szczery i prawdziwy, raczej powściągliwy nawet, niż jaskrawie zwierciadlany.

Praktykowany w kraju naszym system kontroli nad słowem drukowanym — głosi memoriał polski — jest systemem bezwzględnej dowolności administracyjnej, która się nie ogląda na potrzeby społeczeństwa polskiego, a przepisy prawa i interesy państwa tłómaczy sobie według swoich widoków, często nie mających nic wspólnego ani z istotnym duchem praw, ani — według naszej opinii — z istotnymi potrzebami polityki państwowej... Cenzura uprzednia w kraju naszym zmusza naszych uczonych do drukowania swoich dzieł zagranicą; autorom powieści i utworów scenicznych zabrania ona dotykać palących spraw życiowych. Dalej cenzura uprzednia w Królestwie Polskiem nietylko usuwa z druku krytykę władz i instytucyj rządowych, ale wogóle utrudnia wszelką dyskusję o sprawach społecznych, ekonomicznych i politycznych.

Spółczeństwo polskie żąda od swej prasy, ażeby mówiła o jego potrzebach, a ona milczy. O sprawach robotniczych do ostatnich czasów pisać nie było wolno; o sprawach gminnych — nie wolno; o sprawach szkolnych — nie należy. Jeżeli o której z tych lub podobnych spraw ukazał się artykuł, dotyczący naszego kraju, w dziennikach rosyjskich, to bardzo często nie wolno go było przedrukować. Nie wolno także zwracać uwagi na istniejące u nas wadliwe urządzenia administracyjne, ani poddawać krytyce rozporządzeń i czynów najniższych nawet organów władzy miejskiej. Nie wolno także innym razem stawać w obronie praw obowiązujących i nieuchylonych, gdy jakiś urzędnik nie uważa za właściwe stosować się do nich. W tych warunkach prasa staje się jałową, sztuka nie jest zwierciadłem życia. A społeczeństwo rozumie, skąd płynie to milczenie prasy o najżywoźniejszych

jego potrzebach, które bez dyskusji publicznej nie mogą być należycie regulowane; rozumie i ma uczucie krzywdy, która mu się przez to dzieje.

Z zestawienia cenzur kilku dzienników prowincjonalnych wypadaloby, że np. nieraz nie wolno było upominać się o porządki sanitarne w miastach, pisać o spełnionych kradzieżach, powstawać przeciw potajemnym szulerniom, wzywać społeczeństwo do zorganizowania pomocy dla powodzian i głodnych. I jakież są pobudki tych ograniczeń? Widzimy ich dwie kategorie. Pierwszą kategorie stanowią te, które stwarza biurokratyczny *esprit de corps*, szczególnie silny u nas, gdzie biurokracja była w ostatnich czasach zupełnie odosobniona od społeczeństwa. Cenzor liczy się z prezesem, prezes ze wszystkimi naczelnikami urzędników policyjnych, powiatowych, gubernialnych. Nie wolno pisać o śmieciach na ulicy, bo to dotknęłoby kogoś, kto jest odpowiedzialny za porządek w mieście; nie wolno się skarżyć na wczesne zamykanie ogrodów, bo to polecił policmajster lub gubernator; nie wolno pisać o szulerniach, bo tu ktoś mógłby upatrzeć wymówkę dla swego niedbalstwa. Wogóle administracya stara się wyzyskać cenzurę uprzednią dla osłonięcia siebie samej od krytyki, nawet od pozorów krytyki. A przy wzajemnej łączności i zależności władz z łatwością jej się to udaje i tym sposobem cenzura staje się zamiast narzędziem zabezpieczenia państwa od nadużyć — narzędziem do osłaniania organów administracyi nawet od tej kontroli, która leży w interesie publicznym i jest dozwolona przez prawo.

Drugą kategorię pobudek stanowią te, które płyną z motywów politycznych i ze sposobu pojmowania przez cenzorów osobiście lub według wskazówek okólników administracyjnych — praw obowiązujących, oraz z ich poglądów na potrzeby i żądania państwa. Tu pozostawione jest pole zupełnej dowolności. Tylko przez taką dowolność można sobie wytłómaczyć prawie zupełne zamknięcie prasy polskiej przez długi szereg lat dla wszelkiej dyskusji politycznej i społecznej. Tylko z takiej dowolności mogły wypływać zakazy przedruków z pism rosyjskich wszystkich bez wyjątku kierunków, nawet z pism urzędowych, kiedy jednocześnie te same pisma, z temiż artykułami sprzedawane były po ulicach Warszawy i czytane w lokalach publicznych. Tylko na takiej dowolności opierało się i opiera staranne usuwanie z prasy polskiej wszelkich cech jej charakteru narodowego, nie już w artykułach, stwierdzających przywiązanie do swej narodowości i języka, ale nawet w drobiazgach, w oddzielnych zdaniach, wyrazach, akcentach.

...Cenzura powinna być zniesiona. Zaś co się tyczy zabezpieczenia państwa od poglądów i nauk, które chce ono uważać za szkodliwe, powinny być do tego użyte inne środki, nie kępujące prawidłowego rozwoju życia społecznego... Samo jednak usunięcie cenzury uprzedniej nie osiągnęłoby pożądanego skutku i nie uwolniłoby słowa drukowanego od ograniczeń zbyt licznych, gdyby jednocześnie nie była zastrzeżona jedynie sądowa odpowiedzialność za wykroczenia prasowe, i gdyby administracyi pozostawione było prawo regulowania biegu prac publicystycznych przez specjalne okólniki i rozporządzenia. Przeżyliśmy w kraju naszym długi okres takich okólników i wiemy, jak daleko one sięgać mogą. Dość powiedzieć, że były w swoim czasie takie, które wdawały się w szczegóły ortografii polskiej...

Rzeczowy, pełen prawdy memoriał o smutnym stanie stosunków naszych prasowych, sprawił był głębokie wrażenie w Petersburgu. Słowa poparto dowodami pokreślonych korekt przez cenzorów, wraz z ich dodatkowymi uwagami. Na cenzurze jednego z organów prowincjonalnych, pod przekreślonym wierszem poetyckim odczytano oryginalny przypisek, iż cenzor zezwalać obiecuje na druk tylko tych utworów, które opiewają „księżyc, słońce i gwiazdy.“ Był to tylko jeden z kwiatków wieńca ku czci dogorywającej, wszechpotężnej władzy cenzury nie tylko w Królestwie, ale i państwie całym. Nałożone na prasę okowy z wolna jednak zaczęły pękać. Sam rząd poczuł, iż taki stan rzeczy nie da się dłużej utrzymać. Przenikliwiej odczuwający sytuację hr. Witte w dniu 16 października długą wypowiedział przemowę na posiedzeniu komisji hr. Solskiego, żywo zaznaczając nieodzowność nadania prasie pełnych swobód obywatelskich. „Przyczyna dezorganizacyi prasy — mówił hr. Witte — tkwi w samym jej postawieniu u nas. Ubranie, które mi skrojono, gdy miałem lat 16, oczywiście teraz nie pasuje na mnie. Cokolwiekbyśmy czynili, będzie się ono rwało — to w plecach, to na piersiach, to w innym miejscu. Rząd sam postawił się w takim położeniu względem prasy przez to, że w tej sferze utrwalił zupełne bezprawie. Prawodawca w ciągu całych lat dziesiątków nie przewidywał nic, on jeden nie szedł za wymaganiami czasu, on jeden nie widział rozrostu samowiedzy społecznej... Teraz wszelkie zakazy, nakładane na prasę i wypływające z przepisów obowiązującej ustawy cenzuralnej, są, mówiąc ściśle, bezprawiem. Cenzura uznaje za swoją kierującą zasadę formułę: „Co chcę — to robię“... Kiedy mnie zapytają: czy należy wydać prawo o prasie

i o zebraniach z przyznaniem wolności tej i tantym?—mogę odpowiedzieć tylko jedno: Należy bezwarunkowo przyznać im wolność!“

W kilka dni po przemowie Wittego wybuchł historyczny strejk kolejowy w całym państwie, stawiając konstytucyjne żądania; między innymi wyzwolenia prasy z pod cenzury. Z ust prezesa gabinetu ministrów wszyscy poddani otrzymali zapewnienie, iż ustanowienie swobód politycznych w Rosyi jest zapewnione, zaś w dniu 30 października opublikowanym został Manifest Najwyższy o nadaniu *wolności słowa*, stowarzyszeń i nietykalności osób. Opierając się na tym Manifestie w dniu 30 października w Warszawie po raz pierwszy trzy dzienniki: „*Goniec Poranny i Wieczorny*“, „*Gazeta Handlowa*“ i „*Kuryer Codzienny*“ wydały wieczorne numery *bez uprzedniej cenzury*. Niebawem w ślad poszły i pozostałe dzienniki warszawskie, a także prasa prowincjonalna w Królestwie Polskiem i „*Kuryer Litewski*“ w Wilnie. Pełną ożywczej swobody wolność przeciąć jednak usiłował zakaz generał-gubernatora warszawskiego. Ale ze zdobytej raz wolnej placówki myśli polskiej prasa ustąpić nie chciała, przekładając raczej wstrzymanie wydawania numerów. Pod silnym wpływem opinii i dzięki zajętemu stanowisku dziennikarstwa, rząd uznał się jednak zmuszonym ustąpić. W dniu 7 listopada *nadeszła urzędowa wiadomość o zniesieniu cenzury dla prasy warszawskiej*.

Niezależne słowo polskie rozbrzmiewa odtąd w Warszawie. Prasa nabrała siły i hartu, ze szpalt odzywa się niekrepowana myśl narodowa. Ukazywać się też poczęły świeże wspomnienia literatów polskich o wczorajszych jeszcze więzach cenzury urzędowej. „W ciągu 20-tu lat z górą — pisze Aleksander Trylski w Nrze 29 „*Czytelni dla Wszystkich*“ — redagowałem *Gazetę Rolniczą* i *Kuryer Rolniczy*. Zdawało się, że w pismach tak specjalnych, atrament czerwony cenzora nie mógł mieć nic do czynienia. Tymczasem miał, i dużo. Dopóty dopóki prezesem Komitetu był Ryzów, artykuły ustawy o cenzurze stosowano mniej więcej prawidłowo. Była surowość, ale nie było prześladowania. Gdy atoli zjechał Hurko i naprowadził ze sobą całą czerń swoich faworytów, stan rzeczy zmienił się w sposób straszliwy. Gnębiono słowo drukowane tak, iż dziwić się przychodzi, że ono nie zamarło do cna. Ustawa cenzuralna poszła w ką; zastąpiły ją poufne rozporządzenia prezesa ówczesnego Jankulja... Pisma, obejmujące X wierszy, posyłały do cenzury 2 X i — pomimo to — brakowało im tekstu do wydania numeru. Współpracownicy traciли głowę, nie wiedzieli, co wolno pisać, redaktorom opadały ręce... Prześladowano mnie bez litości, tak, że 4 do 5 tys. wierszy

posyłanych do cenzury, nie wystarczało na wypełnienie numeru, obejmującego 3 tys. wierszy. Jeśli w jednym numerze były wiadomości najniewinniejszej choćby natury (urodzaje, ceny, pokup na zboże i inwentarz) z kilku okolic Ukrainy i Litwy, zostawiało się tylko jedną, pozostałe szły precz. I ta jedna wszakże nie mogła być pomieszczona, jeśli nie było jednocześnie korespondencji z „wewnętrznych gubernij Cesarstwa.“ Trzeba było tedy fabrykować korespondencye z Syberyi, Kaukazu i t. d., by choć jedną autentyczną uratować. W tej ostatniej atoli nie mogło być mowy pod żadnym pozorem nie już o jakichkolwiek nadużyciach administracyi miejscowej, ale o złym stanie dróg, ba! nawet o złych urodzajach. Wszystko powinno być najlepiej na tym najlepszym ze światów. — A teraz parę faktów, tak nieprawdopodobnych, że czuję się w obowiązku potwierdzić je słowem honoru. W pewnej korespondencyi, nie pomnę już z jakiej okolicy, cenzor wykreślił mi wyrazy: „ziarno żyta, wykształcone lichu.“ Uważając, że pan cenzor popełnił mimowolną pomyłkę, udałem się do Komitetu Cenzury. Pan Jankuljo znalazł, że rzecz w porządku i odmówił przywrócenia owych czterech wyrazów. Wówczas uniosłem się i, z narażeniem na następstwo możliwe, wypowiedziałem słowa prawdy. Pan Jankuljo poprosił mnie bardzo grzecznie (po raz pierwszy) o uspokojenie się, dodając, że jakkolwiek nie ma tego obowiązku, jednak rzecz mi wyjaśni.

— W *Gońcu Urzędowym* — tłómaczył — napisano wyraźnie: „urozaj chleba srednij.“ A ponieważ organ urzędowy kłamać nie może, przeto kłamanie korespondent, a cenzura kłamstw puszczać nie może.

Drugi fakt: W ustępie o pszenicy polskiej cenzor wykreślił wyraz: „polska,“ i zastąpił go mianem „krajowa.“ Dla objaśnienia dodaje, że pszenica polska (*triticulum polonicum*) stanowi odmianę botaniczną, do zwykłej pszenicy wcale niepodobną i że pod taką nazwą jedynie znana jest w całym świecie. Nie mogłem więc przystać na przeróbkę cenzora, wyjaśniłem to prezesowi, który śnać bieglejszy w botanice od swego podwładnego, nazwę botaniczną łaskawie przywrócić raczył. Było to jedyne może zwycięstwo, odniesione nad prześladowającym mnie cenzorem.“

Smutne wspomnienia utrapień redaktora pisma „z pod cenzury“ tem goręcej zasługują na uwagę, iż p. Trylski był wydawcą organu ściśle fachowego, rolniczego. W nielepszej wszakże sytuacji znajdowali się kierownicy nawet czasopism lekarskich, gdzie cenzura kreśliła całe szpalty rozpraw medycznych! Dzieła



całe wypadnie w przyszłości pisać o doli redaktorów *dzienników politycznych*, którzy za przeżyte katusze na ziemi, w poczet męczenników narodowych zaliczeni być winni.

Szczęśliwie jednak, po długiej, pełnej wyczerpania walce, karta nasza dziejów odwróciła się na lepsze.

Dziś stanęliśmy wobec zarania nowej ery tej części prasy polskiej, której dotąd milczeć kazano. Wchodzimy w okres nowych praw i nowych szczytnych obowiązków. Stajemy u podnóża wielkich wrót, wiodących dalej do przywilejów, narodowi polskiemu najdroższych: do Wolności.

STEFAN GORSKI.

## Narządy zmysłowe u roślin.<sup>1)</sup>

W szkicu moim p. t. „Granica pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym w świetle nowszych badań,“ ogłoszonym w r. 1897 w niniejszym miesięczniku<sup>2)</sup>, starałem się wykazać, że tak pod względem morfologicznym, t. j. budowy i rozwoju, jak i fizjologicznym (ruch, czucie, sposób odżywiania się i rozmnażanie) nie podobna przeprowadzić ścisłej granicy pomiędzy przedstawicielami obu wielkich państw przyrody ustrojowej. Określenie Lineusza, że „rośliny żyją i rosną, a zwierzęta żyją, rosną i czują,“ dawno utraciło już wszelkie znaczenie. Czucie, wrażliwość na różne podniety czyli bodźce zewnętrzne, te najważniejsze, rzekome kryteria, odróżniające zwierzęta od roślin, oddawna przestały być tym nieprzebytym murem granicznym.

Szereg znakomitych odkryć, dokonanych w ostatnich kilku latach przez wybitnych botaników, jeszcze bardziej zatarał ową mniemaną granicę, poznano bowiem rozmaite narządy w ciele ro-

---

1) *Literatura przedmiotu*: W. Pfeffer. Die Reizbarkeit der Pflanzen. Verh. d. Gesell. d. Naturf. u. Aerzte 1893, G. Huberlandt. Das reizleitende Gewebesystem der Sinnespflanze, Lipsk 1890. Tenże. Sinnesorgane im Pflanzenreich zur Perception mechanischer Reize, Lipsk 1901. Tenże. Die Lichtsinnesorgane der Laubblätter, Lipsk 1905. Tenże. Die Sinnesorgane der Pflanzen, Lipsk 1904. Fr. Noll. Das Sinnesleben der Pflanzen. Frankfurt 1896. B. Němec. Die Perception des Schwerkraftreizes bei den Pflanzen. Ber. d. deutsch. botan. Gesellschaft. 1904. Fr. Darwin. On the Perception of the Force of Gravity by Plants, Brit. Association of the Advanc. of Science. Cambridge. 1904, i niektóre inne pisma.

2) Szkic ten został następnie nieco rozszerzony i umieszczony w zbiorze odczytów p. t. „Z zagadek życia.“ Lwów. H. Altenberg 1900.

ślin, które niewątpliwie najzupełniej są analogiczne pewnym organom zmysłowym u zwierząt, a za których pośrednictwem roślina odczuwa różne podniety zewnętrzne, reagując na nie w sposób swoisty.

Wyrażenia „roślina odczuwa,“ „roślina wrażliwa jest na pewne bodźce,“ „narząd zmysłowy roślin“ i t. d. nie zyskały sobie jeszcze jednak powszechnego prawa obywatelstwa w biologii. Niektórzy autorowie sądzą, że nie można stosować podobnych terminów do roślin, jako do organizmów pozbawionych układu nerwowego, owego podścieliska czynności psychicznych. Naszem zdaniem atoli, botanicy (*Haberlandt, Némec, Noll*), stosujący te nazwy, postępują zupełnie konsekwentnie i słusznie.

Słynny zoolog heidelberski, Prof. *O. Bütschli*, przeciwny jest stanowczo wprowadzeniu takich terminów do dziedziny botaniki, i powiada „es ist verwirrend und irreführend, wenn von den Einfindungsvermögen, den Sinneswahrnehmungen und Sinnesorganen der Pflanzen gesprochen wird“ (bałamutnem jest i błędnem—mówić o zdolności czucia, o wrażeniach zmysłowych, oraz o narządach zmysłowych u roślin). *Bütschli* zwraca atoli uwagę na uznany w psychologii fakt, że o wszelkich przejawach psychicznych nietylko u innych osobników ludzkich, ale i u zwierząt, sądzimy na podstawie analogii. Tylko na tej podstawie, że inne osobniki ludzkie, oraz zwierzęta posiadają np. oczy podobne do moich i reagują w podobny sposób, jak i ja, na podniety świetlne, sądzę, że widzą one, odróżniają światło i ciemności, wrażliwe są na różne barwy. Zgodność więc budowy narządów zmysłowych i systemu nerwowego, oraz zgodność w sposobie zachowywania się względem określonych bodźców, a zatem kryteria natury *morfologicznej* i *fizyologicznej* pozwalają nam przypuszczać, że inne indywidua ludzkie lub zwierzęta wyższe podlegają pewnym stanom psychicznym, podobnym do tych, jakim my sami podlegamy.

Wynika z tego oczywiście, że im bardziej budowa narządów zmysłowych i systemu nerwowego zwierząt różni się od tychże organów człowieka i im bardziej fizyologiczny sposób reagowania ustrojów na pewne określone podniety zewnętrzne różni się od tegoż u człowieka, tem mniej upoważnieni jesteśmy do przypisywania tym istotom wrażliwości zmysłowej, czucia, postrzegania i t. d.,—sądzenie per analogiam o procesach psychicznych u istot tych staje się coraz ryzykowniejszem. To też wobec panujących obecnie w filozofii usiłowań przedmiotowego traktowania zjawisk i wystrzegania się wszelkich wymyślonych dodatków

przy opisywaniu spostrzeganych fenomenów, niektórzy psychofizyologowie, jak *Bear* i v. *Uexküll*<sup>1)</sup>, zaproponowali nową, zupełnie „objektywną“ nomenklaturę w psycho-fizjologii porównawczej. Zamiast „percepcja podniety“, wprowadzają oni termin „receptcja podniety“, ponieważ „percepcja“ i „spostreganie“ (*Wahrnehmung*) są pojęciami psychologicznymi i oznaczają zjawiska psychiczne. Zamiast o „narządach zmysłowych“ mówią oni o „receptorach“, a w miejsce wyrażen „narząd dotykowy, węchowy, smakowy i wzrokowy“ wprowadzają terminy „tangoreceptor“, „stiboreceptor“, „gustoreceptor“ i „fotoreceptor.“

Czy wprowadzenie tych terminów daje się jednak usprawiedliwić ze stanowiska biologicznego? Czy dlatego, że nie wiemy, w jaki sposób przedstawia się świat otaczający owadowi lub głowonogowi, spoglądającym na świat ten za pomocą oczu, nie mamy prawa nazywania tych ostatnich narządami wzrokowymi, ani też twierdzenia, że istoty te odczuwają podniety świetlne, że otrzymują pewne wrażenia świetlne? Biologowie nie przyjęli i chyba nigdy nie przyjmą tej nowej terminologii, gmatwującej tylko i utrudniającej język naukowy. Anatomia porównawcza i fizjologia pozostaną przy dawnych nazwach i dawnych pojęciach. Albowiem od narządów zmysłowych człowieka prowadzi bardzo długi i nieprzerwany szereg najrozmaitszych form przejściowych do analogicznie zbudowanych i analogicznie funkcjonujących narządów u zwierząt niższych. W skład naprzykład oka wchodzi u wszystkich zwierząt kręgowych środki łamiące światło, jak utwory soczewkowate, ciała przezroczyste, dalej nagromadzenia ciemnego barwika, oraz swoiste zakończenia włókien nerwowych w siatkówce; u niektórych robaków, np. u *Alciopie*, istnieją gałki oczne podobnie zbudowane, u innych robaków oczy są stopniowo coraz prostsze, ale nawet i u meduz oko składa się z soczewkowatego utworu, łamiącego światło barwika i zakończeń nerwowych w siatkówce. Czyż ze względów anatomicznych i fizjologicznych mamy mniejsze prawo nazywania tych wszystkich organów oczami, aniżeli np. oznaczania u wszystkich zwierząt aparatu do trawienia pokarmu — nazwą przewodu pokarmowego? Anatom i fizjolog nie widzi powodu do nazywania ho-

<sup>1)</sup> *B. v. Uexküll*. Vorschläge zu einer objektivierenden Nomenklatur in der Physiologie des Nervensystems Physiologisches Centralblatt. 1900. Por. także odpowiedź *Haberlandta*: „Über den Begriff Sinnesorgan in der Tier- u. Pflanzenphysiologie.“ *Biolog. Centralblatt* 1905.

mologicznych organów zmysłowych u zwierząt, inaczej niż u człowieka, nie może bowiem wchodzić w to, jakiego rodzaju zjawiska psychiczne towarzyszą czynnościom fizyologicznym danych organów. „Jakaż niepewność i jakie zamieszanie musiałoby nastąpić, gdyby o organach zmysłowych była mowa tylko na podstawie kryterium psychicznego. Dla poglądów czysto subiektywnych byłoby wówczas szerokie bardzo pole. Badacz, przypisujący owadom zdolność czucia i spostrzegania, nazwałby ich przyrządy odbierające podniety „organami zmysłowymi,“ inny zaś badacz, który w istotach tych widzi tylko „maszyny odruchowe,“ nazwałby te organa „receptorami“ (Haberlandt).

Stosowanie kryterium psychologicznego przy definicyach anatomo-fizyologicznych jest niewłaściwem z tego już także względu, że nawet u tego samego osobnika ludzkiego ruch, wykonywany jako skutek podrażnienia danego organu zmysłowego, jest raz wynikiem aktu woli, kiedyindziej znów, np. w głębokim śnie lub po długiej wprawie, stanowi tylko odruch, w jednym więc razie danemu łańcuchowi zjawisk fizyologicznych towarzyszy korrelat psychiczny, w drugim zaś nie. „Czyż wobec tego — pyta słusznie Haberlandt — organ, wrażliwy na podniecie tylko w pierwszym wypadku, nazywać mamy „narządem zmysłowym,“ w ostatnim zaś jedynie „receptorem“? Byłoby to niewątpliwie bardzo bałamutne; w obu bowiem wypadkach dany narząd, odbierający podniecie, funkcjonuje w jednakowy sposób; fizyologiczne stany, wywoływane w tym narządzie przez daną podniecie, są te same, bez względu na to, czy wiąże się z niemi pewna zmiana stanu świadomości, czy też nie. Ten sam organ zaś, który w obu wypadkach, przy jednakowej budowie, funkcjonuje także zupełnie jednakowo, nie może być raz nazywany tak, drugi raz znów inaczej.“

Ze stanowiska fizyologicznego nazywamy organem zmysłowym narząd, który pod wpływem działania nań jakiejś podniety swoistej powoduje pewne ruchy (ruchy podnietowe — Reizbewegungen), ze stanowiska zaś psychologicznego — narząd, który pod wpływem działających nań podnieci, powoduje pewne zmiany w stanie świadomości.

Ze stanowiska tedy fizyologicznego nazwiemy np. organem wzrokowym wszelki narząd, który specyficznie wrażliwy jest na podniecie świetlne, a istnienie wrażliwości tej rozpoznajemy obiektywnie po tem, że narząd ów ma w swej budowie coś wspólnego z naszym własnym narządem wzrokowym (obecność środków łamiących światło, barwiki i t. p.), głównie zaś po tem, że gdy

promień świetlny działa na organ ten, to wywołuje pewną reakcyę ruchową (ruch podnietowy). Skoro więc u zwierząt niższych, np. u meduz, napotykanym narządy odpowiadające tym warunkom i nazywane przez nas przeto organami wzrokowymi lub *świetlnymi narządami zmysłowymi* (Lichtsinnorgane), to tę ostatnią nazwę możemy również wraz z Haberlandtem zastosować do analogicznych organów u roślin, gdzie budowa ich i reakcyja fizyologiczna jest podobna. To samo tyczy się naturalnie i innych organów zmysłowych.

U roślin niema wprawdzie sytemu nerwowego i nie ma w ich organach zmysłowych zakończeń nerwowych, oraz brak ośrodków i nerwów. Tu więc mówić o odbieraniu podniet przez narządy zmysłowe, oraz o odruchach, przez podniety te powodowanych — wydaje się na pierwszy rzut oka zbyt śmiałym. Ale nie zapominałmy o tem, że podstawową właściwością komórek i włókien nerwowych jest *drażliwość*, a komórek mięśniowych — *kurczliwość*, obie zaś te zdolności należą do ogólnych cech biologicznych protoplazmy, będącej materyalnem podścieliskiem procesów życiowych tak zwierząt, jak i roślin. W plazmie elementów nerwowych i mięśniowych cechy te są tylko spotęgowane do bardzo wysokiego stopnia. Znamy przecie liczne bardzo zwierzęta najniższe, którym brak elementów nerwowych i mięśniowych, których ciało składa się z niezróżnicowanej jeszcze plazmy, przedstawia jedną, pojedynczą komórkę, a odznacza się pomimo to bardzo wielką drażliwością i kurczliwością, np. ameba, wymoczki. Ameba pod wpływem podniety mechanicznej (np. ukłucia), świetlnej lub cieplnej, kurczy się, reaguje odruchem, a mówimy tu o odbieraniu podniet i o ruchach podnietowych bez wszelkiego wahania, pomimo, iż brak tu elementów nerwowych i mięśniowych, a podścieliskiem tych zjawisk jest niezróżnicowana plazma komórki. Co do roślin zaś, to przyznawanie protoplazmie ich komórek *drażliwości, czucia, kurczliwości* budzi w nas zawsze jakąś niepewność, a trafnie zauważył Prof. *Pfeffer*<sup>1)</sup>, że pochodzi to stąd, iż u roślin dostrzegalne dla nas reakcyje na podniety, czyli „ruchy podnietowe“ odbywają się po większej części bardzo powoli i nie mogą być bezpośrednio zauważone, wyjąwszy naturalnie szereg tego rodzaju odruchów, jak opuszczanie się i zamykanie się listków czułka (*mimosa*) pod bezpośrednim wpływem jakiegoś po-

1) W *Pfeffer*. Die Reizbarkeit der Pflanzen. Verhandlungen der Gesellsch. deutsch. Naturf. u. Aerzte. 1893.

drażnienia mechanicznego, zamykanie się listka muchołówki, chwytającego owada, który podrażnił ów listek i. t. p. „Gdyby — powiada *Pfeffer* — człowiek od pierwszej swej młodości przypatrywał się pod tysięczkrotnem przeszło powiększeniem życia roślin.... to widziałby, jak cała armia swobodnie pływających roślinek niższych roi się w wodzie, a dostrzegłby także w rosnących pędach i korzeniach ruch „macający“ (herumtastende Bewegung), oraz szybko przebiegające reakcje podnietowe.“ Powolność w przejawianiu się reakcyj podnietowych jest tedy po większej części przyczyną tego, że upatrujemy różnicę w odnośnych procesach u roślin i zwierząt, ale różnica to przecież nie istotna i nie zasadnicza, a nie można przeto odmawiać na tej podstawie roślinom zdolności czucia, oraz odruchowego reagowania na podniety.

U najprostszych jestestw, jednokomórkowych, np. u ameby, ta sama plazma odznacza się i drażliwością i kurczliwością. U wyższych pierwotniaków, np. u wymoczków, różnicują się w plazmie pewne kurczliwe utwory, włókienka. Tu więc nastąpiła dyferencyacja na plazmę, odznaczającą się szczególną drażliwością, oraz — swoistą kurczliwością, jakkolwiek obie spełniają i inne jeszcze czynności fizyologiczne. U ustrojów wielokomórkowych owo zróżnicowanie i lokalizacja elementów drażliwych, oraz kurczliwych występuje w coraz to wyższym stopniu, znajdujemy tu komórki zmysłowe i nerwowe, jako anatomiczne elementy dla przejawów drażliwości i czucia, oraz elementy mięśniowe, kurczliwe, powodujące ruchy organizmu. Nadto istnieją tu zróżnicowane drogi, które przewodzą pobudzenia od elementów zmysłowych i nerwowych do mięśni — są to włókienka nerwowe. Gdy więc np. światło drażni oko zwierzęcia i oko to zamyka się odruchowo pod wpływem tej podniety, to działa tu łańcuch następujących elementów: komórki zmysłowe, odbierające podnietę, włókienka nerwowe, przynoszące tę podnietę do ośrodków nerwowych, komórki nerwowe tych ośrodków, włókienka nerwowe, przenoszące od tych ostatnich pobudzenia ruchowe do elementów kurczliwych, czyli komórek mięśniowych.

Otóż, niezmiernie ważnem było odkrycie w roślinach podobnego zróżnicowania, zlokalizowania się elementów drażliwych, czyli czułych na podniety zewnętrzne, oraz — kurczliwych. A nadto, podobnie jak w organizmach zwierzęcych, pewne komórki zmysłowe są tylko czułe np. na podniety świetlne, inne na mechaniczne, jeszcze inne na smakowe lub węchowe, tak też i u roślin wykryto elementy, odznaczające się wrażliwością na pewnego tyl-

ko rodzaju podniety i przekonano się, że pod wpływem tych podniet określone części rośliny wykonywują ruchy, które odpowiadają zatem odruchom u zwierząt. U roślin atoli owa drażliwa plazma nie jest zróżnicowana w postaci komórek nerwowych, nie ma też tutaj włókienek nerwowych, przenoszących pobudzenia, a w kurczliwych organach rośliny nie ma również specyficznych elementów mięśniowych, tu zatem istnieje już wprawdzie zróżnicowanie na elementy drażliwe, czyli czułe, oraz na części kurczliwe, ale *temu zróżnicowaniu fizyologicznemu nie odpowiadają jeszcze elementy różne pod względem anatomicznym*, a pobudzenia przenoszą się też tutaj niejako *po drogach całkiem rozproszonych*, po przez plazmę zwykłych komórek ciała. U roślin można więc tylko mówić o *plazmie drażliwej* (reizbares sensibles Plasma), o *plazmie kurczliwej* (contractiles Plasma), oraz o *rozproszonem przenoszeniu* się (diffuse Ausbreitung) *podrażnień*.

Pierwszą grupę poznanych dotąd narządów zmysłowych u roślin stanowią organa dla *percepcji podniet mechanicznych*, które można zatem porównać do narządów zmysłu dotykowego u zwierząt. Jeszcze w roku 1804 odkrył *Sydenham Edwards* czułe na dotyk włoski na górnej powierzchni liścia owadożernej rośliny, zwanej muchołówką (*Dionaea muscipula*). Na każdej z obu połów blaszki liściowej, która opatrzona jest ząbionym brzegiem, mieszczą się trzy szczecinki dotykowe, oraz liczne gruczołki trawiące. Skoro owad siądzie na liściu i dotknie się tych szczecin, to obie połowy blaszki pod wpływem tej podniety zamykają się odruchowo, przyczem ząbki brzeżne przenikają jedne pomiędzy drugie, a owad zostaje w ten sposób schwytyany, z kolei zabity, strawiony, poczem liść się powoli otwiera, a wiatr zrzuca niestrawione twarde części z powierzchni blaszki liściowej, gotowej do nowego połowu zdobyczy. Z czasem poznano coraz więcej podobnych roślin, które za uderzeniem, potarciem lub dotknięciem pewnych ich części, odpowiadają na tę podniętę swoistym ruchem, a we wszystkich niemal przypadkach podobnych wykryto w miejscach, wrażliwych na ową podniętę mechaniczną, szczególne włoski lub szczecinki. Jedną z najbardziej znanych takich roślin jest czułek wstydlivy (*Mimosa pudica*), którego liście za najlżejszem podrażnieniem wykonywują charakterystyczne ruchy. W gąszczach czułkowych, np. na Jawie lub na Ceylonie, można często zauważyć, że i tu i owdzie jakby nagle, jakby pozornie bez żadnej przyczyny, liść się szybko opuszcza na dół; w rzeczywistości atoli odbywa on ruch ten pod wpływem podrażnienia, spowodowanego przez owada, a mianowicie w skutek dotknięcia, choćby



najlżejszego, szczecinek, umieszczonych w ruchowym stawie ogonka liściowego. Według *Haberlandta* owe szczecinki sztywne, działają jak dźwignie. Skoro szczecinka zostaje lekko naciśnięta, to mając położenie ukośne, wywiera ona znaczny ucisk na czułą bardzo, poduszczkowatą tkankę, umieszczoną w kącie pomiędzy powierzchnią stawową i nasadą szczecinek. Podnieta udzielona czulej bardzo plazmie komórek tej tkanki, powoduje wyładowanie się znacznego zapasu energii ruchowej, objawiającej się pod postacią ruchu liścia. Odruchy te mają zapewne głównie znaczenie samoobronne dla rośliny, przez nie bowiem odpędzane zostają owady; możnaby te refleksy porównać do ruchów skóry lub małżowin usznych u zwierzęcia, które zostało w pewnym miejscu podrażnione przez owada i przez które to odruchy napastnik zostaje odpędzony.

Podobne urządzenia istnieją także np. u owadożernej rośliny *Aldrovandia*. Pomiędzy obydwoma sztywnymi oddziałami każdej szczecinki dotykowej na liściach tej rośliny znajduje się mięki, łatwo się zginający oddział, niejako staw, w którym osadzone są bardzo delikatne, soczyste komórki, uważane za zmysłowe. Gdy szczecinka się lekko zgina pod wpływem jakiegos bodźca mechanicznego, wówczas owe komórki zmysłowe podlegają znacznemu uciskowi, zostają nawet zdeformowane przez ucisk ten, a ta zmiana, zachodząca w plazmie komórek zmysłowych, powoduje wyładowanie się zapasu energii ruchowej i odpowiednie celowe poruszenie się liścia..

Do najczulszych organów roślinnych należą wąsy pnących się roślin, które przez zetknięcie się z twardymi przedmiotami zmuszone są do obwijania się dokoła tychże i tem samym przytwierdzają do nich roślinę. Szczególnie czułe wąsy mogą być skutecznie podrażnione przez dotknięcie nitką jedwabną, ważącą nie więcej jak 0,0002 miligrama, podczas gdy na skórze ludzkiej w najczulszych miejscach dopiero przez ucisk ciała ważącego co najmniej 0,002 miligrama wywołane zostaje podrażnienie dotykowe. Jakkolwiek porównanie to nie jest bezpośrednie, a wielkości nie są współwymiernie, daje to wszakże pojęcie o wielkiej wrażliwości dotykowej wąsów roślinnych, a ściślej mówiąc, naskórka je powlekającego. Otóż komórki tego naskórka, tak wysoce wrażliwe na podmiety dotykowe, posiadają nader cienkie błony, przez co plazma ich podlega łatwo deformującemu działaniu lokalnego ucisku. Na wąsach dyni, gdzie komórki naskórkowe posiadają stosunkowo grubsze nieco ścianki zewnętrzne, wykrył *Pfeffer* szczególne „miscezki dotykowe,“ t. j. misieczkowate wgłębienia na

zewnątrznej powierzchni błon komórek, wypełnione odpowiednio zmodyfikowanymi wypustkami drażliwej plazmy, a bardzo jest prawdopodobne, iż w tych miejscach, najwięcej wystawionych na stykanie się z ciałami obcymi, komórki zmysłowe odbierają odpowiednie podniety.

Różnego rodzaju narządy zmysłowe, wrażliwe na podniety mechaniczne, znajdujemy także i u wielu innych roślin, w rozmaitych okolicach ciała. Dwukomórkowe włoski dotykowe na nitkach pręcikowych u chabru, małe i nader delikatną błoną opatrzone brodawki dotykowe na listkach pręcikowych u kaktusów i t. d. i t. d. — oto niektóre przykłady tych urządzeń.

Niezmiernie interesującą grupę narządów zmysłowych u roślin stanowią t. z. *otocysty* czyli *statecysty*. Zanim je rozpatrzymy, zwróćmy uwagę na analogiczne organa u zwierząt.

Otóż wiadomo, że częścią ucha, służącą do postrzegania czyli percepcji podniet słuchowych, jest u kręgowców głównie tak zw. ślimak, podczas gdy pewne inne części błędnika usznego, jak t. z. przewody półkoliste, oraz woreczek (*sacculus*) wraz z masą „kamyków słuchowych,” oraz „planką słuchową“ (*macula acustica*), zawierającą swoiste zakończenia nerwowe, służą głównie do orientowania się w przestrzeni, utrzymywania równowagi, kierowania się co do położenia. U bardzo wielu zwierząt niższych, w różnych miejscach ciała, to w głowie, to na ogonie (np. u raczka morskiego *Mysis*), to na brzegu tarczowatego ciała (np. u meduz), istnieją pęcherzykowate narządy zmysłowe, wypełnione cieczą, w której zawieszono są twarde, kamykowate utwory (*otolity*). Do ścianki pęcherzyka wstępują włókna nerwowe, a połączone z nimi komórki zmysłowe opatrzone są szczególnymi włoskami, podpierającymi owe kamyki. Dawniej uważano te narządy za organa słuchowe — stąd nazwa *otocysty* (pęcherzyki uszne). Dziś atoli, dzięki badaniom *Chuna*, *Yves Delage'a*, *Verworna* i innych, wiemy, iż są to organa równowagi, orientowania się co do położenia w przestrzeni, podobnie jak wyżej wspomniane części w uchu kręgowców. Skorupiaki np., którym wycinano te narządy, nie umiały zachować zwykłego, pionowego położenia ciała podczas pływania i wogóle zupełnie traciły zdolność orientowania się. Z tego też względu większość biologów nazywa dziś te narządy *statocystami*, a kamykowate utwory wewnątrz pęcherzyków *statolitami*.

Przechodząc do roślin, zaznaczmy, iż było to jedno z najciekawszych odkryć w dziedzinie fizjologii botanicznej — wykazanie utworów u roślin, analogicznych do *statocyst* u zwierząt.

Zasłużyli się tu głównie: badacz czeski, *Bogumił Nemeč*, oraz dwaj słynni botanicy niemieccy, Prof. *G. Haberlandt* i *Fr. Noll*.

Otóż, jeszcze przed laty *Teofil Ciesielski*, obecny profesor botaniki na uniwersytecie lwowskim, oraz *Karol Darwin* przekonali się, że jeżeli ostrym nożem odetniemy wierzchołek głównego korzenia wzrastającej roślinki, na odległości 1 — 2 mm., i umieścimy taki korzonek w położeniu poziomem, to nie będzie on podlegał dodatniemu działaniu siły ciężenia (dodatniemu geotropizmowi), t. j. nie wygnie się w kierunku pionu. Jeżeli zaś umieścimy nienaruszony korzeń w tem położeniu, to ulegnie on owemu działaniu, wygnie się i w kierunku pionu podążać będzie w dalszym swym wzroście. Spostrzeżenia te zostały później stwierdzone przez *Czapeka* (1895) za pomocą znacznie dokładniejszych i ściślejszych doświadczeń. Siła ciężenia stanowi tedy podniętę dla korzenia, pod jej wpływem zwraca się on w kierunku jej działania, a wierzchołek korzenia jest miejscem czułym na tę podniętę. „Es ist die Wurzelspitze — mówi Haberlandt — die den Schwerkraftreiz wahrnimmt.“

W jaki jednak sposób odczuwa roślina położenie swe w przestrzeni, za pomocą jakich narządów i jakich mechanizmów wierzchołek korzonka, wyprowadzony sztucznie z pionowego położenia, odczuwa tę zmianę i orientuje się tak, by znów powrócić do pierwotnego kierunku? Otóż, w miejscach czułych na geotropizm znajdują się w tkance rośliny komórki, zawierające wewnątrz jamę, wypełnioną ruchomymi ziarenkami skrobi, które, jako takie, podlegają biernie sile ciężenia i padają zawsze na spodnią ścianę komórki. Plazma tej spodniej ściany, przyzwyczajona niejako do stałego ciśnienia, wywieranego na nią przez owe ziarenka, nie odczuwa tej podniety. Ale jeżeli wierzchołek korzonka zajmie sztucznie inne położenie, np. poziome, wówczas ziarenka skrobi, opadając znów na spód komórek, stykają się teraz z inną niż przedtem ścianą komórki, działają przeto jako bodziec, jako podnieta na czułą plazmę tej ściany. Podnieta owa powoduje niejako odruchowo wyginanie się korzonka w określonym kierunku tak długo, dopóki nie przybierze on znów położenia pionowego i dopóki, wskutek tego, ziarenka skrobi w komórkach nie zetkną się, opadając na dół, z pierwotną ścianą każdej komórki, która niewrażliwa jest na wywierany na nią ucisk i nie powoduje przeto dalszej zmiany w położeniu korzenia. Proces ten jest więc zupełnie podobny do tego, jaki odbywa się u zwierząt. Gdy zwierzę, opatrzone otocystą, zmienia zwykle położenie ciała, wówczas kamykowate twory otocysty, opadając na dno pęcherzyka,

drażnią iną niż zwykle okolicę ścianki tego ostatniego, co albo na drodze odruchowej, albo ze współdziałaniem świadomości zwierzęcia powoduje zmianę położenia ciała i powrót do kierunku pierwotnego.

Liczne dowody anatomiczne i fizyologiczne stwierdzają najzupełniej słuszność powyższego poglądu co do znaczenia ziarenek skrobi w statocystach roślin. I tak w żadnym organie roślinnym, zdolnym do wygięć geotropnych, nie brak statocyst, gdy tymczasem łodygi i korzenie nie geotropne, np. pędy jemióły, korzonki czepne bluszczu, nie zawierają także skrobi statolitycznej w komórkach swoich. Rośliny, które w żadnej innej ze swoich tkanek nie wytwarzają skrobi, jak np. liliowate, posiadają doskonale rozwiniętą skrobię statolityczną w komórkach wierzchołka korzeniowego. Części kwiatowe niektórych roślin, odznaczające się zdolnością geotropizmu, posiadają bez wyjątku statocysty, gdy tymczasem w częściach kwiatowych u pokrewnych roślin, nie odznaczających się powyższą zdolnością, zawsze brak statocyst. Nie może to przecież być czysto przypadkowym zbiegiem okoliczności.

Istnieją nadto i eksperymentalne dowody. Powiedzieliśmy, że wierzchołek korzenia wrażliwy jest na podniety geotropne. Korzenie z odciętym wierzchołkiem nie reagują na działanie siły ciężenia, a jak wykazał *Nemec*, zdolność percepcji powraca w korzeniu takim po dwóch lub trzech dniach, a oto badanie mikroskopowe przekonywa nas, że właśnie w tym czasie wytwarzają się statolityczne ziarenka skrobi w komórkach na końcu korzenia. *Haberlandt* przekonał się znów, że pędy różnych roślin, podawane w niskiej temperaturze, tracą skrobię, a będąc przeniesione następnie do ogrzanego laboratorium, dopóty nie zdolne są do reagowania na działanie siły ciężenia, dopóki właśnie pozbawione są skrobi.

Gdy zaś ziarenka statolityczne na nowo się wytwarzają, powraca też zdolność percepcji w kierunku geotropizmu. Wszystkie wyżej przytoczone fakta anatomiczne i fizyologiczne stwierdzają tedy najzupełniej słuszność teorii *Nemeca* i *Haberlandta*, a są jeszcze i inne dane, przemawiające za teorią tą, których tu jednak nie będę już rozpatrywał. Przechodzimy wreszcie do narządów zmysłowych, które służą do percepcji *podnień świetlnych*. Utwory te odkryte zostały niedawno przez *Haberlandta* i są niezmiernie interesujące.

Otóż, u wielu niższych, jednokomórkowych ustrojów, znajdujących się na pograniczu zwierząt i roślin, np. u licznych wiciowców (*Flagellata*), a także u pływki wielu bardzo glonów

(wodorostów) znana jest już oddawna t. zw. *plamka oczna* (Augenfleck), czyli miejscowe skupienie czerwonawego lub brunatnawego barwika, służące prawdopodobnie za narządek dla percepcji podnieć świetlnych. Jest to tem prawdopodobniejsze, iż w nowszych czasach *Franzé* odkrył w plamkach ocznych u wielu tych istot szczególne, soczewkowate ciała (natury skrobiowatej), łamiące światło. Według *T. Engelmanna*, plazma wrażliwa na światło nie mieści się w samej plamce barwikowej, lecz przylega tuż do niej, barwik ma więc znaczenie aparatu pomocniczego. Jeżeli tedy takie narządki, służące do odbierania podnieć świetlnych, występują już u istot jednokomórkowych, natury zwierzęcej, oraz roślinnej, to nie dziw, że i u powyższych roślin napotkać można organa analogiczne. W nich jednak nie znajdujemy nigdy skupień szczególnego barwika; charakterystycznym zaś dla nich jest obecność ciał soczewkowatych, światło skupiających, oraz plazmy wrażliwej na podnieć świetlne.

Oddawna już wiadomo, że zielone blaszki liściowe wielu roślin ustawiają się po większej części swemi powierzchniami prostopadle do kierunku padającego na nie światła, a jak wykazał *Wiesner*, najsilniejszego światła rozproszonego. W tem „ustalonym położeniu świetlnem“ liście te są najlepiej oświetlone, a asymilacja najłatwiej się odbywa. Blaszka liściowa osiąga zwykle przez odpowiednie wygięcia i obroty swego organu ruchowego, t.j. ogonka, owo najkorzystniejsze położenie świetlne, a wszystko przemawia za tem, iż blaszka wywiera na ogonek wpływ kierujący. Jeżeli liść zostaje wyprowadzony ze swej równowagi heliotropnej, t. j. gdy prostopadły kierunek padających nań promieni przekształca się w ukośny, wówczas blaszka liściowa odczuwa tę zmianę i zniewala ogonek do wyginania się i obracania w odpowiedni sposób dopóty, dopóki światło znów nie zacznie padać prostopadle, czyli dopóki blaszka nie osiągnie znów „ustalonego położenia świetlnego.“ Z badań doświadczalnych *Vöchtinga* wynika, że u malwy, pomimo samodzielnej zdolności heliotropnego wyginania się ogonka liściowego, blaszka bierze udział w ostatecznym osiągnięciu „ustalonego położenia świetlnego.“ Według badań *Haberlandta*, liście wielu roślin wykazują pod tym względem stosunki następujące: ogonek liściowy wskutek własnej swej wrażliwości na światło, pośredniczy niejako w *grubszym* nastawianiu liścia w położenie heliotropnie korzystne; *delikatniejsze* nastawienie odbywa się atoli pod wpływem blaszki liściowej. U niektórych roślin ogonek liściowy nie jest wcale lub prawie wcale

heliotropiczny i ślepo niejako podlega wpływowi blaszki liściowej, czyli wykonywa ruchy pod wpływem pobudzeń, idących od blaszki.

Tak więc blaszki liściowe wielu bardzo roślin, zwłaszcza zaś roślin rosnących w cieniu, posiadają zdolność percepcji podnieć świetlnych i odróżnienia kierunku promieni światła.

Zjawia się tedy pytanie, czy owa zdolność percepcyjna *równomiernie* jest rozmieszczona w tkankach liścia, czy też nastąpiło zlokalizowanie się jej w określonych komórkach, kompleksach komórek, lub w pewnych tkankach. Wiadomo, że liść pokryty jest bezbarwnym, cienkim naskórkiem, pod którym dopiero mieści się zielona tkanka assymilacyjna, biorąca czynny udział w procesach przyswajania (pobierania węgla z powietrza). Czy można tedy przypuścić, aby owa zielona, głębiej leżąca tkanka blaszki liściowej, odbierała podnieć świetlne i okazywała zdolność percepcyjną co do kierunku padania promieni świetlnych? Z góry już wykluczyć musimy tę ewentualność, a to dlatego, że promienie świetlne, przenikające w głąb blaszki liściowej, podlegają odbicianiu, załamaniu, absorpcji, światło więc tam rozprasza się i osłabia. Ta tkanka nie może zatem okazywać zdolności percepcyjnej co do kierunku promieni świetlnych, kierunek ten zmienia się tam bowiem bardzo, a światło ulega znacznemu rozproszeniu. Nadto, pamiętajmy o tem, że chlorofil, znajdujący się w owych głębszych warstwach komórek blaszki liściowej, prawie zupełnie pochłania te właśnie promienie światła słonecznego (błękitne i fioletowe), które stanowią najsilniejsze podnieć heliotropne, że więc nie działają tam niemal wcale promienie, wywołujące objawy heliotropizmu.

Wszystko tedy przemawia za tem, że tylko zewnętrzna powłoka blaszki liściowej, czyli *naskórek* jej percypuje kierunek padających na nią promieni świetlnych. Budowa komórek tego naskórka przemawia też za tem w bardzo wysokim stopniu. Naskórek składa się z jednej warstwy komórek, które są bezbarwne, przezroczyste, zawierają bardzo jasny i przezroczysty sok komórkowy; ścianki ich wyścięła cienka warstewka przezroczystej również plazmy, a ścianka zewnętrzna, zwrócona ku atmosferze, jest po większej części wypukła, ma tedy postać soczewki płasko-wypukłej. Optyczne konstrukcye przebiegu promieni świetlnych, a także bezpośrednie spostrzeżenia przy pomocy mikroskopu i metody fotografowania, przekonywują nas, że soczewki te działają istotnie jako środki, skupiające promienie światła. Promienie świetlne, padające prostopadłe do powierzchni blaszki liściowej,

a równolegle do osi optycznej soczewek, zostają w ten sposób załamane, iż zbiegające się w ognisku promienie najsilniej oświetlają *środek* wewnętrznej ścianki komórki, podczas gdy na obwodzie pozostaje całkiem ciemny pas brzeżny, mniej lub więcej szeroki.

Z powyższych stosunków łatwo już wysnuć dalsze wnioski co do sposobu percepcji światła. Plazma, przylegająca do wewnętrznej ściany każdej komórki jest czułą na światło, a oto jeżeli *środek* ściany jest oświetlony, a pas brzeżny zacieniony, plazma ta znajduje się w zwykłym stanie, t. z. optimum, t. j. nie doznaje żadnej podniety, wrażliwość jej jest zupełnie niejako zrównoważona. Gdy jednak promień światła pada nie prostopadle, lecz ukośnie na blaszkę liściową, wówczas w każdej komórce naskórka *środkowe*, jasne pole przesuwają się od źródła światła w bok, ciemny zaś pas brzeżny z jednej strony się rozszerza, z drugiej zaś się zwęża. Otóż te zmienione warunki oświetlenia plazmy na wewnętrznej ścianie komórki działają na nią jako bodziec, jako zadrażnienie, odczute zostają jako podnieta, która na drodze niejako odruchowej posyła pobudzenie do ogonka liściowego, a ten tak długo obraca i wykręca blaszkę liściową, dopóki ta nie przybierze znów położenia, prostopadłego do kierunku padających promieni świetlnych; wtedy podnieta przestaje działać i liść osiąga równowagę położenia.

W poprzednio opisanym typie naskórka, typie najbardziej rozpowszechnionym, aparaty optyczne utworzone są przez wypuklenie się zewnętrznej ściany poszczególnych komórek. Jako *środek*, łamiący światło, funkcjonuje tu nadto jasny, przezroczysty sok komórkowy. U niektórych atoli roślin, te aparaty optyczne są zbudowane jeszcze dokładniej; a mianowicie *pośrodku* zewnętrznej ściany każdej komórki naskórka występuje wskutek silnego, miejscowego zgrubienia ścianki tej, drobna, z obu stron wypukła soczeweczka, silnie łamiąca światło, o czem można się bezpośrednio przekonać. Jasno świecące i wyraźnie ograniczone pole *środkowe* na zewnętrznej ścianie każdej komórki wyróżnia się nader wybitnie pod mikroskopem od ciemniejszej obwódki brzeżnej. Tu więc także i to w sposób jeszcze dokładniejszy, przy prostopadłym kierunku promieni świetlnych, tworzy się bardzo jasna plamka pod soczewką, przypadająca na sam *środek* czułej plazmy na wewnętrznej ścianie komórki, a przy ukośnym padaniu promieni plamka ta przesuwają się w bok, co działa na plazmę, jako podnieta świetlna, przyrównującą, że tak powiem, odpowiedni odruch u liścia.

Wreszcie, u rosnącej w Peru *Fittonia Verschaffeltii* zróżnicowanie w budowie omawianych narządów zmysłowych jest jeszcze znaczniejsze. Tutaj widzimy na naskórku liści tu i owdzie wielkie komórki zaokrąglone, a na szczycie każdej z nich mieści się w zagłębieniu drobna komóreczka w postaci soczewki z dwóch stron wypukłej, silnie łamiącej światło, o jądrze drobnem przejrzystem. Te niejako oczka znajdują się rozproszone pośród drobniejszych, niezmiennionych komórek naskórka. *Haberlandt* przyjmuje na podstawie odpowiednich doświadczeń, że wierzchołkowa komóreczka pełni rolę soczewki, podstawowa zaś—komórki zmysłowej. Podobne zróżnicowania opisuje on także u innych jeszcze roślin, ale już w to wchodzić nie będziemy.

Niezmiernie jest interesujące pytanie, o ile te narządy wzrokowo-zmysłowe, albo wyrażając się ostrożniej, świetlnie zmysłowe (*Lichtsinnnes-organe*) roślin, podobne są w budowie swej do analogicznych organów u zwierząt, przedewszystkiem zaś, rzecz prosta, u zwierząt niższych?

Otóż zoolog musiałby zaliczyć powyżej opisane narządy roślinne do kategorii t. z. „oczu eutyskopijnych,“ czyli takich, które nie tylko umożliwiają postrzeganie jasności i ciemności, ale i percepcję kierunku światła, nie pozwalają zaś na percepcję obrazu (kształtu, postaci, barw). *Zygmunt Exner* ) uważa za prototyp takiego oka zwierzęcego: „brodawkowate zgrubienie oskórka z jedną lub kilkoma komórkami, spoczywającymi pod niem.“ „Przy danem położeniu zwierzęcia, może ono za pomocą takich oczu rozpoznawać światło i ciemność, jakoteż kierunek światła. Pływające w wodzie zwierzątko może okiem tem rozpoznać, w jakim kierunku mieści się oświetlona powierzchnia.“

Doskonalenie się tego najprostszego przyrządu odbywa się w dwóch kierunkach. Przedewszystkiem owe pierwotne zgrubienie oskórkowe zastąpione zostaje przez soczewkę z dwóch stron wypukłą, a komórki zmysłowe pod soczewką przypadają w odległości ogniskowej i gromadząc się tu w znaczniejszej liczbie, tworzą t. z. siatkówkę. U roślin mogą się również rozwijać, jak widzieliśmy, typowe soczewki; fizyologiczną rolę siatkówki pełni tu jednak tylko czuła plazma na tylnej ścianie komórki zmysłowej, a niekiedy (np. u *Fittonia*) samoistna komórka, pod soczew-

) *S. Exner*. Die Physiologie der facettirten Augen von Krebsen und Insekten. Wiedeń, 1891.



ką się znajdująca. Tu jednak czuła na światło plazma znajduje się prawie zawsze nie w odległości ogniskowej od soczewki, lecz bliżej lub dalej, w skutek czego nie powstaje tu nigdy wyraźny obrazek przedmiotu, umieszczonego pod soczewką.

Po drugie, doskonalenie się wspomnianego wyżej pra-cka odbywa się przez to, że oczka skupiają się w większej ilości obok siebie. Ażeby zwierzę jednocześnie mogło się orientować co do wielu kierunków (padania światła), istnieć musi więcej oczek, których osi się rozbiegają. Tak powstają oczy złożone stawonogów, np. owadów, utworzone nieraz z setek skupionych obok osi oczek pojedynczych, z których każde zawiera środki światła łamiące, oraz komórki siatkówkowe. U roślin, jak widziliśmy, odbywać się może również takie skupianie się oczek; niekiedy cała blaszka liściowa składa się z wielu, obok siebie umieszczonych przyrządów na światło wrażliwych. Pod tymi zatem dwoma względami zachodzi podobieństwo pomiędzy organami świetlno-zmysłowymi roślin, a oczami niższych zwierząt. Pod innymi atoli względami istnieją znaczne różnice, sprowadzające się do dwóch głównych punktów.

A mianowicie: po pierwsze, komórki zmysłowe, tworzące siatkówkę u zwierząt, wykazują zawsze szczególną budowę, pozostającą w związku z percepcją światła; są to obwódki pręcikowe, pręciki i czopki, które pośrednio lub bezpośrednio połączone są z włókienkami nerwowymi. Te elementy siatkówkowe, służące do percepcji światła, występują tem liczniej, im oko jest doskonalsze. W czulej plazmie komórek świetlno-zmysłowych u roślin brak wszelkiej struktury tego rodzaju, brak różnicowania w tym kierunku, co pozostaje w związku z brakiem wogóle przewodzących włókienkowych elementów nerwowych (neurofibrillae) w ciele roślin.

Drugi punkt dotyczy *barwika* organów świetlno-zmysłowych, który tak rozpowszechniony jest u zwierząt, a którego brak u roślin. Ale dziś wiemy, że barwik nie ma tak doniosłego znaczenia w oczach zwierząt, jak to dawniej sądzono, kiedy przypuszczano, że odgrywa on istotną rolę przy percepcji światła, pośrednicząc jakoby w podniecaniu wskutek pochłaniania światła. Dziś wiemy, że barwik odgrywa w oczach rolę podrzędną, absorbując tylko nadmiar światła i służąc do optycznego odgraniczania (izolowania) elementów siatkówki, lub usuwając oświetlenie ze wszystkich stron. Brak zatem ciemnego barwika w narządach świetlno-zmysłowych u roślin nie stanowi tak bardzo zasadniczej różnicy w porównaniu z odpowiednimi organami u zwierząt. Zresztą mo-

żemy przypuścić, że podnaskórkowa tkanka chlorofilowa w liściach odgrywa częściowo rolę zastony, przeszkadzającej oświetlaniu ze wszystkich stron.

Widzimy zatem, że pomiędzy porównywanymi przez nas narządami u roślin i zwierząt istnieją podobieństwa i różnice. *Haberlandt* jest zdania, że nie możnaby nic zarzucić nazwom „oczy kierunkowe“ lub „oczka-ocella,“ dla oznaczenia omawianych narządów u roślin. Na razie nie chodzi jednak o nazwę. Ważniejszym jest fakt, że co do percepcyi światła, rośliny obdarzone są w zasadzie podobnymi środkami, jak i liczne zwierzęta niższe.

Czy rośliny obdarzone są, oprócz wymienionych, i innymi jeszcze narządami zmysłowymi, służącymi do percepcyi różnych podniet, np. węchowych, smakowych i cieplnych, tego dotychczas nie wiemy. Faktem jest atoli, że posiadają one organa zmysłowe, wrażliwe na podniety mechaniczne, świetlne, oraz grawitacyjne i że w dziedzinie postrzegania (percepcyi) podniet tych nie istnieje zasadnicza różnica pomiędzy królestwem roślin i zwierząt, ani pod względem anatomicznym, ani też fizyologicznym. „Jeżeli uwzględnimy — powiada *Haberlandt* — jak dalece sięga analogia w konstrukcyi tych narządów, to jasnem dla nas się stanie, iż w żadnej dziedzinie anatomicznej i histologicznej struktury podobieństwo pomiędzy zwierzęciem a rośliną nie jest tak znaczne, jak w dziedzinie narządów zmysłowych. A możemy z tego wywnioskować, że i tajemnicze, wewnątrz-plazmatyczne procesy przy odbieraniu podniet są w zasadzie jednakowe w obu wielkich państwach przyrody organicznej.

Tak więc najważniejsza różnica, jaką przez długie wieki upatrywano pomiędzy zwierzęciem a rośliną, wrażliwość zmysłowa na podniety świata zewnętrznego, znikła bezpowrotnie; przepaść, zdawało się, niezgłębiona, wypełniła się całą dziedziną nowych, a wielce interesujących faktów, które dla biologii ogólnej doniosłe mają znaczenie.

PROF. DR. JÓZEF NUSBAUM.

# WHISTLER.

Na Quai Malaquais, w Pałacu Szkoły Sztuk Pięknych miała miejsce wystawa dzieł Whistler'a. Przybytek ten malarstwa fursami, stopioną czekoladką, sosem żółtej prymki, pomadką tającą, gdzie Dawid wciąż jeszcze Goliata zwycięża, a Kain znęca się wieczysie nad Ablem, to azylum ostatnie, w którym chronicznie grasują kaski, krótkie i strasznie obosieczne miecze, chlamidy, chimationy, sandały: cała starzyzna, cały „bric-à-brac“ rupieci grecko-rzymskich—naraz stał się Świątynią Sztuki wyniosłej, wielkiej, czystej, wyśnionej. W przestrzennych salach zaświeciło nagle marzenie, zajaśniała wizya „Księżniczki z Krainy Porcelany,“ zmierzchów słodkich wieczoru, świt i zachód się zaróżowił, morze błysnęło falami swemi przelewnemi, noc się zamroczyła tajemnicza, zagrały barwy wielką Symfonię złoci, srebra, purpury, błękitu, zieleni szmaragdowej, poważnej czerni, fioleto głębokiego, liłowych tonów, delikatnych — jak westchnienie miłośne.

I nagle też wytrysł świat w sennych widziadłach ujrzany, o rytmie wielkim, szerokim, gdzie wszystko, co istnieje, co żyje, jest Piękmem, Harmonią, Spokojem dumnym, gdzie wykwintne formy są, jak pieśń strzelista, gdzie barwy, przetopione w jakimś tyglu czarownym — biorą swą słodycz od kwiatów, zapłakanych rosą, od umarłego liścia, od krwi koralów, od błękitu nieba, a blask i siłę od gemm drogocennych, łomistych marmurów, od rudy kruszców, gdzieś z serca ziemi wydartych.

I tu właśnie, w tej École des Beaux Arts, w szkole oficjalnej on, Whistler, który szkół nie uznawał, on, który przed żadnym napeczęniałym sławą i zaszczytami *manitu* skłonić się nie chciał, on—który nazywał „komiwojażerami sztuki“ miernych malarzy a „nędznym fabrykatem“ całe ich malarstwo sławetne i po-

ważane, z takich allodiów wyszłe, jak Royal-Academy, wielkie Salony doroczne i z im podobnych — tu ostateczne uświęcenie otrzymał.

\*

\*

\*

James Abbott Mac Neill Whistler urodził się w Lowell, w Stanie Massachussets 11 Lipca 1834 r.; za miejsce urodzenia swe wszakże „z wyboru“ podawał Baltimore, gdzie inny wielki artysta, największy poeta Ameryki — Edgar Allan Poe światło ujrzał.

Syn Jerzego Washington'a Whistler, majora wojsk Stanów Zjednoczonych z Korpusu Inżynierów,—sam karierę wojskową obrać zamierzał i wstąpił nawet do Akademii Wojennej West-Point; ale stamtąd pono dla niedostatecznego uzdolnienia do chemii James Whistler, alchemik ten, który farby na światło, blask dyamentowy i czary przetworzyć potrafił — usunięty został.

Młodzięńcze lata artysty upłynęły w Petersburgu i Moskwie, dokąd ojciec jego—major wyznaczony został dla budowy linii kolejowej z Moskwy do Petersburga. W piętnastym roku, kiedy Jerzy Wh. zmarł, rodzina porzuca Rosyę i osiedla się w Ameryce. Na ten czas wypada młodego James'a nieudany zakus wojskowej kariery, jako też i później nieco równie poroniona próba zużytkowania rodzących się zdolności rysowniczych w kierunku praktycznym. Na marginesach map topograficznych Instytutu kartograficznego, na uroczystych i poważnych mapach ołówki młodego rysownika wycieczki robił w krainę fantazyi. I tam, gdzie tylko wiry, prądy, w meandry się wijące, linie pobrzeży sucha zaznaczonymi być były winne, Whistler naraz—znużony—pięknym narysem, w którym już mistrza wyczuć mogłeś, cudo pejzażu nadmorskiego, postrzępionego urwiskami i stokami, jak zaklęciem wywołał.

Te rysunekzki, którymi okalał mapy owe, uczyniły, że świat stracił kartografa uczonego, a zyskał wielkiego malarza. Whistler w innej mowie o grozie a pięknie ziemi i nieba świata opowiedział.

Wyrywa się dusza Whistler'a ku Sztuce i jedzie on, prawdziwym powołaniem gnany, do Paryża (w r. 1855 r.). Wstępuje do pracowni malarza Gleyre'a i tam zaznacza zaraz niepodległość swą rutynie i kanonom pseudo-klasycznym. W grupie młodych realistów, którzy po romantykach wzięli gorące umiłowanie nowych

dróg, nienawiść do tego, co bonzowie owocześni „stylem“ nazwali, nienawiść do owych umówionek przestarzałych „Historii“ i „Tradycyi“ najświętszej, a także rozwichrzone absalonowskie czupryny i kapelusze rebrandtowskie szeroko-skrzydłe — aż wre i kipi.

Młoda, namiętna, wrażliwa dusza Whistler'a doskonale się dostraja do charakteru i tonu owego kółka nowatorów. Ten układny gentleman nawet powierzchownością swą i sposobem „à la Bohème“ życia upodobnić się usiłuje braci swej paryskiej. Była to epoka wonczas rozczochrana nieco, ale szlachetna, pełna porywów, epoka cyganeryi murgerowskiej, gdzie miłość Piękna szła w parze z pogardą, może szczyptę za wrzaskliwą, dla filistra, konsierża, dla tych, co „vulgum pecus“ stanowią.

Ciekawą też była sylwetka Whistler'a szczupłą, wysmukłą, elegancka mimo pewne zapuszczenie i niedbałość artystyczną, sylwetka, gdzie odnaleźć mogłeś arystokratę w niezwyklej mieszaninie z „rapin“ paryskim; mieszanina ta: warcholstwa bohemii z wrodzoną dystynkcyą stanowiły zespół pełen wdzięku a niepowszedniości.

I dziwna! ten który nigdy zaaklimatyzować się nie mógł w Anglii, ten który w walce był ciągłej później, w starszym wieku, kiedy właśnie lata przeżyte wygladzają kanty i łagodzą to w osobowości, co mogłoby się z trudem przystosować do otoczenia, ten który napisał *The gentle art of making enemies*, zawiązuje stosunki przyjacielskie, szczerze, serdeczne, na wzajemnem zrozumieniu oparte, a którym wiernym pozostaje do śnierci. Tu w Paryżu brata się z Fantin-Latour'em, Legros'em, Manet'em, Mallarmé'em, Drouet'em rzeźbiarzem, Baudelaire'em, Courbet'em i jako pamiątka tego zbratania się powstaje obraz (wystawiony w Salonie w 1864 r.) „Hommage à Delacroix, w którym portret Mistrza otaczają: Manet, Fantin-Latour, Legros, Bracquemont, Baudelaire i Champfleury, zaszczytscy owoczesnej myśli francuskiej a między nimi, na pierwszym planie — Whistler.

W Paryżu James Whistler uprawiał akwafortę i malarstwo, z owego czasu datuje się serya jego plansz, znana pod nazwą: „Série Française,“ której odpowiednikiem jest późniejsza „serya angielska.“

W roku 1859, kiedy już znany i uznany był, jako akwaforcista, posyła do Salonu obraz swój olejny (Au piano) i... odrzuca ją go. — Jest wówczas pod wpływem Fantin'a, a obraz jego ma czar i wdzięk iście francuski, ale zabarwia się też tem czemś tajemniczem, wabnem dziwnie, czemś, co jak nić blade-złota snuje się po fantazyach Poë'go.

W roku 1863 na stałe osiedla się w Londynie, do Paryża zaś posyła swą *Białą dziewczynę*, która w otoczeniu dzieł Cals'a, Cazin'a, Harpignies'ego, Jongkind'a, Jana-Pawła Laurens'a, Manet'a, Pissarro, Vollon'a i wielu innych, przyciąga znawców do Salonu „Des Refusés.“

W owym okresie twórczość Whistler'a i talent zmienia raz jeszcze kierunek. Cuda sztuki japońskiej, którą Bracquemont — jeden z cenaklu realistów — niejako odkrył, uderzają nowemi formami, ubarwieniem i zestawieniem plam imaginacyę Whistler'a. Tworzy on cały szereg kombinacyj kolorystycznych, z których poniżej opisana *Mała dziewczyna w bieli* się wyróżnia.

Na jej to cześć Swinburn napisał poemat (w cyklu swym: „Poematy i Ballady“), który się od tych słów zaczyna:

Come snow, come wind or thunder  
High up in air  
I watch my face and wonder  
At my bright hair.

A ot ostatnie przeobrażenie indywidualności Whistler'a (przypada ono na rok 1863). W myśli jego twórczej zagasły jakby owe strzeliste fajerwerki kolorów, pod wpływem japońszczyzny wynikłe. Poszukuje on w portretach: *Matki, Carlyle'a* i w wielu innych, w *Nokturnach* swych i *Harmoniach* inglistych tylko *odcieni*, zdaje się mieć wtedy to samo „credo,“ co Verlaine, kiedy mówi:

Car nous voulons la nuance encore,  
Pas la couleur, rien que la nuance.

Znane są zajścia Whistler'a z Ruskin'em, z Du Maurier'em, ze Swinburn'em, znane są jego cierpkie polemiki, znany jego *Ten o'clock* i cała połać jego działalności, jako polemisty i estetyka.

Mniemaćby można, iż czuł się Whistler, jakoby depozytaryuszem ducha Sztuki anglo-saksońskiej i Piękna, nie znosił ni krytyki dzieł własnych, ni sądu a zdania, któreby z jego osobistem w sprzeczności było.

Z Chelsea — przedmieścia Londynu — na krucyatę szedł i słowem ostrem, jak brzeszczot i sztuką swą — którą wprost obrażał wylizaną sztukę Leighton'a, Millais'a i tego simili-mistrza Burne-

1) Odczyt, wygłoszony w Picadilly w 1885 r. Tłómaczenie na polski pojawiło się w „Sztuce“ w N-rze czerwcowym 1904.

Jones'a — smagał tych, którzy go zrozumieć nie chcieli, odczuć nie mogli.

„To, co wy nazywacie Sztuką angielską — mówi gdzieś Whistler — nie jest bynajmniej Sztuką, ale raczej wytworem fabrycznym, którego zawsze będzie pod dostatkiem.“

I szedł tak James Whistler na przebój, pewny swego talentu, mocy swej. Łyskując kłami — jak dzik osaczony — siepiąc na prawo i lewo, nietylko broniąc bezinteresownie praw i arkanów Piękna, ale także walcząc dla własnej sprawy, ochraniając, pieniaczkiem często, interes własny.—I z tem oto jest szczerze amerykańskim, *business-manem*, którym mimo wyniosłość swą i arystokratyzm nigdy być nie przestał, tak, jak długoletni pobyt w Anglii zetrzeć zeń nie mógł piętna francuskiego, które wychowanie artystyczne i sympatye na nim wycisnęły wtedy, kiedy dusza ma giętkość i podatność młodości.

To też raz jeszcze osiedla się w Paryżu na lat kilka (1889—1896), tu znajduje i powodzenie i tę atmosferę życzliwości i uznania, której mu tak brakło w Anglii.

Nie tylko zresztą dzieło jego w niezgodzie było z pojęciami estetycznymi angielskimi, ale nawet on—Whistler fizycznie antytezą był typu anglika i flegmy rasowej. O twarzy niezmiernie ruchliwej, smagłej, kapryśnej, gestykulujący żywo, mówiący głośno i naniętnie, o czarnej czuprynie, którą pasmo białych włosów, na czubku głowy wyrosłych, dziwacznie przecinało, ubrany choć wytwornie, ale z pewnem zacięciem romantycznym, z obywatela Wielkiej Brytanii tylko monokl zachowując — musiał razić tych, co we właściwy sposób „respectability“ rozumieją, tych, dla których cylinder jest takim nieodłącznym atrybutem „gentleman'a“, jak peruka sędziowska—Pierwszego Prezydenta, a płaszcz, grono-stajami podbity — Lorda-Majora Londynu.

Niepodległy a dumny sposób jego bycia, tak, jak sztuka jego nie podległa a pyszna, w sprzeczności były zatem z kanonami życia i estetyki angielskimi, i im bardziej wznosiło się dzieło jego, im bardziej stawało się ono indywidualnem, co raz bardziej własnem, co raz mniej w powinowactwie z tem, co się już widziało i znało — tem rozterka z opinią publiczną Whistler'a stawała się większą, tem też bardziej potężniała duma jego, świadoma, że to, co tworzy jest wizją dla wybranych, dla tych, którzy i czuć i patrzeć i śnić umieją, którzy odrzucają wszystko, co łatwe, znane, „katarynkowe“ — powiem — a co tłum za swoje zaraz uznaje i poklaskiem nagradza.

\*

\*

\*

Ze sztuki Whistler'a wieje jakiś arystokratyzm, królewskość jakaś niebywała. Daje on nam i pejzaże i postaci z jakowegoś Państwa, gdzie nawet praczki są królewnami i córami Alcinousa, gdzie deszcz jest raczej różańcem białych paciorków, mgła — perłą i opalem lotnym, gdzie mowa jest śpiewem, pocałunek — motylem barwnym, miłość — bazycielną melodią dusz, a życie całe — zachwytem i czarem.

Stajesz przed płótnem takim, jak ta „*Biała dziewczyna*“ (*The White Girl. Symphony in White*) i wszystko: ruch, poza, układ, wyraz, kolor zadziwia cię, przykuwa i wabi.

Nazwał Whistler Symfonią białą owe zjawisko, odziane szatą, spadającą fałdami siwej synary, występujące z białego tła, srebrzącego się jak stara cyna. Na liliowej tej symfonii w „leitmotiv“ bieli, wraża się plam barwnych kilka: plamią się u stropu rany, rdzą zczerniała, rude rozpuszczone włosy dziewczyny, a u dołu, u stóp jej żółci tonem wybladłej słomy, niebieszczy spłowiałymi niezabudkami kobierzec i połyskują nieśmiało, zaznaczone ledwie fioletowe, żółte, płowe kwiaty. Coś nieokreślonego, niepokojącego a wabnego nad wyraz czujemy w spojrzeniu tej młodej dziewczyny; takiemi oczyma zagadkowemi a uroczeniemi tylko Mona Liza Leonarda spogląda ku nam. Nie wiedzieć, czy piękna ona! wyczuwasz tylko, że pomiędzy tobą a nią jakaś tajemnica się świeci. Whistler duszę jakby komuś wydarł i Duszę tę sierocą oblókł w srebrnolitą suknię, przykazawszy jej patrzeć wzrokiem głębiej, nieodgadnionej zadumy.

A tu inna *biała symfonia* (*Symphony in White № 2. The Little White Girl*); oparta o kominek, otulona zwojami śnieżystej sukni, świecącej, jak blask gołębiego skrzydła w słońcu — dziewczynka. W ręczce opuszczonej, która różowi się, niby opadły płatek róży więdnącej — wachlarz japoński; głowa, zwrócona profilem w obranowaniu ciemnych włosów, odbija się w zwierciadle jasna i pogodna; na kominku puszcza z czerwonej laki i waza o floresach ultramarynowych; tuż przy krawędzi rami — różowe i purpurowe azalee. Kolory zdają się tutaj drgać i wibrować jak dźwięki harf nieziemskich. Ta czerwień vermilonu puszczy, czerwień, jaką tylko u Girlandaja widzieć można i te kraśności konających zachodów, które grają na kwiatkach azalei i szafiry te wód Adryatyku, malujące wazonik w arabeski i ta biel oslepijąca szaty i to



świtanie różanych tonów lica i ręki — są w takim do siebie stosunku, że jeden drugiemu splendoru swego użycza, a układają się w akordy potężne, wspaniałe, ale mimo siłę i moc swą—dyskretne, zamierzchłe jakby i ledwie wyszeptane.

Mży się we wszystkich dziełach Whistler'a coś niedopowiedzianego, ukrytego, ezoterycznego, Jakiś szmer i zapach idzie po nich z pozagwiezdnych światów, na których łonie przepiękne Życie jest jakby wielką a cichą Modlitwą, niezmaconą Błogością i Krasą.

Nawet w fantazyi kolorystycznej tak śmiałej i rażnej, jak ta sławna „*Księżniczka z Krainy Porcelany*“ (*Rose and Silver*) — moczny cynober przepaski, róż cielisty płaszcz, zzieleniałe srebro szaty, białość przygłuszona dywanu we wzory niebieskie — stapiają się w jakąś magię przesłodką.

W sztuce Whistler'a wizya natury eteryzuje się i staje odbiciem, cieniem rzeczywistości, podźwiękiem skryzalizowanym, i to nie przez przytłumienie gamy barwnej, nie przez uproszczenie kształtów i umyślną ich drętwość naiwną à la Puvis de Chavannes, ale przez zharmonizowanie bajeczne, przez poczucie plam kolorystycznych i ustosunkowanie ich wzajemne, przez zsyntetyzowanie piękna niejako, przez genialny instynkt pochwylenia tego, co *duszą* i *urodą* jest zjawiska. Nie masz u Whistler'a tej sztywności hieratycznej postaci Chavannes'a, tego „primitywizmu“ póz i ruchów; — kreacye James'a Whistler'a są gibkie, zręczne, żywe, a skala barwista—szeroka: od czerni aksamitnej tuszu chińskiego, poprzez fiolet rozgniecionej jержyny, szafiry głębokie, karminy, pomarańcze, szafrany, blade żółcie mimozy — aż do chlorotycznych rumieńców jutrzeńki, bieli — niby perła ormuska — ośnieżonej, izumrudów tylko co zakwitłego pączka.

Nie wielu mistrzów znalazło taką rozmaitość odcieni w tonacjach kolorowych, jak Whistler. Jego czernie w gradacyi pełnej, to platynowe, to *niuansu* stali zoksydowanej, to otchłanne a mimo to przezroczyście, jak ciemnie Rembrandt'a; jego tony różowe i szare, Velasquez'owi równe; jego krwawnikowe czerwienie, ogniste pąsy; jego ultramaryny i kobalty laków japońskich; seledyny i zielenie malachitu, silne i bogate, lub blade, wypętlę, szare prawie; jego oranże, cytryny gorące, albo jakby deszczem splókanę w niewidzianej wielobarwności lśnią się niby mistyczne kwiaty.

Ale gdzie paleta Whistler'a ma bogactwo nieznanę dotychczas w sztuce—to w lunatycznych, rtęciowych bielach, w czarnych, popielatych, burych, płowych tematach barwnych.

W pierwszej „Symfonii“ (*The White Girl*) biały kolor jest jakby tłumikiem zgaszony; w drugiej (*The Little White Girl*) świeci on jak srebrzyste lustro w jasności dziennej; w *A White Note* biel jest osędziałą, chrobliwą, koloru zwiędłych, zwarzonych lilij. W portrecie *Sarasate'go* czarny kolor tła, z którego wyrывa się czarno odziany artysta, ma coś z widmowych zjawisk. W znanem arcy-dziele „*Portret Matki*“ (*Arrangement in Black and Grey. Portrait of My Mother*) czernie i grynszpanowe szarości tworzą w swym zestroju coś pozaziemskiego, nieomacnego, coś co zdaje się cofać w głąb przed widzem, jak owe fluidyczne mary, ułudy medyumi-czne. A mimo to wrażenie nieuchwytności, „niematerjalności“ — postaci te żyją życiem skupionem, cudownem, tylko że im poprzez ciało i draperye duszę widać, osiadła ona na ustach ich, w przedziwny wyraz ułożonych, utkwiała w oczach, patrzących gdzieś, daleko, *aż tam*, gdzie się wszystko *wie, czuje, rozumie*.

To wrażenie z „tamtego Świata“ nie przeszkadza intensywności istnienia kreacyom Whistler'a, tak, jak charakter wyśnionego czaru nie odbiera pejzażom jego prawdy. Taki portret Miss Alexander np. zdumiewa siłą żywotną, siłą *rzeczywistego jestestwa*.

Proszę sobie wyobrazić dumną, obojętną, bladą dziewczkę, podobną do owych płowo-włosych infantek, które nam Velasquez przedstawia;—białą muślinową sukienkę, napeczniałą przez kryjącą się pod nią krynolinę i szeroką u rąbka, jak kryza, przecina w pół seledynowa szarfa, pończochy białe, ciżemki czarną emalią znaczą się w jasnym tonie ogólnym, szaro-blond włosy, związane u czubka węzłem aksamitnym, płasko spadają na ramiona, w ręce zwisłej trzyma pilśniowy popielaty kapelusz, zdobny piórem koloru śniedzi; po za nią ściana piaskowa o cichych przebłyskach bronzu starego; na lewo taburet z rzuconą nań draperyą zielonąwą o tonach rezedy.

Już to nie obraz, ale melodia, delikatnie przejrzysta o subtelnym akordach, transponowana z muzycznej skali na skalę barwną.

Takimi także zaletami odznacza się inny portret *Miss Alexander (siostry)*. Na nim w szarej harmonii, ujranej jakby za szybą, zlekka zmatowaną, złoty perz listków mimozy się żółci.

Czasami u Whistler'a twarz jest tylko elementem barwnym, płaną, która do ogólnego zespołu się dostraja, motywem melodyjnym, jak np. w *Caprice in Purple and Gold*, lub w *The six Schemes*, które także Symfoniami Mistrz nazwał. Płótna te są fantazyami kolorystycznymi na wzór estamp japońskich, w nich linia ma ekspresję ornamentu, a kolor jest jakby fanfara złotą.

W *Nokturnach*, które lubo są pejzażami nastrojowymi — czuć także tendencję muzyczną. Nokturnami zwać się one nie dla efektu nagłówka — ale dla tego, że istotnie są pieśniami nocy. Czy to w *Nokturnie „Battersea“* o tonacyi zielonawej, tonacyi nie-dojrzałej konwalii, gdzie rząd łodzi ze zwiniętymi skrzydłami zagli odcina się od linii pobrzeży, upstrzonych tłąciami się smętnie światełkami; czy też jak w tej przepięknej karcie (*Nocturne in Black and Gold. The Falling Rocket*), w której deszcz ognisty rac, szrapneli, świec rzymskich ciemno-szafirową noc wysadza złocistymi skrami i czyni ją podobną do feeryi z *Tysiąca i Jednej Nocy*, do tych fantastycznych ogrodów i placów Bagdadu w wielkie Ramazanu święto; czy też w stu innych — nastrojowość obrazu tajemnicza, melancholijna, jest jakby wynuconą tęsknotą za krainami, ujrzanemi we śnie, pieśniami zasłyszanemi w momenty ekstazy.

W jednych zawoalowanych fioletem, blado-sinych rumienią się zakaty słońca; w innych zbieleły świt, który bladość swą od księżycy jeszcze pożyczca, brzeszczyć poczyną się, przesiany jakby przez tiul mlecznych firanek; indziej czarne szafiry głębokiej nocy rdzawią się tu i owdzie kagankami dalekich światełek; tu Tamiza, lodem ścięta, z pod zdrewniałych uścisków brudno-białej kry ocknąć się usiłuje; tam ona znów, pióropuszem dymów i mgieł przesłonięta, na grzbiecie swym szaro-persowym tratwy — jak olbrzymie żółwie—holuje; tutaj znowu zlekka pieni się morze i srebrzy, jak łuska rybia, mieni, jak koncha muszli perłowej;—a wszędzie cuda koloru, teatr blasków, świateł, tonów stubarwnych.

I chciałbyś wiedzieć, jakimi środkami materyjalnymi artysta wizję swą wyraził, jak? czem? i na czem? utrwalił marzenie swe poety? Podchodzisz do płótna, i wydaje ci się, że Mistrz ot! chuchnął na nie i wywołał tchem swym wyobraz, bo farbę widzisz szklącą się zaledwie na ziarnistości tkaniny. Indziej atoli, gdzie obraz ma delikatność pyłku kwietnego — farba rozgnieciona, nasadzona szpachtlą, jak razem kielni, rozprowadzona szorstkim pędzlem, chropowata, zahacza się, że wyczuć kształt — zda się — pod palcem możesz; tu i tam plam kilka, tu i tam muśnięty ledwo kontur, zaznaczona ledwo forma, a obraz jest skończonem, doskonałem arcy-dziełem.

To samo dotknięcie eleganckie, subtelne, a pewne, daje się widzieć w akwafortach i litografiach Whistler'a. Z brutalnego widzenia, jakie mu natura daje — bierze on tylko kwintesencję i kilku kreskami, punktami paroma chwytą impresję. Linia, która przecina margines estampy whistlerowskiej w nieskończoności idzie.

Plansze Whistler'a są wszystkie prawie w tonacyi złoto-bursztynowej, płowe, jasne, obłoczne, jak miraż; w kilku tylko zcinają się cienie w masy ciemne, atramentowe i wtedy przypominają one karty Rembrandt'a siłą i zrozumieniem światłocienia, utajonym blaskiem, który czai się w najczarniejszych nawet zakątach.

Oczywista, że mistrz taki sam ze siebie się rodzi i choć gdzie-niegdzie widzisz wpływ artystów, z którymi żył (Courbet, Fantin-Latour), lub których w przeszłości ukochał — Whistler zawsze sam sobą pozostaje. Szedł on drogą samotną marzeń, zdaleka od ciżby ludzkiej, a od życia nawet tyle brał tylko, co smak jego ostry, wyszukany, wyczulony, wybredny — wchłonać i przyjąć raczył. Oczy jego czasem zatrzymały się na Rembrandt'a bürgerach, na infantkach Velasquez'a, na gejszach japońskich, tak jak błąkały — szukając ideału — po zatokach Ajaccio i Valparaiso, po pobrzeżach Tamizy i Renu, po portach Bretanii i Anglii, po Wenecyi lagunach, po kanałach sennych Amsterdamu... po ziemi, po toniach i niebie, i zewsząd niosły do duszy Whistler'a obrazy widziane. Później z duszy swej, rozpylone marzeniem na baśń tęczową, siał je artysta w świat oryginalne, promienne.

Kiedy *James Mac Neill Whistler* umarł (w 1903 r.) zmarł z nim jeden z największych współczesnych malarzy i kapłan tej sztuki, o której powiedział, że jest ona „*Bóstwem wytwornem na uboczu stojącym*,“ sztuki cudnie pięknej, dumnej i niedostępnej, jak wirchy.

JAN TOPASS.

## Fragment lozański *Dziadów*.

Ostatni okres twórczy Mickiewicza — od wydania „Pana Tadeusza“ do improwizacji paryskiej (1835 — 1841) — bywa najmniej studyowany, jakkolwiek przedstawia jeden z najciekawszych fenomenów psychologicznych ogólnej literatury. Jest to okres zapadania w letarg jednego z największych geniuszów poetyckich. Mickiewicz stracił naówczas zmysł kompozycyjny i natchnienie go opuściło; pierwszy raz zabiera się do rzeczy, które mu się zupełnie nie udają, w których „zawisa i staje na miejscu“ i o których, po długim borykaniu się z materiałem, powiada: „wdałem się podobno w nieswoje“ rzeczy, „niedojrzała idea“ i t. d. Za pobytu na Litwie i w głębi Rosyi takich fałszywych przedsięwzięć nie było; posiadał on zawsze pewność siebie, znajomość sił twórczych i przedmiotu; zawsze wiedział, co robi; snuł plany szerokie i innym radzić i kierować nimi umiał. Obecnie przeciwnie — Mickiewicz boi się prawie coś śmiałego projektować; słychać o zamiarze opisania pewnych epok historii polskiej wierszami; potem o poemacie zwierzęcym — zapewne na emigracyę — ale to są jakieś dalekie plany i zamiary, a pozytywnie ośmiela się tylko do niepewnych marzeń o dalszym ciągu „*Dziadów*“ lub „*Pana Tadeusza*.“ Okres ów studyuje się z ogromnym smutkiem. Jest to podróż po pustyni, po przebyciu najpiękniejszych dolin i ogrodów — ów rześystemi łzami oblewany „wiek męski, wiek klęski.“ W listach poety czytamy tylko smutne skargi i im dalej — tem rozpaczliwsze: „Niedobrze się mam na umyśle, różne smutki głębiej mi wyrdzawiły duszę, niż się sam spodziewałem;“ „Niejestem w sztosie pisania — bardzom się *zestarzał* w duszy;“ „Coraz mniej we mnie energii, smutek powoli zstąpił aż na dno mojej duszy, skąd bardzo trudno go wyrugować.“ Wyznania te

pochodzą z lat 1838 — 1840 i dobrze malują zachodzącą powoli zmianę w usposobieniu poety <sup>1)</sup>.

Po fenomenalnym okresie twórczym (1832 — 4) i dokonaniu dzieł, które na wieki rozkosz i zdumienie nam przynosić będą — następuje niewytlómaczalny okres ciszy, niemocy i milczenia, który czyni wprost tragiczne wrażenie. Przyjaciele go naciskają, żeby coś pisał. Kajsiewicz radzi mu wydać „coś czysto religijnego;“ Witwicki zgadza się na „jeden jakikolwiek poemat;“ Raczyński, bogacz poznański, zamawia u poety ballady, rapsody, posyła zaliczki, nakład ofiaruje. „Chciej proszę, powiada uczynić mnie swoim wydawcą; pisz co chcesz, byle po polsku, o Polsce; ja będę dla pana wydawał; przyjmiesz ten dowód uwielbienia od ziomka, któremu się ten zaszczyt dostanie, że ogłosił, co Mickiewicz napisał <sup>2)</sup>.“ Tymczasem wezwania te pozostają bez skutku; „urodzony twórca“ z Improwizacyi — traci swe siły; wulkan, co się sam w sobie chowa, wypalił się i przestał dymić przez słowa; „pan rymów“, twórca „Ody do Młodości“, „Farysa“, „Pieśni Wajdeloty“ — nie jest w stanie sklecić dłuższej kompozycyi i na wezwanie Raczyńskiego do wydania własnych poezyj, musi odpowiedzieć — propozycją ogłoszenia dzieł Zaleskiego. Mickiewicz przeczuwał swój los oddawna; możebnosc zapadnięcia w letarg leżała w jego naturze i w charakterystyce Wallenroda poniekąd zużytkowaną została. Nikt nie chciał badać, co się z poetą działo — może nawet rany tej dotykać nie śmiał — i tylko Słowacki z radością zwycięskiego gladyatora stwierdził:

Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,  
I pokazałem, że na twojej korze  
*Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu*  
Widać, że ci coś *próchno* duszę porze.

Pod względem więc stanu duchowego jest to okres bardzo smutny — ale światowo rzecz biorąc, jest owszem wcale pomyślny, ogromnie zajmujący, a nawet błyskotliwy. Im mniej zajęcia dawała Mickiewiczowi poezya, tem łatwiej przyszło mu upodobnić się do otoczenia. Mickiewicz żeni się naówczas i bawi dziećmi, jak Rej. Przejście w wymarzony oddawna stan małżeński odbywa się u niego bez najmniejszego wtóru poetyckiego. Na obczyźnie dorabia się poważania i dobrego kawałka chleba;

<sup>1)</sup> Korespondencya Mickiewicza, I, 177, 195, 199, 229.

<sup>2)</sup> I. c. IV, 180, 245; III, 222.

pisuje w dziennikach, zakłada towarzystwa, zdobywa katedrę za katedrą. Mając zdumiewający, a ściśle polski, dar przyswajania sobie obcych języków — przerabia się na zajmującego francuskiego pisarza przeglądowego; uzyskuje rozgłos, jako stylista francuski — „un auteur supérieur dans notre langue“ — powiada o nim Georges Sand; zelotyzmem katolickim nadaje sobie interesujący odcień autorski; zostaje uznany za „grande célébrité littéraire“ — wchodzi w modę i staje się przedmiotem uwielbienia całego oświeconego ogółu europejskiego. „Ilu ty masz protektorów! Szczęśliwy i w czepku urodzony człowieku“ — powiada o nim Witwicki <sup>1)</sup>. Zewnętrznie więc powodzi mu się znakomicie — lepiej niż kiedykolwiek. Tylko — to już nie jest ten dawny Mickiewicz; nie tworząc nowych dzieł — nie mógł posuwać naprzód poezyi; żył kapitałem przeszłości i jako poeta-twórca węgował raczej, jak ośmieszani niegdyś klasycy warszawscy: Koźmian, Wężyk i Morawski. Był on odtąd zajinującym literatem z nadzwyczaj świetną, wyjątkowo świetną przeszłością — ale nie był już Prometeuszem żyjącego pokolenia, nie był poetą emigracyi i niepodzielnym władcą parnasu polskiego.

Mickiewicza rozstrajał ogromnie pobyt na emigracyi i nieraz się skarżył, że otacza go „step moralny bez końca“ i że chciałby „przespać emigrację“ <sup>2)</sup>. Wydobyć się z tego zaczarowanego koła mogło poecie przywrócić dawną rzeźwość umysłową. Wszyscy poeci, którzy chcieli coś zrobić — Słowacki, Zaleski — uciekali z Paryża i w długiej samotni, jak eremici, poszukiwali ukojenia i przybytku sił. To też dwuletni pobyt w Lozannie nad jeziorem Genewskiem, stanowi także u Mickiewicza pomyślną przerwę w życiu emigranckiem (1839 — 40). Poecie przypomniały się najszcześniejsze czasy rzymskie i drezdeńskie. „Kraj piękny, jak obraz — powiada — salon mam pyszny, jak księżę, z olbrzymimi oknami i widokiem na ogród i jezioro“. Mickiewicz dostał miejsce profesora w Lozannie i prędko wszystkich ująć sobie potrafił. „W Lozannie — pisze — byłem zepsutem dzieckiem rządu i Akademii i gdyby nie choroba żony i dzieci, wspominałbym Lozannę, jak raj.“ Podobał się ludziom; wykłady czyniły znakomite wrażenie; młodzież przepadała za nimi i urządzała mu serenady. „Wszyscy dla mnie przychylni — donosi Zaleskiemu — Była sesya publiczna Akademii, gdzie mi grzeczności

<sup>1)</sup> Kor. IV, 215.

<sup>2)</sup> Kor. I. 195, 212.

powiedziano. Trzeba było grzeczności odpowiadać i czytać rozprawę. Rozprowiałem o poetach chrześcijańskich z III, IV i V wieku. Arcydobrze przyjęto <sup>1)</sup>.“ Ta rozprawa się nie zachowała, jakkolwiek zewsząd napierano, żeby ją Mickiewicz drukiem ogłosił i nawet według statutu powinien się był o to postarać.

Korzyść położenia powiększała możność odbywania najprzepyszniejszych wycieczek, jakich nawet Krym nie mógł mu niegdyś dostarczyć. Powoli mógł Mickiewicz w Lozannie ze wszystkich bied emigranckich wypocząć i na dalsze życie sił nabrać i stężeć. W lipcu 1840 r. był z Zaleskim w Chamounix, gdzie niegdyś bawił także z Odyńcem, i marzył, żeby ściągnąć do towarzystwa jeszcze Goszczyńskiego i w trójkę z nimi zacząć układać jakiś poemat „sposobem serbskich rapsodów“ <sup>2)</sup>. Widać, że zasoby duchowe w poecie się odnawiały i zachodziła w nim jakaś cudowna przemiana. Pociągnięty urokiem odradzającej się twórczości, we wrześniu wyruszył znowu ku góróm i przez dolinę walijską, którą przechodził już trzy razy — z Odyńcem 1829 r., Garczyńskim 1833 i Zaleskim ostatnio — wszedł „na lewo w Oberland“ i myślał zabrnąć aż do Zurichu. „Bardzo mi to służy na zdrowie — pisze do Zaleskiego z Interlaken — i czuję się tak rzeźwy, że aż mi się na wiersze zbiera.“ W okolicach tych utworzył Słowacki „Mazepę“, „Kordyana“, „Balladyneę“; Krasiński „Ostatniego“ i „Przedświt“ — u Mickiewicza miała powstać tylko bolesna skarga na brak natchnienia.

Nie ma rzewniejszej poezyi, jak fragmenty liryk lozańskich. Ostatni to raz przemawia do nas poeta z dokładną świadomością wszystkich swoich przejść duchowych. Jest to stanowczo ta sama osoba, którą znamy oddawna, która pamięta o swoich dawnych wzlotach i chciałyby do nas jeszcze raz odezwać się tu swoją przejmującą rzewnością, szczerością i potęgą. Niestety, siły mu już nie dopisują — tworzy tylko ułamki. W jednym skarży się, że zanadto rozrzucił swoimi skarbami:

Rozrzutnik młody, resztę skarbcu schwyć  
W ziemi zakopię; nie czas reszty tracić.  
Już czuję starość. . .

Czy mu się przypomniały dawne improwizacye? czy to, że dużo pomysłów rozrzucił, z których inni skorzystali bez uczucia

<sup>1)</sup> Kor. Mick. I, 182, 211, 222, 226.

<sup>2)</sup> Kor. Zalesk. I, 175.



wdzięczności — dość, że postanowił się zamknąć i nie na ludziach, ale na Bogu oprzeć swoje nadzieje. Nazywa on siebie jeszcze „Kochankiem duchów,“ ale widocznie ma już wrażenie, że go natchnienie na zawsze opuszcza. W wierszu „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada“ oświadcza, że czuje się obcym dla otoczenia. Lozanna ojczyzną jego nie zostanie; „piękniejszy kraj w oczach mu stoi“ — kraj wspomnień młodzieńczych — Litwa:

.... Tam siedzę pod jodłami,  
Tam leżę wśród bujnej i wonnej trawy,

Za krajem tym tęskni. Wierszykowi temu możnaby prawie nadać datę: „Lozanna, Maison Beau-Sejour, 15 februarui 1840 roku“ — bo w liście z tym napisem czytamy: „Tęsknota mię nieraz do Litwy ciężka napada i ustawicznie śni się o Nowogródku i o Tuhanowiczach“ — a to samo jest treścią tego ułamku <sup>1)</sup>. W tych półnatchnieniach na dawną modłę, przypomniawszy sobie żywo całą przeszłość twórczą, minione wzloty i minioną potęgę i porównyując je z obecną niemocą — zalał się łzami i napisał ten cudny wierszyk „Połały się łzy me czyste, rześiste.“ Rzewniej nikt nad sobą nie płakał. Te fragmenty przypominają „Psalmny“ pokutne Dawida. Mieści się w nich tragedia niewypowiedziana, ostatni jęk potężnej duszy, która czuje, czem była i czem już nie będzie i żegna przeszłość słoneczną, jak galernik kraj rodzinny, na wieki. Mickiewicz czuł, że przeżył ewolucję swego talentu i ciężko mu było oswoić się z myślą, że musi zniżyć się do poziomu przeciętnego człowieka.

Odtwarzać całego horyzontu osobliwych wrażeń Mickiewicza w tej chwili — niepodobna, bo źródeł zbyt obfitych nie mamy. Zresztą samemu poecie przejścia te nie były zawsze jasne o tyle, iżby je na wymowę rymem przelać potrafił. Czuł, że się z nim coś niezwykłego działo; mimo niepowodzeń, zwątpić zupełnie nie chciał i rwał się naprzód z niewymowną trudnością, jak świadczy epigramatyczny urywek „Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje.“ Wierszyk ten można prawie uważać za program jego profesorstwa lozańkiego. Porównań w nim bez miary — o siewcy, naturze, matce i złotniku — a do przedmiotu porównywanego niedobrze przystają. Mickiewicz obmyślał sobie jakiś plan pedagogiczny i moralny; chciał się wzbijać wysoko,

1) Kor. Mick. I, 211.

działać szeroko — a ostatecznie sam w sobie się jeszcze nie wyjaśnił. Brał on swoje obowiązki nauczycielskie albo za głęboko, albo za powierzchownie — a w rutynę i trud cierpliwy nie wierzył. Ostatecznie widząc, że problemów tych nie rozwikła, postanowił prawdziwie po polsku wszystkie trudności pominąć. W wierszu „Nad wodą wielką i czystą“ objaśnia, że spokojna toń wody odbija kolejno skały, chmury i burze i nic jej właściwie na stałe zamącić nie może — czyli inaczej, że fenomena przemijają, przeszkody człowiek będzie zawsze napotykał po drodze, a przeznaczeniem jego jest „płynąć, płynąć i płynąć.“

Z liryką lozańską pozostaje w ścisłym związku scena pomiędzy „Dziecięciem“ a „Starcem“ we Fragmentach I Części „Dziadów“, ogłoszonych w r. 1861. Jest to krótki dyalog pożegnalny pomiędzy wnukiem, nie chcącym iść wieczorem na cmentarz — a Starcem, pozostałym samotnie po wymarciu całego pokolenia, zniedołężniałym mocno i przeczuwającym swój bliski kres, a przecież napierającym się jeszcze, żeby pójść na uroczystość „Dziadów“, bo na nią od dzieciństwa chodził. Dziecko obiecuje go jutro poprowadzić na cmentarz, zwraca uwagę, że i tak nic nie zobaczy, bo ma słuch przytępiony — nawet przykład chorobliwego zamyślenia z przed dwu tygodni przywodzi mu na pamięć. Tymczasem to wszystko nic nie pomaga. Starzec uparł się iść na cmentarz, odsyła wnuka do domu, a sam ostatnim wysiłkiem wlecze się na mogilnik, bo go prowadzi „instynkt grobowy“ i „ciemne przeczucie“, że już nie wróci i z bólów swych i tęsknot będzie na wieki oswobodzony. Sylwetka tego starca została narysowana rysami silnymi, ale nieco skłębionymi. Żyje on tylko odległą przeszłością, współczesnego pokolenia nie lubi i czuje się wśród niego zupełnie obcym. Rozpaczliwym jest dla niego uczucie, że sam widział, jak „częściami do mogily wrastał.“ Widzimy go krótko a na zawsze pamiętamy. Zdumienie jednak nasze wzrasta, gdy spostrzeżemy, że niektóre jego słowa są właściwie echem liryków lozańskich. Czyżby to miał być sam Mickiewicz? Przypuszczeniu temu nie chce się wierzyć — a przecież trudno oprzeć się wrażeniu, że słowa „Wszystkie dziedziczne skarby znikły w czasie toniach“ — są prawie powtórzeniem z wiersza „Kochanek duchów;“ a dalsze zdanie „Nie wiem, czym pośród trupów czylim sam umarły“ — przypominają zupełnie początek urywku „Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada.“

Ale niedosyć na tem. Starzec kocha swego wnuka i pragnąłby mu jakoś wynagrodzić poczciwo przywiązanie, jakie dla niego okazał, gdy go wszyscy znajomi opuścili. Pozwala mu więc

wrócić do domu — ale że ta rozłąka ma dla niego mistyczne znaczenie — więc każe mu klęknąć i uroczyście go błogosławi. Otóż błogosławieństwo to przynosi nam znowu wielkie zdumienie. Jeśli będzie można uwierzyć, że Mickiewicz scharakteryzował tu swoje usposobienie lozańskie — to trzeba będzie przyjąć, że to błogosławieństwo było najboleśniejszą skargą poety na „zbyt gorzki kielich życia“, jaki mu przyszło wychylić na emigracji. „Cierpliwość“, wspomniana w tym wierszu, znajduje objaśnienie w znanyu urywku „Snuć miłość, jak jedwabnik“ — a życzenie dla wnuka, żeby umarł młody, jest naturalnem zakończeniem przenikliwej skargi życiowej: „Połały się łyzy me czyste, rześiste.“

Porównywając w ten sposób wiersze lozańskie z echemi ich w scenie pomiędzy *Dziecięciem a Starcem*, dochodzimy do przekonania, że Mickiewicz to „próchnienie“ serca, które mu wytknął zuchwale Słowacki, sam osobiście wybornie obserwował i jak niegdyś swe improwizacye — z patologiczną ścisłością badał. Chcąc jeszcze bliżej ten stan psychologiczny określić — ułożył balladę „O zaklętym młodzieńcu, przemienionym w głazy“, której treścią jest znów to samo, t. j. że przenikał, jak w zwierciadle, stopniowe swoje „wrastanie w kamień“ i nawet czarodziejowi Twardowskiemu nie dał się wyrwać z letargicznego uśpienia, ale owszem jego pomocy użył, ażeby czarodziejskie zwierciadło zbliżyć ku sobie i tym sposobem stać się co rychlej całkowitym kamieniem. W balladzie tej znajdujemy znowu oddźwięk wierszów lozańskich, bo to forsowne odsunięcie własnej przeszłości litewskiej w zamierzchłe czasy legendy, jakie zjawia się w moście młodego Poraja do Twardowskiego — zgadza się dobrze z okrzykiem:

Dusza wówczas daleka, ach daleka!  
Błąka się i narzeka, ach narzeka!

w wierszu już cytowanym: „Gdy tu mój trup.“

Stajemy tu wobec ciekawej zagadki, którąby innemi źródłami poprzeć należało, ażeby nabrała warunków rzeczywistego zdarzenia z życia Mickiewicza. Tylko ażeby to uczynić, musimy się wyrzec wielu ustalonych przekonań. Wydanie „Fragmentów“ z r. 1861 narzuca nam fałszywe wyobrażenie, że rozmowa Starca z Dziecięciem nie ma ani jednej aluzyi, którąby się do scen obok wydrukowanych odnosiła; także w tamtych dwu scenach nie znajdujemy ani jednej wzmianki, którąby się znów rozmowy Starca z Dziecięciem tyczyła. O czem Starzec dumał, nie myśli wcale

Dziewica i Strzelec: unosili się oni swojemi marzeniami, kiedy znów Starzec miał swoje osobiste złudzenia, których powiernikiem było tylko Dziecię. Osoby te nie zwracają na siebie w poemacie najmniejszej uwagi; Starzec robi swoje a Dziewica i Strzelec swoje; są to zupełnie luźne obrazki, postawione obok siebie — ale żadną myślą wewnętrzną niespojone. Nie przesądzamy wyniku naszego badania, ale je sobie ułatwiamy. Sceny te mogły stanowić kiedyś osobne całości, niezależne od późniejszych połączeń. Jeśli dzisiaj jeszcze zauważyć możemy w tych fragmentach mechaniczne zestawienie części — to cóż dopiero musiało być dawniej? Pomysły niespolone dzisiaj, musiały być mniej zespolone poprzednio. Mogą one nawet należeć do kilku epok twórczych. Rozmowa Starca z Dziecięciem stanowi przypuszczalnie jądro osobnego pomysłu, podobnie jak monolog Dziewicy i przygoda Strzelca. Na papierze osadziło się tylko tyle, ale w stanie płynnym mogło być inaczej i więcej. Zaleski powiada, że Mickiewicz w „Dziadach“ streścić chciał wszystkie potęgi swego ducha; „rozrachunki z Bogiem“, zapasy i walki sumienia człowieczego, żary i bóle patryoty. Tymczasem w zachowanych częściach po szczególne tego wszystkiego nie widzimy. Praca nad dalszym ciągiem „Dziadów“ zaczęła się na wiosnę, zaraz po skończeniu „Pana Tadeusza“ Mickiewicz zawitał na wilegiaturę do Sèvres i obładowany korektami „walał się“ z Zaleskim po laskach okolicznych, dumając i gwarząc o przenantajróżniejszych rzeczach. „Raz mimochodem koło leżącego napomknąłem: „nieprawdaż Adamie, rozbiierają cię Dziady? Na to zapytanie uściśnął mi rękę, potakując skinieniem głowy... Istotnie, w tym czasie na luźnych kartkach pisał nocami nieczytelne notatki i urywki do dalszych części „Dziadów.“ Te kartki widziałem i wtedy w Sèvres i po leciech jeszcze w Lozannie, kiedy mnie sam wtajemniczał w ich arkana“ <sup>1)</sup>.

Mając te wiadomości, możemy obecnie rozpatrzeć bliżej interesującą nas „Rozmowę pomiędzy Starcem a Dziecięciem“ — monolog Dziewicy i przygodę Strzelca narazie pomijamy. W scenie tej mamy dwie role nierównomiernie traktowane. O Starcu wiemy dużo, bo na jego charakterystykę położono główny nacisk — ale figura Dziecięcia nie jest wykończona. W zachowanym ułamku czytamy:

*Jutro pójdziem na cmentarz — ty swoim zużycajem  
Dumać — ja złożyć krzyże kwiatami i majem*

<sup>1)</sup> Kor. Zalesk. V, 115 — 6.

tymczasem o tym zwyczaju Dziecięcia w I-jej Części „Dziadów“ zupełnie głucho. Nie przesadzamy, czy ta scena byłaby potrzebna — ale to pewna, że w imaginacji Mickiewicza musiała się odbić. O Starcu powiada, że lubi dumać na cmentarzu i przedstawieniu tego rysu poświęca osobny obrazek — tymczasem o Dziecięciu, że lubi błąkać się po cmentarzu i zdobić mogiły kwiatami, narazie zapomina, choć Dziecko samo zaznacza, że okoliczność ta była tak dobrze jego właściwością, jak znów dumanie było cechą Starca. Scena ta mogła zdarzyć się wczoraj, mogło ono wczoraj błąkać się wśród mogił i krzyże kwiatami ozdabiać, a dziś mu się już na cmentarz iść nie chce i Starca nawet od tego zamysłu odwieść pragnie, obiecując mu, że

Jutro pójdziem na cmentarz — ty swoim zwyczajem  
Dumać — ja zdobić krzyże kwiatami i majem.

Otóż o tę scenę wczorajszą nam chodzi: gdzie się podziała? czy istniała na papierze? i czy w pismach Mickiewicza dałby się jakiś ślad po niej wytropić?

„Dziadami“ interesował się szczególnie Zaleski, zawdzięczając im niezliczoną ilość pobudek twórczych do „Ducha od Stepu“ „Złotej Dumy“ i wogóle do całej swej działalności literackiej na emigracji. Gdy je w rękopisie r. 1832 odczytał, powiedział: „Drogi, nieoszacowany nasz Adam! jak świat, wielki, cudowny poeta i człowiek. „Dziady“ będzie to olbrzymie, oryginalne i narodowe poema, coś nakształt „Divina Comedia“ nasza. (!) Ogromne ramy, które konanie narodu i wszystkie światy poezyi i filozofii obejmą. Bohaterami poematu są: Bóg i sam poeta... genialne, szekspirowskie sceny“ <sup>1)</sup>. Za to uwielbienie dostał naówczas lirnik ukraiński autograf „Dziadów“, i tem się tylko w czci dla tego poematu utwierdził. Widzieliśmy, że w Sèvres próbował z Mickiewicza wydobyć jakieś wyznania co do dalszych planów — ale mu się to nie udało. Stosunek ich był dziwny. Mógł podziwiać Mickiewicza, ale do poufalej rozmowy o zamysłach autora nie był przypuszczony i dopiero, jak sam wyznaje, w Lozannie poznał arkana „Dziadów.“

Wobec tego, wiadomości Zaleskiego co do dalszego ciągu „Dziadów“ przed pobytem w Lozannie, ograniczać się musiały do niejasnych przypuszczeń, a jakkolwiek Ukraińca niesłychanie ta kwestya ciekawiła, jednak na razie poprzestać musiał tylko na

<sup>1)</sup> Kor. Zal. I, 41.

wnioskach z części drukowanych. „Dziady“ drezdeńskie zbudowane są na tezie rzekomo filozoficznej, że życie duchowe człowieka znajduje uzupełnienie w marzeniach sennych. W prologu powiedziano:

Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi?

i w imię tego w poemacie przedstawiono wszystkie główne osoby: Konrada, X. Piotra, Senatora i Ewę — w dwu zdjęciach, t. j. w działaniu realnem i wśród dumań i wizyj sennych. Mickiewicz tak był przekonany o ważności swego odkrycia, że zapuścił się w polemikę z wątpiącymi i szczegółowo usiłował wytłómaczyć, że sen nie jest pamięcią albo wspomnieniem, ale przeciwnie wykładnikiem życia moralnego, prawdziwym marzeniem twórczem i czynnością psychy ludzkiej, sięgającą w sfery metafizyczne. Tę myśl ukochaną poety przejął skwapliwie Zaleski i w „Duchu od Stepu“ pragnął po swojemu urzeczywistnić. W objaśnieniach do tego poematu określa, co rozumiał pod „okolicą nocną bytu naszego — błękitną, astralną, promieniącą na wsze strony kreacją Boga.“ Polemizuje także z przeciwnikami, jak Mickiewicz w „Dziadach“ drezdeńskich, i jakby na niego wskazując, dodaje: „Ile dusz czystych i rzewnych zaznałem w życiu, każda ostrzem biegała w te mroczne strony <sup>1)</sup>. Otóż jeślibyśmy teraz zechcieli oznaczyć, co Zaleski mógł wiedzieć przed pobytem w Lozannie o dalszych częściach „Dziadów“ — to moglibyśmy orzec, że snuł jakieś pomysły, mające związek z doktryną Mickiewicza o marzeniach sennych i podsuwając mu analogiczne kombinacje, mógł usiłować tym sposobem wydobyć z niego jakieś wyznania.

Stosunki z lat 1833 — 5 zmieniły się jednak znacznie, gdy Zaleski został bankierem emigracyi i mógł Mickiewiczowi niejedną usługę oddać. Odtąd już zaczyna się ich serdeczna przyjaźń; Zaleski umiał uczynność podwoić uprzejmością, okazać Mickiewiczowi współczucie w nieszczęściu i niebawem nastąpiły czasy, że wielki Litwin miał mu nawet Fragmenty „Dziadów“ pokazywać. Znajomość nieco etykietalna przetworzyła się w ogromną poufałość — Mickiewicz chwali dumki poety ukraińskiego, że je należy czytać na klęczkach; zaczyna mu rady dawać co do *potrzeby zbaraskiej*, chce go przerobić na epika i zbliżyć do tej wysokości

<sup>1)</sup> Kor. Zul. I. 98.

artystycznej, na której sam niegdyś stanął. Zaleski naówczas zastąpił Mickiewiczowi Zana i Odyńca, stał się jego korespondentem i ukochanym pupilem literackim, o którym miał kiedyś na wykładach paryskich powiedzieć, że rzucił pęk kwiatów na zakończenie igrzysk słowiańskich i zawsze będzie wprawiał w rozpacz tych, co by mu w śpiewności, delikatności i kolorystyce dorównać chcieli. Mickiewicz w admiracji Zaleskiego doszedł do tego, że się uczył na pamięć jego dunek i podczas pracy nad wykładami lozańskimi wyśpiewywał <sup>1)</sup>).

W tem stadyum znajdowały się ich relacje, gdy Zaleski chcąc podziękować Mickiewiczowi za postaranie się o nakładcę na swe dzieła — wybrał się z uroczystem powinszowaniem na jego urodziny (1839), przepisał osobno dla niego cały zeszytyk najładniejszych dunek, załączył staranne objaśnienie, co wie o podaniach ukraińskich, tyjących się zozuli t. j. kukułki, i dla okazania pewnego współczucia, jako brat po lutni — przesłał mu próbkę swej poezyi, pełną alluzyj do jego stanu duchowego. Zaleski pisze: „Parę temu tygodni śniło mi się, żeśmy we dwóch z Tobą chodzili po ukraińskich stepach przy najśliczniejszej pogodzie. Między mogiłami gdzieś napotkaliśmy młodziuchnego teorbanistę, może mego Zozulicza, który płakał i śpiewał, nie zważając wcale na nas. Mówiliśmy o nim. Ty prawicieś długo i rozumnie. Ocknąwszy się, pamiętałem coś treści, usiadłem zaraz do stolika i napisałem:

#### JA.

Czego od mogił chce bo ten poeta?  
Ciągle wybiega śnić tam pokryjomu.

#### ADAM.

Duch to ojcowski tak wabi Hamleta,  
Duch niewidomy, prócz niego, nikomu.  
O! gość z innego gdzieś świata do Jona  
Puka ustawnie, w objęcia upada.  
Gdzie się obróci, rozdłuża ramiona,  
Szepta mnie krzywdy swoje od pradziada.  
I myśl, guślarstwem i pomstą otchniona,  
O niczem innym na ziemi już nie śni;  
Musem tajemnym panuje wciąż woli,

<sup>1)</sup> Kor. Zal. I, 136, IV, 123; Kor. Mick. I, 209, 210.

Pod sercem jego miota się — o! boli,  
Aż sobie ulży jako tako w pieśni.

JA.

Jakby mu ulżyć? o! jeszcze inaczej!  
Już to go lada czem nikt nie uleczy!  
Czy niema rady gdzie w dumce kozaczej,  
Bo to jedyny naród do tych rzeczy!).

A więc pokazuje się, że Zaleski wiedział coś o smutkach Mickiewicza w Lozannie i chciał mu czułymi dumkami ukraińskimi poradzić. W fikcyjnym śnie zreprodukował to, o czem się do myślał z milczenia poety i półsłówkek z Sèvres — i kiedy Mickiewicz już o tem zapomniał, przywiódł mu na pamięć nić dawnych marzeń i do dalszej twórczości zachęcić próbował. Profesor lozański, zdumiony przenikliwością teorbanisty, odpowiada: „Ale, ale twój ów wiersz senny, dziwna to, dziwna i arcydziwna rzecz. Bo uważ, że ja kiedyś w auguście czy w septembrze (1839) napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszej — wyraźnie więc pierwszej a nie innej — części „Dziadów.“ Owoż rzecz taż sama: chłopiec tuła się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniej, bo śpi, a chórem nad nim nuca i piołuny siwe i lebioda i ślimaki etc. etc. Inspiracya mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułamek aż mnie nastraszył, tak jest ładny. Kto wie, czy ty teraz nas nie okradasz przez sen ze wszelkiej poezyi“<sup>1)</sup>). Jest to zapewne to samo Dziecię, przyzwyczajone do błąkania się po mogiłach i zdobienia krzyżów kwiatami i majem, któreśmy już spotkali u boku Starca, a którego charakterystyka została w zachowanym fragmencie pominięta, bo w innej scenie w „fantastyczny“ sposób dokonana została. Poeta nie potrzebował tej sceny w rozmowie Starca z Dziecięciem powtarzać i mógł się do niej bez szerszych objaśnień odwołać, bo już miał w rękopisie obrazek z „kilkudziesięciu wierszy,“ który bliżej jego zwyczaj tułania się wśród mogił tłómaczył.

W fragmencie Zaleskiego jest zreprodukowany prawdopodobnie stan pomysłu Mickiewicza do I Części *Dziadów*, pochodzący z Sèvres, kiedy poeta czuł się jeszcze silnym, ufał sobie bardzo

<sup>1)</sup> Kor. Zal. I, 162.

<sup>2)</sup> Kor. Mick. I, 210.



i ze zwierzeniami swemi nie krył się zbyt zazdrośnie, nie przeczuwając w Zaleskim możebnego antagonisty. W Lozannie ten stan wydawał mu się anachronizmem, bo właśnie po długim wypoczynku Zaleski w siły począł się wzmacniać, a jego ciężkie obowiązki życia przytłoczyły do ziemi. Jeśli można przypuścić, że poprzednio jeszcze niejasno zdlawał sobie sprawę z swego stanu duchowego — to teraz w niezmiennem echu tych wspomnień u Zaleskiego musiała go uderzyć ta różnica. Hypoteza wydaje się znów ryzykowną, a przecież trzeba będzie ją przyjąć, że Mickiewicz dopiero pod wpływem listu Zaleskiego siebie w postaci tego Starca sportretował. Z listów i poezyj wiemy, że poczucie „zestarczenia“ opanowało go wtedy istotnie. „Bardzom się zestarzał w duszy“ — pisze do Domejki, a równocześnie notuje w poezyi: „Już czuję starość.“ Ale żeby to uczucie w mocne przekonanie i w obiektywną kompozycję się skupiło — trzeba było jeszcze potrącenia zewnętrznego, a tego mu dostarczył Zaleski. Należy tylko porównać przesłany szkic z Fontainebleau z fragmentem lozańskim *Dziadów*, ażeby spostrzedz, że pomiędzy Zozuliczem a Starcem istnieje pewne psychologiczne pokrewieństwo. Obaj są nieuleczalnie chorzy, doznali ciężkich krzywd od ludzi, myślą nie bawia już na tym świecie i ściga ich „duch niewidomy prócz nich nikomu.“ „Twój ułamek mnie nastraszył, ty nas okradasz z wszelkiej poezyi“ — pisze Mickiewicz i zaczyna się bać o te skarby, które młody rozrzutnik w pierwszych latach pobytu w Paryżu rozszafaował. Pod tem wrażeniem otrząsa się nieco z swego letargu i próbuje tworzyć. List Zaleskiego przyszedł na urodziny — a w dwa tygodnie po tem Dziecię prowadząc Starca na mogiły, zauważyło:

.... pomnisz dwie temu niedziele  
 Zebralo się i krewnych i sąsiadów wiele  
 Urodziny twe święcić; tyś w milczeniu siedział.  
 Nic nie słyszał, nikomu nic nie odpowiedział.  
 Zapytales nakoniec, poco ta gromada  
 Zeszła się w dzień powszedni? i czy mrok już pada?  
 A my przyszli wieszować i od kilku godzin  
 Słońce zaszło — i był to dzień twoich urodzin.

Mickiewicz więc zaczyna już czerpać pobudki twórcze z potrąceń Zaleskiego i niewiele brakowało, aby go dopuścił do tajemnic swego serca i pokazał mu owe fragmenty *Dziadów*, na które niegdyś w Sévres tylko zdaleka patrzył. Stało się to w lipcu 1840 r. gdy Zaleski przybył do Lozanny, żeby biednego profesora

ra wyciągnąć na wycieczkę po Szwajcaryi. Jak wspominaliśmy, poeci zapędzili się wtedy aż pod Mont Blanc i Zaleski myślał na rok przyszyły wciągnąć do towarzystwa Goszczyńskiego, jako dobrego taternika, i zmusić Mickiewicza do dalszej pracy twórczej, projektując mu rodzaj „Sängerkriegu“ we trójkę na temat historyczny „sposobem serbskich rapsodów.“ O niektórych szczegółach tej uroczej włóczęgi opowiadał Zaleski w 33 lat potem X. Kalince<sup>1)</sup>. Mickiewicza tak rozruszała ta podróż, że w kilka tygodni wybrał się sam na nową wycieczkę w Oberland berneński i wrócił tak rzeźwy, że aż mu się na wiersze zbierało — jakto zresztą także mówiliśmy. Zdawało mu się, że za rok zabierze się wreszcie do dzieł większych. Zamierająca twórczość poety zajaśniała wtedy lekkuchnym płomykiem i zapewne niewiele się pomyliły, gdy powienny, że owocem tej podróży była ballada „*O zaklętym młodzieńcu*.“

Wchodzimy tu ponownie na to samo pole domysłów t. j. że Zaleski był pod pewnym względem współpracownikiem lozańkiego fragmentu *Dziadów*. Hypoteza znów wydaje się niespodzianą — przecież są wskazówki, że ją przyjąć należy. Mickiewicz w Lozannie zabawiał Zaleskiego opowiadaniem o Twardowskim i podobnie, jak Starzec z *Dziadów*, uczył go rozmaitych śpiewek o tej ulubionej oddawna postaci swej wyobraźni. W legendzie *Twardowski pod Bożą figurą* przytacza Zaleski „zwrotkę Mickiewiczowską:“

Jak się masz Twardowski? jak się ma dusza?  
Twardowski nie zważa i dalej rusza,  
Drum-drum! drum-drum! i dalej rusza,

Jest to powiastka na temat wyrzutów sumienia u Twardowskiego po sprzedaniu duszy Mefistofelesowi. W podróży zawadził on przypadkowo o Bożą Mękę i Chrystus Pan przemówił do niego, jak niegdyś do św. Franciszka z Asyżu. Twardowski tknięty niezwykłym zdarzeniem, chciał cyrograć u stóp Krzyża zakopać, ale na skrucę nie pozwoliła mu hardość szlachecka, ucieleśniona w postaci nagle zjawiającego się Boruty. Wierszyk jest lichy wykonany, ale odnosi się do peregrynacji Twardowskiego, jak ballada *O zaklętym młodzieńcu*; w przypiskach zaś czytamy objaśnienie: „Legendę tę napisał autor w Lozannie dla Mickiewicza,

<sup>1)</sup> Kor. Zal. V. 65.

który pamiętał z lat dzieciennych jedną — przytoczoną wyżej — zwrotkę z pieśni o Twardowskim, zasłyszanej między zaściankową szlachcią na Litwie. W reminiscencyę tę pośpiewywali długo obadwaj poeci — niekiedy z wariantami — ale ostatecznie według niniejszej wersyi.<sup>1)</sup> Przed zamierzonym więc „Sangerkriegem“ z Goszczyńskim — odbył się wcześniejszy pojedynek zaprzyjaźnionych mistrzów. „Pośpiewywali długo obadwaj poeci“ — mówi Zaleski; „tyle powtarzali razy“ — dodaje Mickiewicz — a pamiątką tego współzawodnictwa pozostała legenda Zaleskiego i nieskończenie piękniejsza ballada Mickiewicza, która zawarła ponowną skargę na brak natchnienia i decyzję, żeby już nazawsze skamienieć. Wycieczka w Oberland berneński uświadomiła tylko samokrytyczny zmysł Mickiewicza, że obiektywnie jak w zwierciadle swój przełom duchowy mógł określić i zamknąć pozyskaną naówczas świadomość w utwór allegoryczny, który pozostanie nazawsze zastanawiającem dopowiedzeniem tej sfinksowej postaci.

Przyjawszy w rachunek te dwa fakty, a mianowicie, że list powinszowalny Zaleskiego i wspólne zabawy na temat podań o Twardowskim miały pewien wpływ na ostateczne ukształtowanie fragmentu lozańskiego *Dziadów* — dochodzimy obecnie do przekonania, że to jest właściwie utwór allegoryczny i że jeżeli Starzec miał być obrazem Mickiewicza, to znów Dziecię, prowadzące go na mogiły przeszłości, było chyba figurą Zaleskiego. Allegorya ta jest, przynajmniej, za forsowną, może nawet chorobliwą — zwłaszcza gdy odczytamy „Kalinowy most“, w którym Zaleski upatrywał utwór „pour la bonne bouche“ dla Mickiewicza i siebie samego sportretował także, jako podstarzałego konkurenta<sup>2)</sup> — niemniej tak ją zapewne rozwiązać wypadnie. Allegoryę tę mógł nawet sam Zaleski nasunąć Mickiewiczowi drogą antytezy od swych urojeń, jeśli wogóle „Kalinowy Most“ poznał autor *Dziadów* przed wykończeniem swego fragmentu. W każdym razie w antytezie tej chciał Mickiewicz zaznaczyć swoje zestarzenie się i młodzieńczo rozkwitający talent Zaleskiego, który go radością przejmował; chciał zarazem pozostawić w niej pamiątkę czułych usiłowań lirnika ukraińskiego o rozbudzenie swej zdolności twórczej, a przytem uczynić z tej sceny rodzaj testamentu poetyckiego. Jest to pro prostu obrzęd pożegnania się Mic-

<sup>1)</sup> Poezye. Zaleski. Lwów, 1877. II. 128.

<sup>2)</sup> Kor. Zal. I. 160.

kiewiczza z poezją i błogosławieństwo dane Zaleskiemu, a z nim całej przyszłej poezji polskiej. Mickiewicz pragnął, żeby nowa poezya poszła w kierunku religijno-ludowym i w tym celu nauczył Zaleskiego ballady „O Zaklętym młodzieńcu“ i kazał mu ją obnosić po świecie, jak niegdyś Dudarzewi tryolety Zanowskie. Uczucie wdzięczności dla poczciwych służb lirnika ukraińskiego było jego ostatniem czułem wspomnieniem po dawnych niebotycznych wzlotach poetyckich i pod tem wrażeniem opuszczał Lozańę, żeby rozpocząć wykłady w Paryżu i wygłosić ostatnią swą improwizacyę z ślicznymi, ale niesprawiedliwymi morałami dla Słowackiego.

Wydzielenie sceny błogosławieństwa wnuka przez Starca z obrębą pierwotnych scen I Części *Dziadów* — uproszcza nam niesłuchanie krytykę reszty. Jeśli za miejsce napisania tej sceny przyjmujemy obecnie Lozańę — to dla dwu następnych wypadnie nam chyba Moskwa. Dowodów tak stanowczych, jak poprzednie, nie mamy — ale i te są lepsze, niż stara legenda o Kownie. Jak wspominaliśmy, reszta fragmentów, ogłoszonych w roku 1861, obejmuje tylko monolog Dziewicy i przygodę Strzelca — ale oba te fragmenty są ze sobą ściśle spojone i naturalnie powstały razem. Współczesność ich wynika z paralelnego traktowania treści i powiązania licznymi odnośnikami. Dziewica mówi:

Jest i musi bytż kędyś, choć na krańcach świata,  
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnie wzlata —

a Młodzieniec na to w zupełnie innej sytuacji odpowiada:

.... Zawsze mi się zdaje,  
Że ktoś lży moje widzi i słyszy westchnienia  
I wiecznie około mnie krąży nakształt cienia.

Pozostawałoby więc tylko oznaczyć, kiedy mógł Mickiewicz analogicznie do rozwoju swego talentu i zabarwienia swej uczuciowości te dwie postaci skreślić.

Podnosimy jeszcze raz, że co mówimy — to nie są wcale niewzruszone dowody, ale wskazówki wytyczne. Rozważając charakterystykę Dziewicy, powiedzielibyśmy, że jest postacią najbardziej zbliżoną do Aldony. Przyznaje się ona do nudzenia się światem rzeczywistym, lubi marzyć czule wieczorami jesiennymi i porównywać swe życie do marnej kropelki rosy, unoszonej przez wichry. Z pewnemi odmianami mówi to samo Aldona. Nie lubi ona także mdłej pospolitości, marzy wieczorami o minionem szczę-

ściu i tęskni za przeszłością, jak Dziewica do przyszłości. Określenie spleenu i delikatna czułośćkowość jest in wspólną. Ale to jeszcze byłby słaby dowód. Więcej powiada Gustaw w postaci Strzelca. Niewątpliwie Mickiewicz nadawał mu wtedy charakter „Freischütza“ — tymczasem wśród sonetów odeskich spotykamy dziwną powiastkę p. t. „Strzelec,“ której zrozumieć nie można, jeśli się nie przypuści, że Mickiewicz siebie samego w postaci fantastycznego strzelca w pewnym okresie czasu przedstawiać lubił.<sup>1)</sup> Najważniejsza jednak wskazówka co do daty tych fragmentów, mieściłaby się w t. z. „Pieśni strzelca.“ Zaczyna ona fragment 3-ci i niewątpliwie ułożoną została przed monologiem Dziewicy i dyalogiem Gustawa z Myśliwym Czarnym, bo to wynika z powiedzenia Gustawa, że właśnie tę pieśń upolował w lesie i myśli się nią popisywać przed towarzystwem. Jak wiadomo, pieśnią tą zajmował się Mickiewicz bardzo pilnie w Moskwie i użył pośrednictwa Malewskiego do wydobycia właściwej melodi z Wilna. Malewski zanadto popieszył się z przesłaniem niedosyć poprawnego tekstu i były stąd kwasy.<sup>2)</sup> Jeśli Mickiewicz dla nastroju pragnął mieć muzykę chóru, rozpoczynającego zjawienie się młodego Strzelca na scenie — to naturalnie, że fragment ten naówczas układał. Wszystkie więc poszlaki zdążają do tego, że sceny te zostały ułożone w Moskwie, po wydaniu „Sonetów“ a przed rozpoczęciem „Wallenroda.“ Może te poszlaki nie są zbyt mocne — w każdym razie z rozwojem twórczości u Mickiewicza się zgadzają i nawet z ubocznymi faktami pewną łączność wykazują. Odyniec mianowicie w liście do Chodźki z r. 1849 zapowiadał wydanie jakiejś I Części *Dziadów* w nowej edycji petersburskiej<sup>3)</sup> — i to zapewne będzie wspomnienie o wygotowaniu fragmentów, o których właśnie mówimy.

Że kiedyś istniały kowieńskie *Dziady* — temu nie przeczy my — tylko, niestety, zdaje się, ani kawałka z nich nie znamy. Zagięły one, jak nieczytelne notatki z Sèvres i fragment o Dziecięciu wśród kwiatów cmentarnych. Wiadomość o istnieniu kowieńskich *Dziadów* znajdujemy w ostatniem wydaniu zbiorowem „Pism,“ dokonaniem za życia poety, gdzie czytamy, że „poemat *Dziady*“ stanowi jedną nieprzerwaną całość. Pierwsza część jego, napisana jeszcze w Kownie, znajduje się w rękopisie u auto-

1) Sonet IX i Konarski w Pamiętn. Mick. II 151.

2) Koresp. Mick. III. 14. 16.

3) Kallenbach, Mickiewicz. I. 255 przyp.

ra; ale zapewne dopiero później na świat wyjdzie, a wtenczas i porządek całego poematu zmieniony będzie.“ Niestety to nie nastąpiło, a notatka ta — nie pochodząca nawet z pod pióra Mickiewicza — zrodziła tylko fałszywe przypuszczenie, że fragmenty, które nam się dostały w ręce, są właśnie temi zapowiedzianymi fragmentami. Jak się zdaje — to Mickiewicz dopiero pod wrażeniem tej zapowiedzi chciał po raz piąty zabrać się do I Cz. „Dziadów“ i zebrawszy rozpierchłe fragmenta z Kowna, Moskwy, Sèvres i Lozanny — próbował je w jakąś całość stopić. Tak prawdopodobnie powstał znany nam urywek, do którego jednak nie weszły wcale istniejące jeszcze naówczas fragmenty kowieńskie i sewrskie, a praca cała utknęła na połączeniu dwu scen moskiewskich z jedną lozańską.

JACEK KOSTKA.

# Poglądy na sztukę i krytykę Oskara Wilde'go.

Czytelnik mający dobrą pamięć, którego utrzymują *au courant* literatury współczesnej najlepsi jej znawcy—oczywiście sz. reporterzy piśm codziennych—uważa najpewniej O. Wilde'go za jednego z dobrze sobie znanych autorów. Niewątpliwie! Jakże o takim pi-sarzu można nie wiedzieć, nie znać jego twórczości; wszak wszystko temu sprzyjało. Bo to i powodzenie w świecie ogromne, i mi-łość kobiet najpiękniejszych — i pieniądze, wreszcie proces sensa-cyjny, skandal, który rozniósł imię O. Wilde'go po całej kuli ziem-skiej. Takich ludzi się zna, twórczość ich nie jest dla nikogo ta-jemnicą: zachwycają się nią komiwojażerowie wszelkiego gatunku, cytują niedbale na herbatkach literackich. Rzecz jest obejrzana ze wszystkich stron, zbadana gruntownie, w szczegółach zwłaszcza. Tak zna się u nas większość autorów współczesnych.

G. d'Annunzia np. z powodu Eleonory Duse, Nietzsche'go z powodu, iż odkrył „nadczłowieka“, Verlaine'a z tego, że jest „ojcem dekadentyzmu“, Zolę z powodu Dreyfusa i oczadzenia, Tołstoja stąd, że go wciąż ktoś odwiedza w „Jasnej Pola-nie“ i t. p...

Oficyalnie zna się wszystkich i dla tego ze spokojnem sumie-niem przechodzi się nad wszystkimi do porządku dziennego... Tak poznany u nas O. Wilde, wielki i nieszczęśliwy pisarz angielski, powrócił znowu niedawno na porządek dzienny, zacięka-wił ogół — miłośników szczegółów zwłaszcza — do paru lat życia swego, spędzonego w więzieniu, przemówił do niego wątpliwą wy-

mową ducha nadwreżonego, występującego publicznie w łachmanach dawnej wspaniałości swojej.<sup>1)</sup> Z tej okazji pozwalam sobie zwrócić uwagę na niektóre jego momenty, w których ujawniał się jak prawdziwy mocarz, w nieuszczerplonej niczem władzy i świetności swego wyjątkowego talentu twórczego.

Było dużo przepychu zewnętrznego, pomysłowości oryginalnej, niezależności i dumy twórczej w ogóle w dziełach Wilde'go, znać było jednak nieraz na tem wszystkim jakiś przymus i fanfaronadę, chęć pisania rzeczy nadzwyczajnych — do czego z resztą szczerze się przyznawał — zadziwiających. Prawdziwą swobodę twórczą, obok niezrównanego daru fantazyowania i wdzięku niewymuszonego, znajdujemy właściwie w jego dyalogach, poświęconych zagadnieniom sztuki i krytyki. Siła przekonania, bogata wiedza i logika niezłomna, owiane tu są czarem poezji przenikliwej, pnącej się wszędzie, jak bluszcz, w sposób nad wyraz zwinny, nieposzlakowanie artystyczny. Całkowitość natury artysty tu, być może, lepiej występuje, niż gdzieindziej. Powabna gra artystyczna nie jest tylko genialną mistyfikacją: poruszają ją sprężyny szczerości i gorącego uwielbienia sztuki. Paradoksy stanowią tu najczęściej punkt wyjścia dla ścisłych rozumowań, kieruje nimi jednostronność, paradoksy te jednak nie są bezpłodne, jednostronność zaś nie jest tępem przeczeniem.

Rozprawy prowadzone mogą niezupełnie przekonać kogoś, zawsze jednak wzbogacą pojmowanie czyjes, wysubtelnią wrażliwość, zwiększą polot myśli.

W dyalogu „Upadek kłamstwa“ rozwija Wilde swoją estetykę, której doktryny przewodnie dadzą się sprowadzić do następujących punktów:

1) Sztuka wyraża zawsze tylko siebie samą. Posiada ona, jak myśl, swoje życie niezależne i rozwija się jedynie w kierunkach własnych. Nie jest koniecznie realistyczną w epoce realizmu, ani spirytualistyczną w epoce wiary. Nie będąc wytworem epoki swojej jest ona w sprzeczności z nią, jedyną zaś historią, jaką uosabia, jest historia jej własnego postępu. Niekiedy powraca ona na swoje dawne ślady i wskrzesza jakąś formę antyczną, jak to zaszło w ruchu archaicznym ostatniej sztuki greckiej.

<sup>1)</sup> Tłómaczą teraz u nas „De Profundis“ O. Wilde'go, rzecz pisaną w czasie odbywania przez autora kary w więzieniu w Reading. Z dzieł Wilde'go mamy w przekładzie jego dramat „Salome“ i kilka nowelistycznych utworów — świeżo wydanych p. t. „Opowiadania.“



kiej i w ruchu prerafaelickim naszych czasów. Czasami wyprzedza stanowczo swój czas i stwarza dzieło, które przez następne wieki zostanie zrozumiane i odczute. W żadnym razie jednak nie wyobraża swego czasu. Sądzić na podstawie sztuki danej epoki o epoce samej, jest wielkim błędem, popełnianym przez wszystkich historyków.

2) Wszelka sztuka fałszywa pochodzi z powrotu do życia i do natury, jako też z wyniesienia ich do wysokości ideałów. Można zużytkowywać życie i naturę, jako materiały, wpierv jednak należy jedno i drugie przemienić w konwencje artystyczne. Sztuka zamiera, gdy przestaje być imaginacyjną. Realizm, jako metoda, jest zupełnie chybnym, artysta zaś winien unikać współczesności, zarówno w formie jak i w treści. Każdy wiek może dostarczyć nam odpowiedniego przedmiotu artystycznego, z wyjątkiem wieku, w którym żyjemy. Piękniemi rzeczami są jedynie te, które nas nie dotyczą.

3) Życie naśladuje sztukę o wiele więcej, niż sztuka życie. Wynika to nie tylko z instynktu naśladowniczego życia, lecz i z tego, że celem bezwiednym życia jest wyrażać siebie, sztuka zaś dostarcza mu właśnie pewnych form pięknych dla urzeczywistnienia tej energii. Wynika stąd, jako współzależnik, że natura widzialna naśladuje również sztukę.

Same herezye! — Wszystko tu przeczy mniemaniom ogólnie przyjętym, zdrowemu rozsądkowi, historii. Wszystko wzięte jest na odwrót. Sztuka nic i nikogo nie wyraża, tylko siebie samą... życie wzoruje się na sztuce, nie zaś przeciwnie... natura nawet naśladuje sztukę... Są to poglądy burzące radykalnie te pojęcia o sztuce, jakie istnieją oddawna w obiegu, których prawdziwość została stwierdzona długoletniemi doświadczeniami, badaniem, nauką. To chyba jakieś nieporozumienie, albo sen jakiś wzięty za prawdę, a może wprost wynik uporu, chorobliwe niezgadanie się z tem wszystkim, co raz na zawsze zdobyła praca rozumu ludzkiego dla użytku powszechnego.

Tak może nie jeden powiedzieć! A jednak w tem wszystkim jest coś więcej niż upór, niż branie rzeczy powszechnie przyjętych i sprawdzonych w sensie odwrotnym.

Jest to przedewszystkiem nieprzejednanie marzycielska chęć wyrwania sztuki z więzów ziemskich, czasowych, z pod władzy materji, faktu grubego, — chęć zapewnienia twórczości artystycznej swobody absolutnej. Możliwe jest to wówczas, gdy twórczość jest wyłącznie pracą imaginacyjną i przyjemną, poruszającą się w sferze nie-istniejącego, nie-rzeczywistego. Życie wciska się do

tej sfery, sztuka jednak nie traci swej niezależności, gdy imaginacja panuje nad surowym materiałem, dostarczonym przez życie, przerabia go po swojemu nie licząc się z rzeczywistością, a w ten sposób stwarza na nowo życie, wylewa je w formy nowe. Sztuka jest rodzajem przesady, emfazy, kłamstwa szczytnego; skoro tę władzę swoją utraci, gdy życie zapanuje nad imaginacją, przytłoczy ją swoim ciężarem, skrepuje i odbierze swobodę lotu, wówczas przestaje stwarzać, tylko naśladuje, kopiuje, odbija przedmioty widzianej natury. Gdy to zachodzi, gdy imaginację zastąpi naśladownictwo, wierne odbijanie rzeczywistości, sztuka upada, nie jest ona bowiem prawdą zwyczajną, powszednią, lecz pięknem złożonym. I dla tego to Wilde tak odsuwa od sztuki to wszystko co jest faktem rzeczywistości, wzorem, modelem zewnętrznym i dowodzi uporczywie że sztuka w sobie samej, nie zaś na zewnątrz znajduje własną doskonałość. Dla tego tak nieprzejednanym jest wrogiem realizmu, uprawniającego supremację faktu zewnętrznego nad imaginacją, która, by stwarzać piękno złożone, wymaga zupełnego niekrepowania się nim. Dla tego głosi, że piękno istotne powstaje w takich warunkach, kiedy wyobraźnia nasza jest wolna od wszelkich upodobań i uprzedzeń, kiedy jest nie związana z niczem rzeczywistym, bezstronna; wszystko, co jest dla nas użyteczne albo niezbędne, to co w jakikolwiek sposób nas obchodzi, wywołuje w nas żal bądź radość, zwraca się do naszych sympatyj albo ma jakieś znaczenie dla środowiska naszego, to wszystko jest po za dziedziną sztuki. Nie masz piękna gdzie indziej, jak tylko w tem, co nas nie dotyczy.

Z podobnymi poglądami spotkać się można nie tylko w fantazyach estetycznych poetów, lecz i w teoriach naukowych wielu filozofów sztuki. (U nas np. podobne poglądy rozwijał, przed paru laty w „Przeglądzie filozoficznym“ psycholog p. Abramowski). Nie są to teorie zupełne, aczkolwiek sporo w nich mieści się słusznych i trafnych uogólnień. Wilde doskonale sformułował niektóre, jednakże swoim nieprzejednanym poglądem na stosunek sztuki do życia nadał teorii swojej charakter zbyt jednostronny i fałszywy.

Błędem Wilde'go jest to, że jeden ze środków osiągnięcia piękna — uwolnienie się wyobraźni naszej ze wszelkich więzów rzeczywistości, z pod wpływów tego wszystkiego, co nas dotyczy — wziął za środek jedyny, że jeden rodzaj sztuki — niewątpliwie bardzo czysty i nieposzlakowany — wziął za sztukę całą. Pomieszał nadto Wilde dwie różne rzeczy: wierne odbijanie rzeczywistości, naśladownictwo niewolnicze życia z przenikaniem sztuki życiem.

Pierwsze bezwątpienia prowadzi sztukę do upadku, drugie natomiast stanowi o jej żywotności. Zresztą gdzie jest wyobraźnia taka, któraby była wolna od wszelkich uprzedzeń i upodobań, co nieodzywiałyby się skłonnościami i usposobieniami indywidualnymi twórcy? Najbujniejsze i najniezależniejsze wyobraźnie właśnie polegają na tych wszelkich „uprzedzeniach i upodobaniach,” na idyosynkrazyach indywidualnych. Bez nich obywać się może tylko wyobraźnia klasyczna, ta, która obraca się w sferze zimnych konwencji artystycznych, które są niczem innym, tylko doskonałymi preparatami anatomicznymi, gdzie krew żywa nie pulsuje wcale.

Preparaty takie, wzory—to jest coś najbardziej zewnętrznego; one to są plagą sztuki, ich kopiowanie kępuje sztukę, być może, stokroć gorzej i haniebniej, niż najgrubszy fakt rzeczywistości.

I od tego, co niezbędne, co jest użyteczne, niepodobna się wyzwolić wyobraźni twórczej. W tej lub innej postaci, w mniej lub więcej przekształconej formie „wszystko co nas dotyczy” towarzyszyć będzie najśmielszym i pozornie najbardziej oderwanym polotom wyobraźni, z tego choćby powodu, że sztuka, między innymi, jest pośrednim działaniem, pośrednim aktem życia i rozpoczyna się tam, gdzie ustaje akt bezpośredni, gdzie nie może się on odbyć, albo musi się odbyć inaczej, niż na to okoliczności życia samego pozwalają. Jest ona albo antycypacją życia, albo wspomnieniem o niem, albo jego powstrzymywaniem i zawieszeniem. Wszystko, co jest żalem i radością naszą, sympatyą bądź wstrętem, pragnieniem i utęsknieniem, słowem to, co w jakikolwiek bądź sposób nas obchodzi, wylewa się w sztuce z powodu powyższego jej charakteru. Zresztą pojęcie użyteczności, biologicznie rzeczy biorąc, tkwi w samym pięknie.

Pięknem jest to, co wzmaga siły nasze, wyzwala je i podnosi ton życiowości naszej. Jakże więc po za sztuką może stać to, co nas dotyczy, co jest z pożytkiem naszym, bądź ze szkodą co wznieca w nas życie, bądź je osłabia.

Rzecz jasna, że przez to, co „użyteczne i niezbędne” nie należy rozumieć przemijających wartości życia, tego wszystkiego, co jest jego pianką znikomą, co żywot ma jednodniowy, co jest wytworem chwili i jak śmiecie powinno być codzien wymiatane ze świątyni sztuki. Pod tą rubryką jednak znajdujemy również wszelkie wiekuiste wartości i przedmioty życia, to, co jest odwieczną jego osnową, siłą, instynktem niezniszczalnym, prawem niezłomnym i powszechnym. W tem wszystkim, co jest najrdzenniejszym ludzkim, co nie ulega niszczącym wpływom czasu i nie jest zale-

żne od miejsca, słowem w tem, co najgłębiej nas dotyczy i najwidoczniej obchodzi, winien tkwić duch artysty, powinna tem wszystkim przenikać się sztuka.

Jest ona uwielokrotnieniem życia, spotęgowanym jego wyrazem, nie może więc tracić na tem, gdy odbywa się zwrot ku niemu, do jego źródeł najczystszych, najobfitszych. I jeżeli np. sztuka, jak twierdzi sam O. Wilde, stwarzała rasę istot zupełnie nowych, o cierpieniach straszniejszych, niż wszelkie cierpienie ludzkie, o radości gwałtowniejszej, niż radość kochanka; jeśli stwarzała „istoty, co miały zapał Tytanów a spokój bogów,“ potworne i cudowne grzechy i cnoty, — jeśli posiada kwiaty i ptaki, jakich żaden las nie zna, a w jej władaniu są te wielkie arcywzory, których rzeczy istniejące są tylko kopiami zaledwie naszkicowanymi,—to właśnie dla tego, że była przeniknięta najistotniejszą treścią życia, że umiała chwytać najwyższe jego tony, dotrzeć do samych esencji bytu, skupić w jedno jego żywotność, połączyć siły działające oddzielnie, słowem — nieodwracać się od życia i jego źródeł lecz w ich głębinach przebywać.

Znienawidziwszy — i słusznie — płytki realizm, zaczepiony głównie o powierzchnię życia, zgarniający tam wszelkie wióry, wszelkie pyłki i znikomości, które wcale o życiu nie stanowią, doprowadza Wilde swoją zasadę odwracania się sztuki od życia do oczywistego absurdu, każąc jej unikać współczesności, która nas najbardziej dotyczy, a zatem nie może w sobie mieć nic pięknego. „Każdy wiek może dostarczyć nam odpowiedniego przedmiotu artystycznego, z wyjątkiem wieku, w którym żyjemy.“ To już jest zupełnie bezduszne, bezżyciowe pojmowanie arcyzmu i twórczości, zinne, wyłącznie dekoratywne rozumienie sztuki. Byle tylko nie wciągać w obręb sztuki tego, na co oczy nasze patrzą i co uszy słyszą, co jest współczesnością, a już wszystko będzie dobrze i zadania arcyzmu spełnione. Nic łatwiejszego; ale to, co się przeniesie i weźmie z innych wieków, z wyjątkiem swego, może być również powierzchowne, zewnętrznie przedstawione, ujęte w efekty znikome, zupełnie tak samo, jak w twórczości realistycznej, bezimaginacyjnej. A przy tem może tak blisko dotyczyć artysty, jak najbliższa współczesność. Pojęcie współczesności nie wyczerpuje się bowiem chwilą bieżącą. Ubiegłe wieki mogą być dla wielu dusz czemś im współczesnem, mogą ich jaknajbardziej dotyczyć. Wszystko zależy od duszy, od życia osobistego, jakie się tam wkłada. Można je tylko niewolniczo, realistycznie odbijać, kopiować wiernie na podstawie erudycyi, — i można również, odwołując się do nich, stwarzać życie na nowo, „formy rzeczywist-

sze od żywego człowieka.“ Ze współczesnością widzianą i słyszana tak samo można postępować. Imaginacya twórcza ma wszędzie dobre pole do popisów i ćwiczeń, zarówno na arenach dalekich nam, jak i blizkich, rzecz jasna, gdy chodzi jej nie o dekoracye i przybory efektowne, jaknajwięcej ładujące, lecz o stwarzanie życia na nowo, o przeistaczanie natury, całości zjawisk, stojących na zewnątrz człowieka, w organizm jaknajściślej z nim sprzęgnięty, przepojony jego cierpieniem, bądź rozkoszą, rozpłomieniony jego własnym ogniem. Dla tego rodzaju przeistoczeń nie istnieją współczesne i niewspółczesne nam epoki, granica pomiędzy nimi się zaciera, czas i przestrzeń — schodzą na plan drugi.

Na wyżynach swoich sztuka utożsamia się z życiem — i tu i tam akty prawdziwie twórcze, stwarzające nowe formy, zachodzą pod wpływem sił podobnych. Procesem życia, tak samo jak procesem tworzenia artystycznego, kieruje, zdaniem mojem, wyobraźnia, fikcyja, słowem emfaza jakaś, jakieś „kłamstwo“ szczytne. Bez udziału wyobraźni życie nie postępowałoby naprzód, nie zmieniałoby się — nie stawałoby się innem. Ewolucyja życia spoczywa na rozmaitych fikcyjach — hipotezach, przenośniach, przypuszczeniach.

Nasz stosunek do świata, do ludzi, do życia całego, wyraża się w fikcyjach, mniej lub więcej dobrze zbudowanych, z których jedne urzeczywistniają się, inne zaś nie. Względność naszego poznania nie pozwala nam obywać się bez pomocy wyobraźni; wiedzę naszą o wszechświecie musimy wciąż uzupełniać jej wynikami — domysłem, hipotezą, jakimś wyobrażeniem na w pół-fantastycznym, ryzykownem, które nieraz obraca się w niwecz, często jednak, przy sprzyjających warunkach, przyobleka się w kształty rzeczywistości.

Nasze postępowanie — dążenie do tych lub innych celów — zależy od tego wyobrażenia, jakie o samym sobie mamy, od tej fikcyi, którą o samych sobie wytworzymy. Wszystko to często jest niezgodne z tem, czem w istocie jesteśmy, nie odpowiadające naszym prawdziwym uzdolnieniom, wyolbrzymiające nas samych, albo uszczuplające, słowem będące jakimś kłamstwem o nas samych, emfazą i przesadą. Fikcyja zatem, w tym lub innym stopniu, kieruje naszymi krokami, daje w następstwie jakieś plusy bądź minusy. Można więc powiedzieć, że życie jest dziełem naszej wyobraźni, że stale, po to, by je odnowić, polepszyć, zmienić i posunąć naprzód, wyobrażamy je innem niż jest. Wyobrażając je, tem lub innem, stwarzamy je wciąż. Bez pierwiastku ryzyka, wyobraźni, nie tu więc, słowem, nie dokonywa się, tak samo zupełnie, jak

w sztuce. Życie jest również sztuką, a im więcej w niem wyobraźni, ryzyka, śmiałego domysłu i wyobrażenia, tem bardziej jest ono bujne, piękne i niezależne, tem mniej jest niewolniczo, trzymające się wiernie rzeczywistości. I nie może być inaczej, gdyż akty prawdziwie twórcze, zawsze i wszędzie od jednych i tych samych sił zależą. Nieuwzględnienie tej prawdy zasadniczej, prowadzi Wilde'go do wielu błędnych wywodów.

Nawpół prawdziwem jest twierdzenie, że „życie naśladowuje sztukę o wiele więcej, niż sztuka życie.“ Argumenty Wilde'go olśniewające, pozornie niezbite, wsparte nieoczekiwanemi, pełnemi powabu paradoksami, nie zawsze jednak dają się przyjąć bez zastrzeżeń.

„Schoppenhauer—powiada Wilde—zanalizował pesymizm, wynalazł go jednak Hamlet. Wszechświat stał się smutnym dla tego, że, niegdyś, jakaś maryonетка była melancholiczną...“ „Wiek XIX, taki jakim go znamy, jest bezwzględnie wynalazkiem Balzac'a“ i t. p.

Że literatura najczęściej wyprzedza życie, że znamy tego rodzaju wytwory—postaci i usposobienia—literackie, które oddziaływały na życie, lepiły zeń kształty realne, że my bardzo często podzielamy—kaprysy, fantazyje i wizye twórcze wielkich, a nawet małych artystów, gdyż to wszystko zależy od stopnia naszej kultury i rodzaju wyobraźni, — na to zupełna zgoda, są to zjawiska powszednie. Prawdą jest, że wielcy artyści stwarzają tego rodzaju typy, które życie, jak przedsiębiorczy wydawca, stara się kopiować, odtwarzać w formie popularnej. To prawda, że typy i postaci stworzone przez sztukę, doskonałą nieraz formy życia, że je pogłębiają, uduchowiają; odbywa się to jednak wówczas, gdy uczucia i myśli, jakimi są wypełnione, tkwią w życiu samem, w tym lub innym stopniu rozwoju i dojrzałości. Bez tego, oddziaływanie typów owych, byłoby bardzo znikome, czemś w rodzaju mody jednodniowej. Jeżeli wnoszą jakąś zmianę, jeżeli wywołują poważne zaburzenia w organizmie życia, to tylko dla tego, że uczyniły i uprzytomniły jakiś stan jego ukryty, jakiś proces życia samego, że są wcieleniem potężnem jego treści, sił niem poruszających. Najprzód to wszystko, siły owe, głęboka treść życia, podziałały na twórcę samego, następnie jego wytwory—oddziaływały na życie.

Działanie zatem sztuki na życie, wzorowanie się życia na sztuce, jest zjawiskiem wtórnem. Hamlet, jego usposobienia, jego dusza—istniał w człowieczeństwie w mnóstwie niedoskonałych stanów, przed Hamletem Szekspirowskim. Były siły pierwotne,

które go na świat wydały, on później, jako siła wtórna, zaczął działać na życie, stał się siłą nową, uzupełniającą poprzednie.

Najsłuszniejszym—z punktu widzenia idealizmu—jest to zdanie, iż rzeczy istnieją tylko przez to, że je widzimy, to zaś co widzimy i jak widzimy, zależy od sztuki, która na nas wpływa, gdyż widzi się prawdziwie rzecz jakąś wówczas, kiedy zrozumie się jej piękno. W ten sposób widzi się mgły np., nie dla tego, że one są, lecz dla tego, że poeci i malarze pokazali ludziom ich urok tajemniczy. Niewątpliwie! twórcą piękna, tym co wydobywa i określa piękno, jest artysta; ale rodzi się ono najpierw z życia, z życia samego artysty, jego wrażliwości, jego odczuć i przeżyć, bez których najpewniej nie miałyby widzenia piękna, daru wydobywania go z natury. Na niego więc najprzód działa życie pięknem swoim, on, następnie, już sztuką swoją oddziałuje na życie, na ludzi, zwraca ich uwagę na piękno, suggestyonuje im je.

Z początku tedy życie stworzyło piękno, jego wrażliwość wydobyła je z natury, później sztuka zaczęła je doskonalić i popularyzować. Dziś jeszcze mamy masy ludzi—mamy życie—którzy bez oddziaływania sztuki, gdyż pod jej wpływem nie stoją, patrzą z uwielbieniem na mgły, na zachód słońca najmonotonniejszy, wzruszają się widokami tego rodzaju, bo mają wrażliwość na piękno, bo odczuwają je głucho, bo stoi to w związku z najistotniejszymi sprawami ich życia.

Tylko na najwyższych szczeblach kultury, tam gdzie życie bezpośrednio nie rozpościera swych wpływów, gdzie istnieje sama kontemplacja bez działania, sztuka staje się wyłączną objawicielką piękna, ona jedynie oddziałuje swojemi czystymi wytworami, o ile mogą być czyste, nie zanurzone w głębi, w treści życia, jej wytwory.

Do najwspanialszych utworów prozą, jakie znam, należy dialog Wilde'go „Krytyka i sztuka.“ (Dialogi te zebrane są w tomie p. t. „Intencye“). Pomijając przepych słowa, jest to jedna z oryginalniejszych rozpraw o istocie i zadaniach krytyki, jakie w ogóle posiadamy. Bogactwo myśli zapładniających, świetność argumentacji, głęboki i wytworny, ujęty w karby entuzjazmu dla sztuki, łączą się tu z formą nieskazitelną, z wszelkimi przymiotami uroczej, rozmarzającej poezji.

Tak wyniosłe, z taką niezmaconą mocą i przekonaniem, z takim namaszczeniem spokojnem i gorącym zarazem, pisać mogą ci, co się wyzwolili z pod władzy ulud świata zewnętrznego, z przed których oczu nie schodzą te arcywzory bytu, które są źródłem piękna i utęsknieniem życia.

Nie jednego może zadziwić to, że estetyk oddający we wszystkim bezwzględne pierwszeństwo wyobraźni, z takim zapałem podnosi wartość krytyki, wogóle pierwiastku krytycznego w sprawach twórczości artystycznej. Okazuje się jednak, po prześledzeniu rozumowań Wilde'go, iż niema w tem sprzeczności z jego teorią sztuki, z jego poglądami na artyzm.

Nie dziwimy się wcale, że ten, który obawia się oddziaływania życia na sztukę, i nie chce dopuścić, by fale tego życia, wszelki jego chaos, żywioł gruby i bujny, by wszystko słowem, co jest tworzywem pierwotnem, nieprzerobionem, wdzierać się bezkarnie i swobodnie w dziedzinę twórczości, że estetyk taki utrzymuje, iż „bez zmysłu krytycznego, niema wcale tworzenia artystycznego, godnego tej nazwy.“ Delikatny zmysł wyboru, instykt selekcyi, subtelny takt pomijania, jest właśnie, podług Wilde'go, tą zdolnością krytyczną, bez której nic nie można stworzyć w sztuce. Wszelka piękna praca wyobraźni — utrzymuje dalej W.—jest świadomą i dojrzałe rozważoną. Żaden poeta, przynajmniej żaden wielki poeta, nie śpiewa z musu, dla tego, że powinien śpiewać. Wielki poeta śpiewa dla tego, że *chce* śpiewać. „Każdy wiek wytwarzający poezję, najodleglejszy bodaj, jest wiekiem sztucznym, dzieło zaś, które się nam wydaje najbardziej naturalnem, jakby prostym wytworem epoki, jest zawsze wynikiem najświadomszego wysiłku... Niema pięknej sztuki bez świadomości, świadomość zaś i zmysł krytyczny — stanowią jedno.“

Na zarzut, że wielkie poematy pierwszych wieków świata, poematy bezimienne, zbiorowe, wytworem są wyobraźni rasy raczej, niż wyobraźni jednostki, odpowie—przeciwnie, z chwilą gdy stały się poezją, gdy otrzymały formę piękną. Niema bowiem sztuki bez stylu, stylu bez jedności, ta zaś należy do jednostki.

Wszystkie epoki twórcze były, jego zdaniem, epokami krytycznemi. To zmysł krytyczny wynajduje formy nowe. Instyktowi krytycznemu zawdzięczamy wszelką szkołę nową, każdą formę nową, jaką sztuka znajduje już gotową dla siebie. Dość powiedzieć, że rozmaite formy sztuki, zrodzone zostały przez zmysł krytyczny grecki. Czysty zmysł twórczy nie stwarza nic nowego, on odtwarza: tworzenie dąży do powtarzania.

Tak wywyższywszy w ogóle udział pierwiastku krytycznego w procesach twórczych—i słusznie, podług mnie, za wiele bowiem przypisuje się bezwiedności tworzenia, do tego stopnia, że wszelkie naiwne głuptactwo narzucane jest często uwielbieniu, jako czysty produkt świętego natchnienia—przechodzi Wilde do rozwinięcia swojej teoryi krytyki literackiej, krytyki po za twórczością.



I znowu nieoczekiwanie, chociaż zgodnie z zasadniczym punktem wyjścia, stawia Wilde krytykę u szczytu twórczości. Trudniej jest bowiem mówić o jakiejś rzeczy, niż ją stworzyć. Podstawą działania jest brak wyobraźni, jest ono ostatnią ucieczką tych, co nie zdolni są marzyć. Gdy człowiek działa, jest maryonetką, nie zna kierunku ani natury bodźców, jest ograniczony przypadkiem; podczas gdy mówi, opisuje — jest poetą.

Krytyka jest prawdziwie twórczą w najwyższym znaczeniu tego słowa. Jest ona twórczą i niezależną. Krytyk zajmuje w obec dzieła sztuki, którem się interesuje takie same stanowisko, jak artysta w obec świata widzialnego kształtów i barw, albo świata niewidzialnego namiętności i myśli. Nie potrzebuje on dla doskonalenia swojej sztuki jakichś osobliwszych materyałów,—cokolwiekbyć może służyć dobrze jego celom. Krytyka jest sztuką twórczą, dla tego, że opracowuje *sui generis* surowy materyał i nadaje mu formę nową i uroczą zarazem. Czy można więc powiedzieć o poezyi? Krytyka jest twórczością w obrębie innej twórczości. Gdyż tak samo jak wielcy artyści, od Homera i Eschylosa do Szekspira i t. p., nie zwracali się, po przedmioty swoje, bezpośrednio do życia, lecz poszukiwali ich w mitologii, legendach i dawnych opowieściach, podobnież krytyk przetwarza materyały, które zostały przez innych oczyszczone, jakby na jego intencję, i którym została dodana forma imaginacyjna oraz barwa.

Krytyka w wyższym stylu, będąc czystą postacią wrażliwości osobistej, jest w swoim zakresie bardziej twórczą niż twórczość sama, mniej bowiem posiada stosunków z danym wzorem zewnętrznym, ma własną rację bytu i, jak twierdzili Grecy, cel własny dla siebie samej i przez się.

Krytyka taka jest opowiadaniem o duszy czyjejś. W swoich wyższych objawach, w postaci doskonałej, jest rdzennie subiektywną; stara się ujawnić swoją własną tajemnicę, nie zaś czyjąkolwiekbyć. Posługuje się sztuką nie po to, by wyrażać siebie, lecz po to, by się wzruszać. Zabawną wydaje się Wilde'mu próżność pisarzy i artystów naszych czasów, którzy wyobrażają sobie, że czynnością pierwiastkową krytyki jest gawędzić o ich dziełach przeciętnych. Pisać swoje wrażenia osobiste—oto jedyny cel krytyka. To dla niego zostały namalowane obrazy, napisane książki, wyrzeźbione marmury.

Krytyka, którą ma na względzie Wilde, traktuje dzieło sztuki, jako punkt wyjścia dla nowej twórczości. Zajmuje się ona nie tylko jakimś dziełem sztuki indywidualnem, lecz pięknem samem

i napełnia cudnymi rzeczami daną formę, którą artysta mógł pozostawić pustą i niezrozumiałą, albo zrozumiałą połowicznie.

Jedyną cechą charakteryzującą wszelką rzecz piękną, jest to, że można w nią wkładać lub widzieć w niej wszystko, czego się pragnie; stąd też piękno, które nadaje twórczości jej estetyczną i powszechną wartość, czyni, z kolei, z krytyka twórcę i szepcze mu o masie rzeczy, których nie miał na względzie ten, co wyrzeźbił statwę, lub namalował obraz. Krytyk-esteta odwraca się od utworów sztuki widocznej, nie pozostawiającej żadnej wątpliwości, od tych, co wyrażają jakąś jedną rzecz, a wypowiedziawszy ją, stają się pustymi i bezpłodnymi. On oddaje pierwszeństwo tym, które są poddane marzeniom; ich piękno imaginacyjne pozwala na wszelkiego rodzaju interpretacje, z których żadna nie jest ostatnią.

Krytyka więc, tak jak ją rozumie Wilde, jest niewyczerpanem źródłem wzruszeń estetycznych, nieskończonem marzycielstwem i rozkoszą w obliczu piękna tego rodzaju, co niewypowiada odrazu, albo wcale, swego najważniejszego słowa, swego sekretu, co jak kwiat osobliwy, technie wciąż jakimś subtelnym zapachem. Krytyka taka jest zupełnie niezależną sztuką, jest twórczością inprovizatorską, trzymającą się ściśle zmiennych i nieprzewidzianych kolei duszy, usposobień i humorów, samego krytyka.

Chociaż tego rodzaju czynność krytyczną uważa Wilde za najwyższą, jednakże nie zapoznaje innych, niższych podług niego, takich pomimo wszystko, które wiele powabnych rzeczy mają do zrobienia i powiedzenia. Krytyk, jeśli taką jest jego dobra wola, może przechodzić od wrażenia syntetycznego całości, które zawdzięcza dziełu sztuki, do analizy i interpretacji tegoż dzieła. Nie idzie jednak za tem, iżby zadaniem jego było zawsze tłómaczyć dzieło sztuki. Krytyk niewątpliwie będzie często tłómaczem, nie będzie wszakże traktował sztuki, jak Sfinksa mówiącego zagadkami, którego sekret błahy ktoś może odgadnąć i ujawnić; on go rozważać będzie jak bóstwo raczej, którego tajemnicę ma uczynić bardziej nieprzenikliwą, majestat zaś cudowniejszym jeszcze. Tłómaczem może być krytyk, najprzód jednak powinien powiększyć własną osobowość, gdyż to jest niezbędne do tłómaczenia osobowości artystycznych i innych; im bardziej jego własna wchodzi w interpretację, tem więcej ta ostatnia będzie zadawalającą, przekonującą, prawdziwą. Ażeby rozumieć innych, trzeba rozszerzać i wzbogacać własną osobowość. Sztuka wykwita z osobowości i jej tylko może być objawiona: ze spotkania się tych dwóch rzeczy rodzi się prawdziwa krytyka interpretująca, ta co niemniej daje niż odbiera, co zwraca tyleż, ile pożycza. Ostate-

cznie krytyka tego rodzaju pokaże nam dzieło sztuki zawsze w jakimś nowym stosunku z naszą epoką; przypomni nam, że wielkie dzieła sztuki są rzeczami żyjącymi, — nawet jedynymi rzeczami, które żyją! „Odczuje ona to tak głęboko, że w miarę, jak cywilizacja postępować będzie, a my stawać się będziemy coraz świetniej uorganizowani, umysły każdej epoki coraz mniej będą się interesowały życiem realnem i zaczną czerpać prawie wszystkie wrażenia swoje z tego, co nosi na sobie znamię sztuki. Gdyż życie jest bezkształtnem, a katastrofy jego dotyczą w ohydny sposób tych, którzy jaknajmniej są winni. Jest groza śmieszna w jego komedjach, a tragedye jego są grubemi farsami. Jest się nieubłagane zranionym gdy się do nich zbliżamy. Rzeczy zawsze trwają zbyt albo niedość długo.“

Tu dopiero rzeczy wyjaśniają się zupełnie, myśl Wilde'go występuje bez obsłonek. A więc, zarówno sztuka jak i krytyka, jak ją Wilde rozumie — mają służyć do jednego celu, do unikania życia, do odbijania się od jego brzegów zdradzieckich i jałowych, po to, by przebywać na morzu wiecznie świeżych, rozkosznych, niezawodnych i trwałych wzruszeń, które nie narażają duszy naszej na bankructwo. Życie bowiem, z punktu widzenia artystycznego, jest bankructwem, a przyczyną tego jest to, że nie możemy jednego i tegoż samego wzruszenia doznać dwa razy z równą ściśłością. Życie jest zwężone przez okoliczności, wymowa jego jest chaotyczna, pozbawiona tego zrównoważenia formy i ducha, co jedynie zaspokoić może usposobienie prawdziwie artystyczne i krytyczne.

Sprzedaje ono wszystko zbyt drogo, my zaś nabywamy najmizerniejsze jego sekrety za cenę potworną. Dla tego należy zawsze zwracać się do sztuki, gdyż ona tylko zabezpiecza nas przed nędznymi niebezpieczeństwami życia rzeczywistego, przez sztukę jedynie realizujemy własną doskonałość. Sztuka nas nigdy nie rani. Łzy wylewane w teatrze doskonale wyobrażają te wzruszenia urocze, które budzi w nas sztuka.

Płaczemy, ale nie jesteśmy zranieni, ogarnia nas smutek, jest on wszakże pozbawiony goryczy. Gdy znajdziemy prawdziwy sekret radości w oglądaniu życia tych, którzy nigdy nie istnieli, cóż nas wówczas mogą obchodzić te przyjemności, któremi życie nas kusí, albo te cierpienia jego, co starają się nas wzburzyć i oszpecić. Prawa życia ograniczają nasze siły emocjonalne, podobnie jak fizyczne, pod względem energii i rozciągłości. Można czuć tyle — ale nie więcej. Otóż sztuka zwraca nam możność nieskończonego czucia i wzruszenia się. Życie pozba-

wia nas wszystkiego — wierzeń, namiętności, oszukuje nas wciąż widmami swemi, jak pokazywacz marjonetek; sztuka przeciwnie, wszystko nam zwraca — niema takiego stanu duszy, takiej namiętności, której niemogłaby nam dać. A wszystko tu jest cudowne, bezinteresowne. Za sprawą sztuki mogą nienawidzić okrutnie kogoś, co mi nic złego nie zrobił, uwielbiać tego, kogo nigdy nie zobaczę. „Rozpacz obca zamieszka w nas, a nędza czyjaś zacznie toczyć nasze serce.“ „Usta martwe przynoszą nam wieści, a serca w proch rozsypane udzielają nam swojej radości.“

Niema, słowem, rozkoszy, której niemoglibyśmy doznać dzięki sztuce. Dopomaga w tem zarówno wyobraźnia, jak i zmysł krytyczny, dwa nieodzowne czynniki sztuki wielkiej. Zmysł krytyczny doskonali naszą kulturę, bez niego niema ciekawości bezinteresownej, która jest korzeniem i kwiatem prawdziwym życia intelektualnego. Życie kontemplacyjne, którego celem nie jest działać lecz bytować — zawdzięczamy zmysłowi krytycznemu. „W ten sposób istnieją bogowie, którzy albo rozważają swoją doskonałość, jak twierdzi Arystoteles, albo, podług wyobraźni Epikura, przyglądają się oczyma pogodnemi widzów tej tragi-komedyi świata, którą stworzyli.“ Możemy żyć, jak oni. Możemy siebie uduchować, oddzielając się od działania i stać się doskonałymi, odrzucając wszelką energię.

Nieuznając tej tożsamości życia i sztuki, na jaką zwracałem wyżej uwagę, podlega Wilde wielkiemu złudzeniu. Zdaje się mu więc, że celem sztuki, jest wywoływać wzruszenie dla wzruszenia; że przyjdzie czas, w którym coraz mniej będziemy interesowali się życiem realnem i wszystkie wrażenia swoje zaczniemy czerpać z tego wyłącznie, co jest urobione przez sztukę. Prawdą jest niezaprzeczoną, że sztuka realizuje pełniej i doskonałej wszelkie postaci życia, niż życie samo — stąd też wyzwalający jej charakter, stąd urok, jaki wywiera na ludzi, którzy na twórczość patrzą, jako na czynność wydobywającą ich z więzów wszelkiego rodzaju ograniczeń i niedoskonałości ziemskich, jakim podlegają. W niej, w jej obrębie, urzeczywistniamy pełnię naszych aspiracyj, zaspakajamy najdokuczliwsze tęsknoty, najszczytniejsze marzenia. Ale to właśnie nie pozwala nam traktować sztuki jako dostarczycielki wzruszeń dla samych wzruszeń, — nie dzielimy ich dla nich samych, lecz dla tego, że odczuwamy ich związek nierozzerwalny z życiem — z naszym życiem, bardzo często. Hamlet albo Kordelia, Faust albo Ifigenia, nie są to postaci, których nie znaleźmy wcale, co jednak obudzają w nas

te lub inne wzruszenia. Przeciwnie, są to postaci, które oglądaliśmy w życiu w tej lub innej odmianie, w załączku bodaj jakimś, postaci związane z nami tysiącem wspólnych uczuć, chęci i myśli — i dla tego właśnie wzruszające nas, zwłaszcza gdy występują przed nami w pełni i doskonałości, której nie oglądaliśmy, być może, którą wszakże przeczuwaliśmy i oglądać pragnęli. My w nich widzimy samych siebie, albo to lub inne życie, jego zawody i tragizmy, rozpacz i wspaniałość. W nich widzimy przedłużenie naszych własnych czynności życiowych, tam one dochodzą do szczytu swego i odbywają się swobodnie, bez ulegania ograniczeniom doczesnym. Wzruszenia więc nasze, jakie im zawdzięczamy, są uwarunkowane życiem, nie są bierną kontemplacją, lecz dalszym ciągiem działania. Są to niewątpliwie symulacje, manewry, projekty, zawsze jednak tkwi w tem coś dynamicznego, jakiś ruch duszy zainteresowanej do życia, jego wspomnień bądź przyszłości, jakaś chęć wznoszenia nowych jego konstrukcyj, przebudowywania, a choćby zwyczajnego zrozumienia.

Złudzeniem jest również, że mogą być epoki, w których ludzie wszelkie wrażenia swoje czerpać będą od przedmiotów stworzonych przez sztukę. Złudzenie to wielkie, gdyż urok życia, nawet przy jego całej niedoskonałości i zdradach, nierównie jest potężniejszy i pierwotniejszy niż urok sztuki, która jest emanacją życia. Nie mówiąc już o tem, że do czerpania wrażeń z tych lub z owych źródeł sztuki, skłaniają nas popędy życia, jego sprawy i ideały, nie ulega zaprzeczeniu, że nawet ci, co się najbardziej upajają wymową sztuki, jeżeli nie zawsze, to przynajmniej w zasadniczych momentach życia, oddaliby wszelkie uroki sztuki, za jeden urok życia samego. Piękną i czarującą jest „rozpacz obca,“ co za sprawą sztuki w nas zamieszka, bądź ta radość, której udzielają nam „serca w proch rozsypane,“ — piękniejsza wszakże i czarowniejsza jest rozpacz własna, którą życie w nas wywoła, ta radość, bądź smutek, czy nienawiść, których nam udzielają serca żyjące. Z tych uczuć bezpośrednio w nas przez życie złożonych, nie zaś pośrednio za sprawą sztuki, — rodzi się sztuka sama, one są same sztuką, wydobywają piękno, określają — stwarzają.

Wyobraźmy sobie zresztą człowieka, tak świetnie uorganizowanego, któryby z nikądinąd nie czerpał wrażeń swoich, tylko ze źródeł sztuki. Najpewniej taki człowiek, o ile byłby możliwy z innych względów, nie wiedziałby co ma przed sobą, obojętnie, automatycznie przewracałby karty wspaniałej i wymownej księgi sztuki, nie wiedziałby do czego ma się zwracać, co pominać, a na

czem się zatrzymać, nie odczuwałby różnic, wogóle wcaleby się nie wzruszał, gdyż cenę wzruszeń, dostarczanych nam przez sztukę zna się wówczas, gdy się przejdzie przez wzruszenia życia bezpośredniego. Bez nich nie ma się miary, nie ma się w sobie tych usposobień, tych nastrojów, odczuć i stanów duszy wogóle, które umożliwiają zrozumienie, ocenę wzruszeń idących od sztuki, co zmuszają nas wprost do poszukiwania tego źródła wzruszeń. Przywiązujemy się do nich, wyróżniamy je i obdarzamy piętnem nieśmiertelności, dla tego, że czujemy po za niemi tętno życia samego, bijący strumień tego wszystkiego, co przez nas przepływa, co jest naszym upragnieniem i tęsknotą, zawodem i rozczarowaniem, hartem i otuchą. Życie uczuć np., chociaż jest zgiełkliwe i pogmatwane częstokroć, krzywdzące nas i oszpecające, chociaż nie ma tu tego zharmonizowania formy z treścią, które jedynie zadowolić może umysły artystyczne i krytyczne zarazem; ileż jednak prawdziwie twórczego, nieoczekiwanego i fantastycznego, otwierającego nam nieskończone perspektywy, dostarczyć może jednostkom ludzkim, nieraz jaknajmniej artystycznym i krytycznym. W tej dziedzinie sztuka i życie spotykają się ze sobą — lecz częściej życie przeważa sztukę. Chociaż wiemy nieraz, gdyż doświadczenie nas przekonało, że tu rzeczy trwają albo zbyt długo albo za krótko, że tu się rany śmiertelne odbiera, a niebezpieczeństwo zewsząd grozi, jednakże każdy sięgnie najpierw po to niedostateczne uczucie, które mu życie daje, a później rozmarzać się będzie temi, co są sztuki wytworem.

Każdy najpierw będzie chciał działać, doświadczyć, bodaj najdrożej zapłacić za jedną chwilę krótkotrwałą uczucia; później, z tych lub innych powodów, bogaty w zawody i rozczarowania, w rozkosze i tęsknoty, zacznie kontemplować, traktować rzeczy przeżyte, subtelnym i uzupełniającym braki życia bezpośredniego zmysłem krytyczno-artystycznym.

Czar życia jest fatalny, konieczny, gdyż w instynktach najpotężniejszych gruntujący, sztuki zaś — dodatkowe, będący wynikiem kultury.

Przeciwstawienie sztuki życiu, teoretycznie rzeczy biorąc, jak to czyni Wilde, nie da się zadawałajaco obronić. Jako fakt poszczególny natomiast, jako zjawisko znamienne dla pewnych indywidualności, ma sporo uzasadnienia w ich życiu wewnętrznym, jest w zgodzie z rzeczywistością. Ktoś, co znał O. Wildego, opowiada o nim fakt tego rodzaju. Podczas obiadu, wydane go na jego cześć przez pewną rodzinę angielską, zamieszkałą w Paryżu, szereg ekscentryczności rozmaitych, ktoromi zadziwił

obecnych, zaczął Wilde od tego, że poprosił o zamknięcie okien i zapalenie świec, czuł się bowiem niezdolnym do zniesienia światła dziennego. Fakt drobny—doskonale jednak charakteryzujący nie tylko wrażliwość normalną człowieka, lecz i wrażliwość artysty.

Nie znosił Wilde, jako artysta, światła dziennego, nie znosił tego, co się wytwarzało w słońcu rzeczywistości, co było życiem naturalnem, bezpośredniem i surowem, a lubował się natomiast w takim, które było odpowiednio oświetlone i udekorowane, oczyszczone z wszelkiej pierwotności zmysłowej. Nie znosił twórczości naturalistycznej, tej, co odziera istnienie z tych kilku niezbędnych łachmanów, co ją jeszcze przykrywają, i pokazuje brudne i cuchnące rany życia. „Vicomte de Bragelonne“ A. Dumas'a (ojca) — zaliczał tę powieść do arcydzieł, na równi z „Salambo“ Flaubert'a — lepiej odpowiadał jego upodobaniom literackim, niż utwory G. de Maupassant'a np. Sztuką analityczną przejmował się jaknajmniej, wychodząc z założenia, że im więcej analizuje się ludzi, tembardziej znikają powody do ich analizowania. Wcześniej bowiem lub później dochodzi się do tej strasznej i powszechnej rzeczy, jaką jest — natura ludzka.

Odwracał się plecami do życia i do epoki swojej, od tego wszystkiego, co nas z bliska dotyczy — i w tem nie mógł dojrzeć piękna — wrażliwość jego bowiem artystyczna, obawiała się być wstrząśniętą wybuchami życia bezpośredniego, chaosem i zgiełkiem bolesnym, dysharmonią i nielogicznością, czem wyładowane jest życie. Tak go to wszystko raniło i źle usposobiało, jak światło dzienne raziło wzrok i odbierało pogodny nastrój duszy. Nie znosił, jako artysta, panowania życia nad sobą, czuł się dobrze dopiero wówczas, gdy sam nad niem panował, gdy je stwarzał na nowo.

Nie tworzył całą wrażliwością swoją, skombinowanemi siłami twórczemi — zmysłów, uczuć i intelektu, lecz jedną tylko najczystsza władzą ducha — intelektem samym, tym właśnie zmysłem krytycznym, bez którego, jak twierdził, nie może istnieć prawdziwie wielka twórczość.

Należał skutkiem tego do najbardziej kulturalnego typu artystów, do tych, którymi żywioły nie miotają na wszystkie strony, co nie reagują namiętnie i hałaśliwie na podrażnienia świata zewnętrznego, co umieją, jak bogowie, podziwiać własną doskonałość i, jak oni, spoglądać wzrokiem pogodnym na tragi-komedję świata, roztaczającą się przed nimi. Na tym jednakże, tak wysoce kulturalnym, typie twórczym widnieje fatalne piętno braku żywotności, osłabienia wogóle władzy twórczej.

Sztuka powstaje albo z nadmiaru życia, z jego bujności, która lubując się w swej mocy, sprawia sobie rozkoszne widowisko, odbija siebie w mnóstwie obrazów, wciela swoje dążności, pragnienia, zamiary czynne — w szereg postaci i kształtów bezpośrednio z życiem związanych; albo z osłabienia żywotności, z niezdolności do życia, z niechęci do czynu.

W pierwszym wypadku jest ona, pomimo wszystko, jeszcze działaniem, pośredniem wprawdzie, zawsze jednak przedłużającym akt prosty życia, rozwijającym jego treść i stwierdzającym jego wolę do trwania i postępowania naprzód; w drugim natomiast jest — kontemplacją, wyniesieniem się po za sferę życia bezpośredniego, najwyższą często świadomością jego, świadomością wszakże bezpłodną, która schodzi bezpotomnie, niszcząc w sobie, w celu jaknajdłuższego zachowania swego piękna, swojej harmonii wspaniałej, te zarodki twórcze, które w niej samorzutnie powstają. Nie jest to sztuka samorzutna, naturalna, lecz sztuka wymuszona, utrzymywana wysiłkiem świadomym, entuzjazmem fantastycznym i rozpaczliwym zarazem, wytwarzająca boleśnie te dary artystycznego tworzenia, które tamta posiada w stanie gotowym.

To, co stwarza sztuka tego rodzaju, odwołuje się przede wszystkim do władz kontemplacyjnych, raczej do intelektu niż do uczuć; jest przedmiotem rozwagi głębokiej i rozmyślań, nie zaś zachwyty bezpośredniego i odczucia namiętnego. A jeżeli działa na zmysły, na czucie nasze, to nie tyle istotą życia, jego procesami ścisłymi, ile łudzącą świetnością dekoracji jego i doskonałą rytmicznością aktów zewnętrznych. Tu wszystko posiada nieskazitelną czystość linii, szlachetność posagową układu i harmonię przedustawną ruchów, nie tętni w tem jednak krew żywa, nie burzy się i nie pieni fala życia oczywistego. Są to złudzenia, widma rozwiewne, akcesorya i dekoracje ukazujące rzeczy nieistniejące, które giną i zapadają się w otchłań z końcem widowiska. Taką też była i sztuka O. Wilde'go. On sam mniemał o sobie, iż jest marzycielem, który natrafia na swoją drogę tylko przy świetle księżyca i, za karę, spostrzega jutrznię wcześniej niż inni ludzie; w istocie jednak był tym marzycielem, co w dzień biały wędrował przy świetle księżyca, które wciąż wytwarzał uporczywym wysiłkiem ducha rozmarzonego, — zmierzch zaś brał — za jutrznię...



## ○ pomorskich podaniach dziejowych.

W zalewie niemieckim utonęły ogromne obszary ziem lechicko-polskich. Tam, gdzie jeszcze nie tak zbyt dawno tętniło pełne życie słowiańskie, odzywają się już tylko z głębi wód głosem swojskim żałośnie zatopione dzwony, wzruszające serca nasze wspomnieniem dawnej sławy i szczęścia, świetności i niepodległości ludów plemienia naszego. Tragedya dziejowa: zabijanie ludów, rozpoczęte w zaraniu wieków średnich, a właściwie jeszcze wcześniej, trwa w pełnej, strasznej srogości do dni dzisiejszych na hańbę ludzkości całej. Gdy na olbrzymiem cmentarzysku lechicko-polskiem rozkopujemy zapadłe groby, dostrzegamy, niby pokłady geologiczne, różne warstwy germanizacyi wedle okresów czasu. W najstarszych warstwach wszystko zmurzało a znajdują się tylko jeszcze małe cząstki skamieniałości pierwotnych nazw ziemiopisnych słowiańskich—w późniejszych przechowało się więcej skamieniałości, prócz nazw, szczątki dawnych wierzeń, rodzimych zwyczajów i obyczajów, jako też stare podania. Pozostałości te tworzą dziś dla nas jedyną drogą spuścizną po przodkach, zabójczą ręką wroga dziedzicznego wytępionych.

U nas, niestety, mało zrozumienia i miłości dla zabytków własnej duchowości plemiennie-ludowej, zwłaszcza na ziemiach, które jak Pomorze i Szlązk w zaraniu dziejowem wyłączono z obrębu państwa polskiego lub które, jak Prusy Wschodnie, część Brandenburgii i ziemie t. zw. „Słowian połabskich“ z Polską dziejową nie tworzyły jednostki politycznej.

Piśmiennictwo nasze na polu badań tego rodzaju ubogie. Nasze zakłady naukowe, przedewszystkiem do tego powołane, nie spełniają pod tym względem swego obowiązku w zupełności, pozostawiając po największej części wydobywanie skarbów z emen-

tarzyska dziejowego ofiarności nielicznych osób dobrej woli a głębszego pojmowania rzeczy.

Materyał co do nazw miejscowych i ludopisny w szczególne słowa znaczeniu ogromny, trzeba tylko sięgnąć po niego.

Wedle sił swoich starałem się pracować w tym kierunku. Na Pomorze i wyspy: Rujnę, Uznam i Wolin przedsiębrałem trzykrotnie podróże. Zebrałem pewną liczbę podań pomorskich, posiadających wybitne cechy lechicko-polskie. Spoczywają one, niestety, w większej części zawsze jeszcze w przechowku zbieracza swego. Nie mogłem znaleźć nakładcy. Tylko niektóre ułamki mego zbioru ujrzały światło dzienne w kilku czasopismach.

Zaznaczyć mi należy, iż byłem zniewolony czerpać w większej części z niemieckich źródeł książkowych. Nasze źródła o Pomorzu i Kaszubach bardzo skąpe: dr. Nadmorski-Łęgowski, Alfons Parczewski, ks. Pobłocki, Stefan Ramułt, dr. Cenowa, Berka, dr. Biskupski, Hieronim Derdowski, Gołębiowski — to prawie wszystko.

Rozumie się samo przez się, że ustne opowiadania były mi najpożądanejsze. W zbiorze moim znajdują się też podania spisane podług opowiadań: Piotra Miotka w Lęborku, Antoniego Kleby w Smolnej—obydwaj rodowici Kaszubi,—następnie Hausa Komerowa z Zagardzie (Sagard) i Martina Jagowa w Gorzynie (Gökren), zniemczonych chłopów rujniańskich.

W niemieckich źródłach książkowych znalazłem dorobek naukowy na tem polu ogromny.

Z okoliczności, że Niemcy nierównie więcej i gorliwiej zajmowali się zbieraniem podań pomorskich, niż my i Słowianie w ogóle; mniej zaś jeszcze z uroszczenia niżem nieuzasadnionego, z jakim Niemcy przywłaszczają sobie nie tylko podania, lecz całą duchową spuściznę po przodkach naszych, tak samo, jak zagarnęli ich ziemię i mienie — z tego nie może wynikać żadną miarą, ażeby podania, noszące tak znaczne cechy lechicko-polskie, przywiązane do prastarych naszych siedzib, przebłykujące dawnymi naszymi wierzeniami pogańskimi, odnoszące się do najstarszych dziejowych okresów ziem pomorskich, kiedy germanizacya nie była jeszcze poczyniła na nich spustoszeń, a życie narodowe tętniło w całej pełni—żeby takie podania mogły tworzyć duchową własność ludowości niemieckiej, dlatego, że je wyczytujemy z kronik i książek niemieckich, lub na ementarzysku lechicko-polskiem styszemy teraz opowiadane po niemiecku.

Podania, bajek, gadek, przysłów mnóstwo na ziemiach pomorskich. Całość ich tworzy odrębny świat duchowy, pełen burw

tęczowych i czaru, gwarny i rojny istotami nadziemskimi, a tchnący urokiem pierwotnej własnej kultury, zniszczonej wraz z bytem narodowym ludu przez wrogów. Prawie wyliczyć niepodobna wszystkich istot świata nadzmysłowego — owych zaklętych księżniczek i dziewic przesłicznej urody, pokutujących rycerzy i wojewodów na grodziszczach w ziemię zapadłych, śpiących wraz z wojskiem królów w gór wewnątrz, stołomów-olbrzymów, dzikich strzelców i czarnych łowców, wodników, ziemników, południc i białych niewiast, smętków i zmor, przygniatających we śnie piersi ludzkie, krosniat i puków, duchów domowych, czartów i półczartów, upiorów, czarownic, wilkołaków, smoków, ludzi bez głowy, rozmaitych pokutników, kobolcikow i rusałek, błędnych ogników i boginek. Któż zliczy te wszystkie istoty przebywające w wnętrzu gór, w skalnych wydrążeniach, w zapadłych zankach i starych wałach grodowych, latających w powietrzu, ukrytych w jeziorach, rzekach i ruczajach, na łysych górach sejmikujących, zespolonych z drzewami, siedlących się w moczarach, okrążających niewidzialnie ludzkie domowe ogniska, napełniających sobą tonie wód, przestwory powietrza i głębie podziemi.

Podania pomorskie, w których żyją wszystkie te istoty czarodziejskie, okrucy wiary w starych bogów słowiańskich, odznaczają się w ogóle grą najbujniejszej wyobraźni i ogromną pomysłowością. Cechuje je w ogóle bystrość duchowa, jędrność i prostota, a często cięty dowcip. Niektóre podania dziejowe posiadają nastrój epiczny. Większość ich przywiązana jest do miejscowości. Okoliczność ta zniewoliła mnie do odgrzebywania pierwotnych słowiańskich nazw miejscowych z kodeksów dyplomatycznych, kronik i innych źródeł. Czerpiąc bowiem przy zbieraniu podań w znacznej części z konieczności ze źródeł niemieckich, nie chciałem używać nazw miejscowych, niemieckich, szkaradnie poprzekręcanych z nazw pierwotnych. Tym sposobem przy zbiorze podań powstał zbiorek polskich nazw miejscowych, który, uzupełniony i uporządkowany, zasługiwałby może na uwzględnienie.

Podania pomorskie dziejowe, o których mówić zamierzam, tworzą zaledwo dziesiątą część mego ogólnego zbioru, który znowu mieści w sobie zaledwo trzecią część tego, coby jeszcze zebrać można. Szkoda byłaby wielka, gdyby skarb podań pomorskich, przywłaszczany sobie przez Niemców, miał przepaść dla nas, tak jak ludność zniemczona tych ziem. Rozumie się samo przez się, że pod wpływem niemczyzny znajdzie się na łanie zbożowym podań, szczególnie w zbiorach niemieckich, tu i owdzie kąkol obcy, który jednak nawet mało wprawne oko łatwo dostrzeże i odróżni.

Podania bowiem pomorskie, te, które są nasze, są tak odróżniające się jednolitością wybitnie znamiennej i odrębną, iż wątpliwość o ich pochodzeniu zachodzić nie może, tem bardziej, iż prawie do każdego z nich da się znaleźć analogia na jakiej innej ziemi słowiańskiej.

Oto mały przykład: na ziemi goryckiej w dolinie rzeki Idryi, u Słoweńców tak samo drwinkują sąsiedzi z mieszkańców wsi Szebrelje, jak na Pomorzu w okolicy wsi Canowa lub Daszkowa sąsiedzi kpią sobie z Canowian i Daszkowian, opowiadając o nich niestworzone rzeczy, albo jak w Galicyi okolica cała wysmiewa „głupich“ mieszkańców Wilamowic. Zarówno Szebreljanie jak Daszkowianie i jak Wilamowiczanie łowią odbłask księżyca, wzięty za krąg sera z głębi wody, a tak samo Daszkowianie, Szebreljanie jako też Wilamowiczanie przesuwają kościół zbudowany na miejscu niewłaściwym na swoich podścielonych kapotach, ułatwiając sobie tym sposobem przesówkę.

Podobnych analogij można przytoczyć mnóstwo, nie tylko z dziedziny podań, lecz także co do wierzeń i przesądów, zwyczajów i obyczajów, a nawet stroju ludowego.

Zgrai przybyszów niemieckich, ściąganej z rozmaitych stron i krajów dla osiedlania na ziemiach słowiańskich, nie stać na taką twórczość, zupełnie obcą ich istocie. Przybysze ci mogli co najwięcej to i owo podanie nasze stare wykrzywić lub zeszpecić jakim swoim dodatkiem. Ich plewę atoli można łatwo odróżnić od naszego pełnego ziarna.

Podania pochodzenia niemieckiego są znamienne w swoim rodzaju.

Posłuchajmy np. podanie niemieckie o wyspie Uznojmie. Przycaczam je dosłownie podług ojca Knoopa. Opiewa ono: Na wyspie Wolinie panował książę germański, który postanowił zdobyć wyspę Uznojm nazywającą się po niemiecku Usedom. Wtedy nie miała ona tej nazwy. Gdy ów książę podbił ją i następnie mieszkańcom jej ofiarował korzystny pokój, ci zaś przyjąc go mimo to nie chcieli, zawołał książę: „*O, so dummi!*“ („Tacy głupi!“) z czego przezwano ich „*Osodummer*“ a następnie wyspę *Usedom*.

Inne podanie niemieckie dowodzi niemieckości nazwy miejscowej *Dolgrimost* w następujący sposób: W okolicy Dolgrimostu przebywali zbójniki. Książę Jaromar I wytępił ich, mszcząc przy tem całą okolicę. Ludziska mawiali potem: „*Ach, wie toll gehaust!*“ („Ach, jak wściekle gospodarował!“) i z tego *tollgehaust* powstał—*Dolgrimost*, chociaż podanie nieogłędnie mówi przed „wściekłą go-

spodarką“ o „okolicy Dolgimostu,“ który poprostu jest sobie Długim Mostem.

Albo podanie o mieście *Podbus*, która to nazwa miejscowa ma znaczyć tyle co: „*unter (dem) Busch*“ (pod kierzem). Dalsza etymologia podaniowa tłumaczy: zamiast „*unter*“ używa się w narzęczu miejscowem (niemieckiem) „*pod*“ a więc: „*pod (dem) Busch*“ = *pod Busch* = *Podbus*.

Tej własności duchowej niemieckiej oczywiście nie tykam. Pozostawiam im też nienaruszalnie podanie o bogini Hercie i o *Nornach*, wraz z „*Herthaburg*,“ „*Herthasee*“ i „*Nornenloch*,“ co wszystko mu się znajdowsć na wyspie Rujnie koło Stopania (*Stubenkammern*). Przygodnie pozwolę sobie zauważyć, że *Herthę* na Rujnie wymyślił po prostu *Klüver*, który bez żadnej podstawy, *Tacyta* „*herthus*,“ matkę ziemi, czczoną „*in insula oceani*“ w „*castum nemus*“ a kąpiącą się w „*secretus lacus*,“ przeczytawszy mylnie „*Hertha*,“ a ubrdawszy sobie iż niewymieniona po nazwisku *Tacytowa* „*insula*“ musi być Rujna — przeniósł bez zachodu wszelkiego swoją *Herthę* na wyspę Rujnę w okolicy Stopania, gdzie znalazł się i „*nemus*“ i „*lacus*“ t. j. las jej poświęcony i jezioro, gdzie się kąpała, które oczywiście przezwiał „*Herthasee*.“ Uzupełnił nawet *Tacyta*, robiąc z starego wału grodowego koło Stopania dodatkowo „*Herthaburg*.“ Za *Klüverem* powtórzył bajkę *Micralius*, potem inni, a dziś we wszystkich *Bedekierach* czytamy dziwa o germańskiej bogini Hercie na Rujnie, o „*Herthasee*“ i „*Herthaburg*.“

Z *Nornami* rzecz może jeszcze zabawniejsza. W okolicy *Swantegardu* istnieje u brzegu czeluści skalnej głębokość, w której zamurowano występne zakonnice z klasztoru w Górze zwyczajem średniowiecznym. Pamięć tego utrzymała się pomiędzy ludem do czasów obecnych w podaniu, że w nocie księżycowe widać około tego miejsca krążące białawe postacie niewieście, zawodzące głośno żale. Mają to być duchy pokutujące owych zakonnice. Lud po dziś dzień zowie czeluści te „*Nonnenloch*.“ Trzeba było w wyrazie „*Nonnen*“ zmienić jedno *n* na *r*, by Rujnę zaludnić *Nornami* i stworzyć „prastarą“ ich siedzibę „*Nornenloch*.“

Pomorskich podań dziejowych zebrałem w ogóle 125, w treści ściśle dziejowej tylko 44. Reszta ich, przywiązana do ziem, grodów, zamków, wałów, miast, wsi, gór, jezior, kamieni i t. d. zawiera w sobie tylko przebłyski dziejowe. Z wszystkich tych podań przebijają znamiennie głębokie uczucie etyczne, poczucie sprawiedliwości. Podania przywiązane do miejsc nadają nawet kamiennym głazom życie duchowe, nadziemskie, okraszając je tra-

dycją dziejową. Wszędzie wre i kipi życie: w wnętrzu gór, w podziemiu zapadłych grodziszczy i obronnych wałów, w zwaliskach zamków, w ciemnych borach, na dnie morza i jezior. Nocą, gdy przyroda pogrążona we śnie, wstają duchy do życia pełnego ruchu i tententu. Nawet *stolemy* opuszczają odwieczne leżyska grobowe i staczają zapamiętałe walki z panami niemieckimi, mszcząc na nich krwawo krzywdy ludów swoich.

Na wałach grodowych ukazują się zakłète księżniczki „prześlicznej urody,“ narzekające żałością na swój los, szukające bohatera — młodziana, któryby je „zbawił.“

Z ust Jana Miotka w Lęborku słyzałem następujące podanie, które on nazwał „karą Boską“: Strasznie dawno temu nasi Pomorzanie, którzy są z nami jednego rodu kaszubskiego—za czasów bardzo starych, gdy byli jeszcze poganami, wiodli zaciekle boje z Polakami, którzy *som* także kość z naszej kości i krew z naszej krwi. Polski wielki książę—Bolesław było mu na imię—miał wtedy dużo Pomorzan pod swoją mocą, na co krzywem okiem patrzył kaszubski książę Warcisław, przemyśliwając, jakby odbić polskiemu Bolesławowi Pomorzan. W tym celu *sprzął* się z sąsiadem swoim księciem Swantoborem, więcej na zachód słońca wysuniętym, i obydwaj razem wymówili Polsce posłuszeństwo, odbierając jej zarazem siła grodów i miast—Wolin, Kamień, Kołobrzeg, Biełgrad, Koszalin i inne jeszcze.

Kiej polski książę Bolesław dowiedział się o tej sprawie książąt pomorskich, zebrał wielką siłę wojska i przybieżał z niem pod gród pomorski Żarnków, którego bronił jeden potężny pan kaszubski, jużci kasztelan, z nazwiska Gniewomir. Ale polski wielki książę dostał w końcu gród, chociaż był to gród bardzo warowny.

Potem, w czasie nie zbyt długim, zawrżeli Pomorzanie, jak to bywa, srogą zemstą i odbili od Polaków Żarnków na powrót. Ale w wojnie tak się rozsierdzili i rozżarli, iż im tego nie było dosyć, więc wyruszyli na Polskę i zapędzili się aż do Gniezna, najświetniejszego pod on czas grodziska polskiego, słynnego z nieprzebranych skarbów. Po drodze, czego tylko dopadli, niszczyli i równali z ziemią—miasta i wsie, domy i chaty, grody i *zamki*, nie szczędząc nawet kościołów świętych. Niema się czemu dziwować, w starych pogańskich czasach naród był dziki, nieokrzesany, nie znał bojaźni Bożej i popełniał w nieświadomości, jak nie, największy grzech śmiertelny. Zdobyli także Gniezno, gdzie porozbijali groby królów i książąt dobywając z nich czaszki trupów, a z czaszek powybijali zęby i rozsiewali koście i zęby po polach.

Targnęli się też ręką świętokradzką na domy Boże, zabierając z nich patyny, szczerozłote kielichy i inne drogocенności. Chcieli także pojnać biskupa Marcina z Gniezna, ale jego w on czas nie było już w Gnieźnie. Świętobliwy mąż zdołał uciec. Natomiast schwytali archidyakona Mikołaja, lecz Bóg wszechmogący zdziałał, iż puścili wolno skołatanego starca, który drżał ze strachu i przerażenia na całym ciełe.

Za bezecne okrucieństwo Bóg skarał Pomorzian srogo. Gdy później wrócili do domu i przy biesiadach używali kielichów kościelnych zrabowanych do bezecnej pijatyki, zrządził Pan Bóg, iż wszyscy, z *białkami* i dziećmi popadli w obłąd wściekłości. Zaczęli więc bić się pomiędzy sobą zapalczywie, kąsać się i kaleczyć i zabijać. Biesiadna *sień* zczzerwieniła się krwią.

Znak kary Bożej sprawił ogromny popłoch i zamieszanie pomiędzy nimi. Ażeby przebłagać Pana Boga, odesłali wszystkie złupione drogocенności kościelne napowrót biskupowi do Gniezna błagając go, by się wstawił za nimi do swego Boga sprawiedliwego, który jest miłosierny. Jakoż odzyskali tym sposobem zdrowe zmysły, a na ich ziemiach zapanował pokój i porządek.

W czasach tych doznali pogańscy Pomorzanie albo Kaszubi innego jeszcze dopustu Bożego. Oblegali oni wtedy polski gród Santok. Nie mogąc go zdobyć, uciekli się do chytrności i podkupili straż przy jednej bramie grodowej. Straż otworzyła im bramę, więc weszli bez trudności do wnętrza *zamku* w nocy. Polscy rycerze i wojaki spali snem twardym. Już trzymali dobyte miecze i oszczepy w gotowości, by śpiących obrońców grodu pozabijać, gdy wtem staje nagle im w drodze groźny jeździec na wielkim, białym koniu. Złękli go się tak straszliwie, iż poczęli uciekać, jak kto mógł. Tymczasem zbudziła się załoga grodowa i uderzyła z całej siły na uciekających, których w części wysiekła, w części zabrała do niewoli. On rycerz na białym koniu był św. Wojciech, patron polski, we własnej osobie.

Inne podanie opiewa dzieje księżniczki Małgorzaty, rozpustnej i występnej córki Swantopełka, wielkiego księcia wschodniopomorskiego, która jako czarna łowczyni pokutuje na ziemi słupeńskiej w zamczysku zapadłym, w moczarach nadłabskich. Zaklętą księżniczkę widzą ludzie nocami wciąż w dzikiej pogoni łowieckiej „doliną gęsią“ przez moczary bielgardzkie. Czasem ukazuje się jako białka bez głowy. Zbawi ją ten, który zdoła przenieść ją na barach przez moczary i dotrzeć do krzyżowej drogi nie oglądając się. Dotychczas taki zbawca nie znalazł się.

Przeciwstawnikiem wschodnio-pomorskiej czarnej łowczyni jest zachodnio-pomorski *czarny łowiec*, pod którym się ukrywa saski książę *Henryk Lew*. Podanie ludowe przedstawia go, jako wielkiego ciemiężcę i okrutnika. Trudno dać wiarę, mówi podanie, ile on w życiu popełnił srogich czynów i zbrodni. Raz kazał okrutnik młodemu pasterzowi za to, że w lesie jego z kory drzewka zrobił sobie fujarkę, rozplatać ciało, a potem, uwiązawszy koniec jelit jego do drzewa, kazał pędzić nieszczęśliwego chłopca tak długo w około, dopokąd jelita nie wymotały się zupełnie. Gdy chłopiec leżał już trupem, wrzasnął nad jego zwłokami:

— Masz za fujarkę! grajże teraz sobie, co ci się podoba.

Jednego chłopca, który strzelił na jelenia spasającego mu żyto, kazał żywego uwiązać do jelenia puszczać w las gęsty spłoszone zwierzę, które leciało z biednym człowiekiem, bijąc ciałem jego o pnie i krzaki, dopokąd męczennik ducha nie wyzionął. Po tem jeleni padł także martwy.

Okrucieństw jego i zbrodni nie spisały na skórze wołowej.

Lecz dotknęła go zasłużona kara. Pewnego dnia na polowaniu złamał wraz z koniem kark. Koń mimo to leciał przez las dalej, jak strzała. Książę uwiśł na strzemionach, a ciało jego włożyło się po ziemi. Głowa jego uderzała o pnie drzew. Żył w mękach straszliwych dopokąd czaszka nie rozbila się na drobne kawałki, a mózg nie rozprysł się.

Po śmierci niema spokoju. Całemi nocami latem i zimą jak dziki potwór goni polując po lasach, polach, jarach, po nad jeziora, od północy do brzasku rannego. Ludzie słyszą go głośno wołającego:

— Wod!... wod! halo, hoho, halo-ho!... wod—z drogi precz!...

Zowią go też na niektórych miejscach *wodem*, co prawdopodobnie jest skróceniem wyrazu wojewoda, zwłaszcza, że w danym razie chodzi o saskiego „Herzoga“, a wyraz niemiecki Herzog w całej Słowiańszczyźnie oznacza wojewodę.

Na całym Pomorzu i na wyspie Rujnie uwija się nocami ze smyczą psów wyjących mnóstwo szalejących czarnych łowców, zwanych także nocnymi łowcami lub dzikimi strzelcami. Tłuką się najczęściej po łysych, pustych górach, nieprzystępnych pustyniach lub po moczarach i trzęsawiskach. Z szumem i piekielną wrzawą przelatują powietrzem. Na Rujnie widują ich ludzie także w postaci smoka z długim, ognistym ogonem. Rybacy w zatoce jasmodzkiej widują nocnego łowca na białym koniu, pluskającego na wód przezroczy. Na Pomorzu wschodniem zjawia on się na powierzchni jezior.



Do tego rodzaju podań należy rzecz o hrabiach Ebersteinach, przebywających w okolicach Nowego Gardu, gdzie koło wsi Rzezczowa posiadali zamek obronny zwany „wilczym zamkiem“, którego szczątki utrzymały się do czasów obecnych. Ebersteiny wiedli rozwieszłe, występne życie. Ciemniżyli srodze lud. Obca krzywda sprawiała najżywszą radość ich sercu. Cała okolica drżała przed nimi. Po śmierci nie mają spokoju. Muszą się wciąż węszyć i tłuc koło „wilczego zamku.“ Jeden chłop rzeczowski znajdował się pewnego razu przy grobach stołomów, które leżą także w tej okolicy. Nagle zbliżają się do niego czterej młodzieńcy, którzy z nim rozpoczynają rozmowę. Gawędzili z nim uprzejmie i dobrodusznie, dlatego chłop, gdy go zapytali następnie, co ludzie mówią o hrabiach Ebersteinach, odpowiedział szczerze a zgodnie z prawdą, że ludzie wciąż mówią o nich jaknajgorzej i kląną ich pamięci. No to młodzieńcy rozsierzdzili się strasznie, a porywając chłopą, wlecili z nim w górę i gonili powietrzem ze trzy mile. W końcu wypuścili go, sami znikając. Chłop widzi teraz przed sobą czterech czarnych psów buchających z paszczy ogniem. Biedny człowiek zaledwo zdołał, trzęsąc się ze strachu, zawlec się do domu, gdzie zaraz drugiego dnia zemrzał. Odtąd widują ludzie tylko trzech psów, czwarty został już zbawiony.

W podaniach tych mści się lud ciemniżony na swoich katach. Jeśli zaś mowa o ludzie ciemniżonym i srodze krzywdzonym, nie może to być lud niemiecki, tylko jest to lud słowiański. Niemieckich kolonistów bowiem, osadzanych z rozmaitymi przywilejami na dobrach klasztornych, książeńcych i szlacheckich nie ciemniżono wcale, owszem, wyposażano ich w wolność i rozmaitych używali oni dobrodziejstw. Jużci też, że podania te nie mogą pochodzić od ludu darzonego przywilejami, protegowanego, tylko od ludu uciskanego, czem był lud słowiański, względnie lechicko-polski.

Lud pierwotny pomorski w silnem poczuciu sprawiedliwości nie szczędzi i swoich, jeśli bywali zdróznymi, lub dopuszczali się występków, Jak widzieliśmy powyżej, Pomorzanie srogą otrzymali karę za łupieztwa popełnione w Gnieźnie, a nawet przekupienie straży przy oblężeniu grodu santockiego nie uszło bezkarnie.

Oto inne jeszcze tego przykłady.

Nad jeziorem korenickiem, na wyspie Rujnie, stał niedgys wspaniały zamek królów pogańskich. Gdy chrześcijanie przyszli na wyspę, żył na niej król pogański bardzo bogaty, lecz tak skąpy, iż zawsze leżał przy swoich skarbach nagromadzonych w podziemnej sieni. Gdy chrześcijanie zdobyli gród, został on przy swoich skarbach zasypany. Zamienił się w psa czarnego i strzeże

skarbów swoich. Czasami widać go w postaci człowieka. Przyodziany w hełm i pancerz, jeździ na koniu swym ponad miasto i ponad jezioro. Niekiedy widzą go ludzie w koronie na głowie. Raz widziano go, jak szedł drogą do Pozarzecza (Poseritz), przyodziany w czarną czapkę baranią, a z białym kijem w rękę.

Księżniczka Swanwita, córka jego, przedsiębrała zbawienie ojca, lecz jej się to nieudało. Spadła z wału korenickiego do sieni podziemnej, gdzie się znajdują skarby. Strzeże ich pospołu z ojcem. Może być zbawiona, jeśli czysty młodzieniec ośmieli się w noc świętojańską rozebrać się do naga, wejść na wał korenicki i chodzić po nim tak długo w tył, zanim ziemia się nie rozewrze i on łagodnie i pomału nie zesunie się na dół, do wielkiej podziemnej sieni, gdzie płonie więcej jak tysiąc świec. Przed księżniczką zaklętą winien młodzian skłonić się trzykrotnie, dać jej pocałunek, a potem ująć ją za rękę i stąd wyprowadzić. Nie śmie jednak przytem wydać z siebie głosu żadnego, ani też oglądać się poza siebie. Kto ją zbawi, zostanie jej małżonkiem i posiędzie wszystkie te skarby. Dużo młodzianów brało się do dzieła, lecz na próżno. Czarny pies w podziemiach wygląda tak strasznie, iż ujrawszy go, każdy wydawał okrzyk przerażenia i wszystko przepadało.

Niekiedy przebija z podań czerstwy humor ludowy, jak z opowieści o szlachcicu Machu. Opiewa ona:

Czart nabierał na świecie cały wór ludzi najgorszych i niósł ich prosto do piekła. Gdy leciał ponad las, zawadził workiem o suchy wysterczajacy wierzchołek drzewa tak, że worek się przedarł i powstała w nim dziura, którą ludzie zaczęli wypadać jeden po drugim na ziemię. Na co zaś który padł, otrzymał od tego nazwisko, jeśli padł na *kamień*, zwał się *Kamińskim*, na *drag*, — *Drązkowskim*, na *dęba* — *Dębowskim*, na *buka* — *Bukowskim*, na *niedźwiedzia* — *Niedźwiedzkim*, a *kiej* wpadł w *bloto*, wylazł z niego *Błotnickim*. Na wołowej skórze nie spisałby tych wszystkich nazwisk, do których potem zaczęto sobie przyczepiać z niemiecka słówko *von*. Kiedy zaś wszyscy tak powypadali pozostał w worku tylko jeden prawdziwy szlachcic kaszubski Mach. Czart z jednym nie chciał iść do piekła. Cisnął worek z Machem precz, a sam rozsierzdony szczeżł. Mach jednak przyrównał się do tej samej szlachty, która z worka powypadała.

Tak mi o Machu opowiadał historię Antoni Kleba z Smolna.

Od niego mam też podanie o zaklętym zamku na Pomorzu, „hen głębiej“, w którego podziemiach przebywa księżniczka Luba, córka „naszego starego króla.“ Zamek wraz z nią został dlatego

zaklęty, iż ona całą zgrają najurodziwszych młodzianów, którzy się o nią dobijali, wzgardziła, pokochawszy jednego zdradliwego rycerza z Saksonii, który potem ją opuścił. Pewny chłop odważny podjął się zbawienia zamku i księżniczki Luby. Poszedł tam w nocy o godzinie dwunastej. Gdy tam przyszedł, staje przed nim jakiś chłop, jak drag i rzece:

— *Bjôj le w ten zômk a kôwô tã pôtkôsz tewô kuszniesz* <sup>1)</sup>. (Idź do zamku, a kogo tam spotkasz, tego pocałujesz).

Tak on też zrobił. Wychodziły ku niemu koty, psy, świnię, szczury i myszy, a on całował wszystkie. W końcu wyłazi szkaradna ropucha. Wzdrygnął się chłop i zawołał:

— *Ne, ce parchati kôtorze jô jednak kuszkêł nie mdq.* (Nie, tej obrzydliwej ropuchy ja jednak pocałować nie mogę).

Zaledwo wymówił te słowa, z ropuchy staje się przesliczna dziewczica. Była to księżniczka Luba. Zapłakała rzewnie i rzece:

— Gdybyś mnie pocałował, byłbyś mnie wybawił. Całowałeś wszystkie moje sługi, tylko mnie nie, dlatego muszę zapaść się w ziemię jeszcze o cztery sążnie głębiej.

Hieronim *Derdowski* w „*Panu Czorlińskim*“ zachował nam pamięć „*O mocnej księżniczce na oksewcim zamku*“, równie zaklętej.

Zaklętymi księżniczkami roją się góry, zwałiska zamków i grodziszcza.

Niektóre podania przebłyskują dziejowością z zamierzchłych czasów Pomorza i wysp przyległych. Podania te sięgają prastarego okresu, w którym ludność ziem pomorskich była rdzennie i wyłącznie lechicko-polską, zatem nie mogą one żadną miarą pochodzić od Niemców.

Jedno podanie zachowuje pamięć o najściu wyspy Rujny przez Longobardów z Norwegii. Drużyna Longobardów po długim błakaniu się na wodach przybiła w końcu do brzegu wyspy Rujny, z której wypędziła pierwotnych mieszkańców, zostawiając sobie tylko lud roboczy. Podanie oznacza czas pobytu Longobardów na Rujnie i na lądzie naprzeciw leżącym, iż „było to za panowania pięciu królów.“ Longobardów namnożyło się jednak tak dużo, iż było im tu za ciasno, więc zaczęli wychodzić, najprzód nad Lubę, potem nad Dunaj, a w końcu do Włoch. Tymczasem Rujnianie, którzy schronili się byli u swoich braci Wilków wracali pomału na ojczystą ziemię, a tych obcokrajowców, któ-

<sup>1)</sup> W narzeczu puckiem. Wzięte z St. Ramuła Słownika języka pomorskiego.

rzy jeszcze pozostali na wyspie, napadli zbrojnie i pokonali ich. Longobardowie potem rozprószyli się po wszystkich ziemiach pomorskich i odtąd zwano ich Wandalami.

Stare zatargi i wojny Pomorzan z Duńczykami znajdują epopejowy oddźwięk w kilku podaniach. Jedno z tych podań opiewa pojedyńki pomiędzy Pomorzanami a Duńczykami. Olbrzym pomorski Masko (Mieszko) idzie w zapasy z duńczykiem. Kto będzie pokonany, tego naród pójdzie w niewolę narodu, z którego wyszedł zwycięzca. Masko wali z całej siły oszczepem i tnie młynka mieczem w około siebie. Krzyżują się miecze, sypią się z nich skry. Duńczyk już... już zyskuje przewagę, wtem Masko, jak się zapędzi nagle sierdżście mieczem na zapaśnika i z całej siły zada mu cięcie w głowę, pada Duńczyk trupem z głową rozplataną na dwie połowy. Ale przewrotni i chytry Duńczycy uciekają się do wybiegu, by się oswobodzić od ciężkiego zobowiązania, mówiąc, że walka była nierówną i Masko zwyciężył podstępem, dlatego pojedynek musi się jeszcze raz odbyć. Oburzeni Pomorzanie z razu nie słyszeć o tem nie chcieli, obstając twardo przy swoim prawie. Lecz później, głównie z porady Maska przystali, żeby pojedynek odbył się ponownie. Masko, który był poraniony, zastrzegł sobie tylko odroczenie walki na dwa tygodnie, na co Duńczycy zgodzili się z ochotą. Tymczasem usunęli się Słowianie na Rujnę, Duńczycy zaś na wyspę Mōne.

Staje do walki z Maskiem Duńczyk potężnej siły, Ubba. Straszni zapaśnicy mierzą się ze sobą w obliczu obydwóch królów i ich wojska. Trębacze dają hasło do walki. Olbrzymi Masko i Ubba lecą naprzeciw siebie z mieczami gołemi, walka na śmierć lub życie wre i kipi najzapaleczywsza i najsierdzistsza. Orężów groźny szczełk rozlega się gromowym głosem, iskry jak z główki rozpryskują się, puklerze i drucienie poprzecinane, a z nich krew sączy się obficie ku ziemi. Zda się, że to nie rycerze walczą ze sobą, lecz bogowie.

Miecze połamane, oszczepy roztrzaskane, a walka trwa z największą zawziętością. Straszni zapaśnicy powalili się na ziemię tarzając się w krwi własnej. Jak wściekle psy kasażą się, duszą się i w końcu obydwaj leżą trupem. Spór nierozstrzygnięty trwa dalej. Ostatecznie przyszło do pokoju. Duńczycy przez długi czas nie ważyli się zaczepiać pomorskich Lechitów.

Inne podanie wieści, iż „za bardzo dawnych czasów, gdy w Daniu: panował król Frolko a na Pomorzu król Strumyk,“ zwyciężyli Duńczycy podstępem Pomorzan, zabili ich króla, podbijając dzierżawy pomorskie pod swe panowanie. Dopiero dziewica prześli-

cznej urody, królowa Wisna, pochodząca z rodu Strumyka, oswo-  
badza Pomorzan z jarzma niewoli duńskiej.

O królowej Wisnie istnieje osobne podanie, które głosi, że Pomorzanie oburzeni znęcaniem się Duńczyków nad sobą, powstali przeciwko ciemieżcom, wybierając sobie na wodza i królowę dziewicę Wisnę, z rodu króla Strumyka. Wisna pobiła Duńczyków, chociaż ci posiadali wielką potęgę. Wypędziła ich z Pomorza, następnie pociągnęła za nimi do Danii, zdobywając na Duńczykach wyspy Møne i Schonen. Rządziła potem długie lata i prowadziła dużo wojen.

Pomorska Wisna ma dużo podobieństwa z krakowską Wandą, a brzmienie tej nazwy osobowej różni się od nazwy rzeki Wisła tylko zamianą zgłoski ł na n. Na wyspie Rujnie istnieje wręcz podanie o „*Wandzie i Rüttigerze*,” które tak opiewa:

Jest temu lat tysiąc, a nawet wiele więcej, gdy w Polsce żył książę, zowiący się Krak, który zbudował Kraków. Umierając pozostawił dwóch synów: Krakusa i Lechusa, jako też córkę Wandę. Krakusowi miało przyspaść panowanie, lecz Lechus zabił go na polowaniu zdradziecko. Polacy, nie chcąc mieć królem bratobójcę, obrali sobie Wandę za królowę. Była to dziewica czarująca urody, rój królów i książąt starał się o jej rękę. Słysząc ona nie tylko z piękności nadzwyczajnej, lecz także z roztropności i potęgi. Ślubowała bogom dziewiczość, więc odrzucała wszystkie prośby o swą rękę. Usłyszał o tem potężny i waleczny książę rujniański Rüttiger i postanowił na przekór osiąść ją jako małżonkę. Wyruszył na czele licznego wojska na jej dwór, czyniąc wielkie zabiegi, lecz Wanda dała i jemu odmowną odpowiedź. Rozsierdziło go to strasznie, a ponieważ płonął ku niej gorącą miłością i miał przy boku wielką siłę orężną, więc postanowił przemocą pokonać upór prześlicznej królowej-dziewicy. Wanda wyruszyła przeciwko niemu w pole z równie potężnem wojskiem, ślubując powtórnie bogom dziewiczość, gdy wroga pokona. Ale gdy obydwaj wojska stanęły przeciw sobie, wydało się Pomorzanom rzeczą sromotną dobywać miecza przeciw białce i dlatego prosili swojego księcia, by się namyślił inaczej. To wzbudziło w Rüttigerze taki gniew płomienny, iż dobył własnego miecza i przebił nim serce swe. Pomorzanie rozłączyli się teraz z Polakami, zawarli z sobą nowy sojusz. Wandę zabolalo serce tak, iż nie chciała żyć dłużej. Straszna była dla niej myśl, że z jej przyczyny zabił się książę tak waleczny i możny. Wskoczyła więc z mostu zamkowego do Wisły, gdzie utonąła. Działo się to gdzieś

około roku 700 po narodzeniu Jezusa Chrystusa. Po śmierci Wanddy rządziło Polską dwunastu wojewodów.

O Kraku zachowała się pamięć w kilku podaniach. Ślady jego widoczne po dziś dzień na właściwem Pomorzu i na wyspie Rujnie w kilku nazwach miejscowych. Góra Krakowa wznosi się o dwie mile od Stargardu, niedaleko wsi Czakania (Zachan) w lesie bukowym. Przywiązane do góry podanie mówi, że w starych czasach stał na niej zamek hrabiów Kraków. Ostatnimi potomkami sławnej tej rodziny byli dwaj bracia, którzy żyli ze sobą, jak pies z kotem. Za karę uległ zamek zburzeniu, a oni sami zamienili się w karłów. Odbywają pokutę w wnętrzu góry. W noc świętojańską można ich tam widzieć. Ukazują się, jako rycerze wychodząc z całą smyczą psów na polowanie w lasy. Wówczas słyhać w lesie straszny łoskot i huk, szczekanie i wycie psów, tentent cwałujących koni, odgłosy trąb i strzały, że aż trzęsie się ziemia. Gdy kur ranny zapieje, nastaje grobowa cisza w lesie. Hrabiowie z końmi, smyczą psów i służbą zapadają się znowu w górę, stając się napowrót karłami. Słyhać tylko potem nad ranem przeraźliwy głos sowy. Można ich zbawić, jeśli kto zasadzi w ziemię kij z drzewa jabłoni, będzie go polewał łzami tak długo, dopóki się nie przyjmie, nie zakwitnie i nie zrodzi jabłek czerwonych, któremi należy obdzielić ubogich starców, by się szczerze pomodlili do Boga i wybłagali od Niego zbawienie grzesznych wrogich braci. Dotychczas nie znalazł się taki człowiek miłosierny <sup>1)</sup>.

Do tej góry przywiązane jeszcze inne podanie <sup>2)</sup>. W dzień świętojański z uderzeniem godziny 12 w południe wychodzi z góry zaklęta dziewica, w sukni śnieżnej białości, a ubranej w niezapominajki. Smukła, wysoka, świeci urodą, jak zorza. Za nią na dwudziestu czterech wozach wyjeżdżają też w on dzień skarby jej, by się przesuszyć w promieniach słońca. Jak długo dziewica pokutuje w wnętrzu góry, niewiadomo. Zbawić ją może młodzian, który widział kwiat paproci, a wstąpi na górę w chwili, gdy właśnie dziewica wyjeżdża z niej ze swojemi skarbami. Taki młodzian nie znalazł się dotychczas.

Jerzy Kraków zwany także Krokowem, stary szlachcic, przebywał na dworze księcia szczecińskiego, Bogusława X. Posiadał taką siłę, iż przełamywał żelazne podkowy, jak obwarzanki, a z pi-

1) Temme. Volkssagen a. Pommern u. Rugen. Berlin 1840, str. 152.

2) John. Volkssagen a. Pommern u. Rugen. Berlin 1890, str. 221.

wnicy wynosił od razu trzy duże beczki. Zdarzało się też, że brał naraz i cztery beczki, lecz wtedy ujmował dwie ręką za czo-py, zaś dwie mniejsze brał pod pachy. Wykonywał to nieraz na dworach książęcych w Szczecinie, Wolgoszcy i Zwierzynie. Razu pewnego przybył do Szczecina zawołany obcy siłacz, który objawił chęć pokazać swą siłę w zapasie z kimkolwiek, ktoby miał do tego odwagę, wyznaczając zwycięzcy, jako nagrodę, drogocenne klejnoty.

Zgłasza się pierwszy Jerzy Kraków, lecz wymawia sobie, że walka ma się toczyć uczciwie, bez żadnego podstępu. Cudzoziemiec zgodził się na to. Więc zapasy obydwóch siłaczy rozpoczęły się na podwórzu zamku książęcego, w obecności księcia Bogusława i jego dworu. Obcego siłacza zdjął strach przed Krakowem, więc uciekł się do zdradliwego podstępu wbrew umowie, dając mu silne pchnięcie w miejsce bardzo dotkliwe, co wyraźnie było wzbronione. Szlachcic jak długi powalił się na ziemię a później był z tego powodu ciężko chory. Oczywiście nie dano cudzoziemcowi za wygrane. Pomiędzy szlachetnie urodzonymi, którzy obecni byli przy zapasach, zapanowało wielkie oburzenie. Zwrócili się zatem z prośbą do księcia, żeby obcego oszukańca za niecny podstęp kazał związać i osadzić w więzieniu, a tam trzymać go tak długo, dopóki nie pokaże się, co stanie się z Krakowem. Książę, uznając żądanie za słuszne, uczynił mu zadość. Gdy Kraków wyzdrowiał po jakimś czasie, uprosił księcia, że obcego siłacza kazał wypuścić z więzienia pod warunkiem, że raz jeszcze zmierzy swe siły z Krakowem w sposób uczciwy. Przyszło więc do ponownych zapasów. Kraków rzuca się na cudzoziemca zapa-miętając, ujmując go silną pięścią za kark, podnosi go, jak piórko do góry, i zanim biedaczysko zdołał się opatrzeć, ciska nim tak silnie o ziemię, iż jako martwy podnieść się nie może. Przybieżano mu z pomocą. Sześć tygodni wylizywał się, zanim przyszedł do zdrowia.

Jerzy Kraków udał się następnie do Polski i brał udział w wyprawie Polaków na Moskwę. Na wojnie pół sotni nieprzyjaciół otoczyło raz jego kilku towarzyszy wojennych. Gdy szlachcic pomorski zoczył to, ciska się na wroga z ogromnym zapędem, przebija wąż skłębionych wojaków nieprzyjacielskich. Z mieczem w silnym ręku siecze wrogów, którzy padają na prawo i lewo i w końcu męstwem swoim zdumiewającym wybawia swoich towarzyszy od pewnej śmierci lub sromotnej niewoli. Męstwo nadzwyczajne nie uchroniło jednak jego samego od śmierci. Uległ przecież następnie przemocy nieprzyjaciela. Padł trupem na polu

chwały, lecz zanim ducha wyzionął, będąc już śmiertelnie ranym, udusił jeszcze dziesięciu Moskali.

Kraków nie posiadał zębów jak zwykli ludzie, tylko miał zamiast jednego i drugiego ich rzędu, wierzchnią i dolną kość. Było to w rodzie jego dziedziczne. Jerzy Kraków miał pochodzić z olbrzymów, bardzo słynnych w czasach pogańskich.

Podania o zamkach, zaklętych księżniczках i dziewicach, nocnych albo czarnych łowcach, łączą się często z podaniami o starych rodach szlacheckich pomorskich. O Puttkamerach, powstałych z Podkomorzyców, szlachcie rdzennej lechicko-polskiej istnieje kilka podań. Tuchomie (Gross-Tuchen) albo raczej państwo tuchomskie, obejmujące dwie mile kwadratowe, było ich dziedzictwem. Tuchomskie podania zachowały pamięć o dwóch sławnych rycarzach tego rodu: Godzimierzu i Kazimierzu, którzy początek swego pochodzenia wywodzili od Święców. Usypana góra zamkowa i ślady starych wałów, zachowane w Tuchomiu, stanowią wskazówkę, iż w pogańskich czasach istniał tam gród obronny, będący siedzibą możnego rodu szlacheckiego. Podanie o trzech pannach Podkomorzankach na zamku w Szlankowy (Schlackow), odnosi się także do rodu Puttkamerów. Istnieją też podaniowe dzieje zniemczonej drugiej rodziny szlacheckiej Böhnów, pochodzącej z panów kaszubskich. Jeden z rodu tego młodzian urodziwy, będący „u księcia polskiego, jako łowczy, na służbie“ zapłonął gorącą miłością ku córce księcia „pięknej Santosławie,“ a ponieważ wyswobadza księcia z niewoli nieprzyjacielskiej, otrzymuje w nagrodę rękę prześlicznej księżniczki.

O herbach rodzimej kaszubskiej szlachty na Pomorzu wschodnim, mianowicie na ziemiach: słupskiej, lęborskiej i bytowskiej, zwanej przez Niemców „Panen“ przechowały się liczne podania. Białkowie, Bryhcy, Kowalkowie, Chamcy-Ciemińscy, Chamcy-Gliszczyńscy, Chynowie, Chmielęcy, Granowie, Jancy, Jutrzenkowie, Knike-Studzińscy, Muchowie, Mrozkowie, Rudgiszowie, Somnice, Wantoch-Rekowscy, Wryz-Rekowscy, Wiconowie, Wnuki, Wusowie, Gostomscy, Zeromscy, Kistowscy i Gostkowscy posiadają w swych herbach księżyc i gwiazdy, których położenie jest rozmaite, a które włączyli do swych herbów rodzimych na pamiątkę swego udziału w walkach z Turkami i Wołoszą. Waleczyli oni pod Warną, okryli się sławą w chorągwi Denhofs pod Cecorą, a następnie pod Chocimein, nie brakło ich też pod Wiedniem w r. 1683. Otóż tłómaczą oni, że księżyc leżący w herbie na dole oznacza klęskę Turków, a zwycięstwo Polaków; wschodzący księżyc nierozstrzygniętą walkę, a wielką zapaleczywość bojowników na oby-



dwóch stronach; półksiężyc zaś na górze wskazuje na klęskę Polaków a zwycięstwo wrogów chrześcijaństwa. Istnieje podanie „O Czerzkowscim abo Czerzku,“ rycerzu Niekrace, o Parchowicach i innych jeszcze.

W Gdańsku utrzymały się podania o św. Wojciechu, które podaje Cenova <sup>1)</sup>, a na zachodnim Pomorzu o św. Otonie. W starym kościele farnym w Szczecinie znajduje się przy relikwiarzu „kamień św. Otona“ z odcisniętą jego stopą <sup>2)</sup>, a w korycie rzeki Dziewinowa wznosi się wysepka zwana „górami św. Otona,“ usypana przez czarta, stawiającego przeszkody apostołowi pomorskiemu, gdy zdązał przez morze, by ochrzcić mieszkańców miasta Wolina.

Najpiękniejszymi z podań wydają mi się te, które przywiązane są do miejsca; w nich też, sądzę, zachowały się ślady najdawniejszych dziejów ziem pomorskich. Prawie ze wszystkich tych podań tchnie stare pogaństwo osłonięte w szatę romantyzmu i czarodziejstwa poetycznego, pełnego potoku najbujniejszej wyobraźni. Wszystkie podania o ziemiach, grodach, zamkach, górach, szczególnie tak zwanych „świętych“: jak Rewekol koło Szmołdzewa, Święta góra koło Polnowa, także góra koło Wielkiego Rzecha (Gross-Retz) i inne—o wałach i o kamieniach, zawierają na dnie romantyzmu bajecznego ziarno prawdy dziejowej lub conajmniej świecą odbłyskami dziejowymi, i dlatego stanowią materiał najcenniejszy. W podaniach tej kategorii utrzymało się też najczystszej znamię pierwotności słowiańskiej i wolne są one prawie zupełnie od skażeń niemieckich. Swojskość ich bije odrazu w oczy tak, iż tylko ślepy lub umyślnie nie chcący widzieć, może wątpić o ich pochodzeniu i przynależności do sfery duchowej ludów lechicko-polskich.

Nadzwyczaj liczne w szczególności są podania o kamieniach. W rozkiełzanej wyobraźni ludowej przybierają one kształty osób, zwierząt, rozmaitych przedmiotów, nawet grodów i zamków. Można powiedzieć, iż na ziemiach pomorskich każdy większy kamień oznacza widoczny znak pokuty lub nieszczęścia, które te ziemie od prawieku nieraz dotykało srodze i krwawo.

Gdy mówi się o tem, mimowoli przypomina się pieśń ludowa. Niezawodnie tworzyła ona skarb równy podaniom. Niestety, zapadły one dla nas wraz z językiem, wytępionym przez Niemców. Wyobrażenie o zaginionej pieśni ludowej dać nam może maleńki

<sup>1)</sup> Skorb. Kaszeb. mowy, str. 117.

<sup>2)</sup> Graesse. Sagenbuch d. preussischen Staates, t. II, str. 425.

ułamek, podany przez dr. Łęgowskiego, w którym piękna gwara pomorska silnie już jest zepsuta przez niemieczyznę.

Przez moerzynka szeroko  
Do my milsny daleko.  
Przerydaul jem na ji dwór,  
Zaklepal jem na ji dom.  
Weszła do mnie roszno cześć,  
Raczyła mnie z koenia zleść.  
Jo rechli nie zlezan z koenia,  
Ak swą milszną nie webezdrza.  
Ty swy milszny nie wezdrzysz,  
Te tą drożką pojedziesz,  
Tam swą milszną naleziesz.  
Przerydoł jem na ji grob,  
Zaplakal jem wiele zdrob...

(Przez szerokie morze do mej najmilszej daleko. Na koniu pomknąłem do jej dworu, zapukałem do jej domu. Wyszła ku mnie przekłeta tescza, prosiła mnie z konia zleść. Ja rychlej z konia nie zleżę aż swą najmilszą nie ujrzę. Ty swej najmilszej nie ujrzysz, ty tą drożką pojedziesz, tam swą najmilszą znajdziesz. Podążyłem na jej grób, wypłakałem wiele łez).

Z wielu podań odzywa się smętnym nastrojem wspomnienie dawnej niepodległości i duchowej wolności i swobody ludu pomorskiego, gdy czcił jeszcze własnych bogów, słynąc z waleczności i potęgi.

Śpiewem łabędzim dawnego blasku i sławy jest podanie o zatopionem w morzu mieście Winecie czyli Wenedzie, jak cudzoziemcy zwali sławne i wspaniałe Samno, które Helmold w swej kronice zowie rzeczywiście największem z miast, jakie się znajdują w Europie. Cuda opowiada lud o nim. Gdy morze spokojne, niebo czyste i jasne, widać na wód przezroczy pyszne ulice zatopionego gardu i jak się nimi snują wielkoludy w szerokich, gubiących sukmanach, skrzątnie zajęci, z wesołemi twarzami. Nagle zmienia się obraz uliczny. Widać ciągnące korowody żałobne, czarnych rycerzy na koniach, trumny. Wieczorem przy zmroku zapadającym słyhać z toni głos srebrnych dzwonów. Raz w rok, w niedzielę wielkanocną rano, podnosi się wspaniały gard na powierzchnię morza, kołyszac się na falach. Odblask słońca od złocistych szczytów i bań wieżowych, od pozłacanych kruszcowych bram gardowych, od tego wszystkiego srebra, którem miasto przepełnione, émi wzrok, a człowiekowi zda się, jakoby nagle znalazł się na innym, jakimś czarodziejskim świecie.

Kautzow, najznakomitszy kronikazr pomorski, jeździł w r. 1527 na miejsce dla sprawdzenia podania. Naprzeciw wsi Dąbrowy (Dammeran) widział w morzu rzędy kamieni, które w kilku miejscach wysterczały nad powierzchnię morza. Poczytał je za fundamenty domów. Długie rzędy kamieni rozpoznać pozwalały nawet rozkład ulic. Na podstawie wyprawy, przedsięwziętej 250 lat później, ogłosił berliński profesor Wrede podanie o Winecie za zmyślane, znajdując wiernych, dopóki nie wystąpił pastor Manhold przytaczając dwa ważne nowe argumenty, mianowicie, iż przy budowie przystani w ujściu Świny (Swinemünde) znaleziono w morzu kamień, ludzką ręką obciosany, a następnie, że w okolicy Dąbrowy wygrzebano z ziemi mnóstwo czerepów z urn słowiańskich, jako też znaczną ilość monet złotych. Jest nawet dowód historyczny o istnieniu miasta Winety—Wenedy. Oto „Codex Oldenburgensis“ zachował nam wiadomość, że w latach 1158—1176 zasiadali w radzie gminnej miasta Lubeki ludzie, pochodzący z Wolina i Winety.

O Arkonie, gdzie się wznosiła sławna świątynia Swantowita, wieści podanie, że równie i ten zapadł się w morze, zaś Czesław Lubiński <sup>1)</sup> podaje o Starej Heli, która leżała obok dzisiejszego miasteczka Hela, prawie to samo, czem rozbrzmiewa podanie o Winecie.

W jeziorze wierzbołowskim (Werbellinsee) na ziemi ukrzańskiej <sup>2)</sup> (Uckermark) leży zatopione miasto dawne Wierzbołowo (Werbelow). O dzwonach słowiańskich w jeziorze wierchowskim (Virchowsee) w okręgu szczecinkowskim (Neustettin) podaje Themme <sup>3)</sup> bardzo ciekawe szczegóły, które przedstawiają nam wierny obraz stosunków panujących w kraju podczas okresu jego germanizacji. Posłuchajmy podania. W okolicy jeziora wierchowskiego utrzymała się ludność słowiańska dłużej, aniżeli w okręgach sąsiednich. Głównem jej ogniskiem była wieś słowiańska Wierchów (Virchow). Mieli tam Słowianie wielki wspaniały kościół, a na wieży kościelnej wisały najpiękniejsze dzwony całego kraju. Osiedleni Sasi, stawszy się panami ziemi, gardzili biednymi Słowianami i prześladowali ich. Spodobała im się piękna wieś słowiańska Wierchów, więc zwyczajem swoim wypędzili z niej Słowian, osiedlając się tam sami i nadając miejscowości nazwę swoją Sassenburg. Wypędzeni Słowianie przeszli na drugą stronę je-

<sup>1)</sup> Szkice z ziemi i historii Prus królewskich. Gdańsk 1886.

<sup>2)</sup> Str. 221.

<sup>3)</sup> № 280.

ziora i założyli tam sobie nową wieś, którą na pamiątkę dawnej siedziby swej nazwali Wierzchowem, jak się ta miejscowość (Virchow) do dziś dnia nazywa. Ze starego siedliska nie mogli jednak zabrać ze sobą nic więcej, jak tylko piękne dzwony, które sprawiały im wielką radość i do których przyłgnęli całym sercem, jako do jedynej pamiątki po wsi ojczystej, gdzie się rodzili i gdzie ich rodzice, krewni, przyjaciele spoczywają w ziemi. Lecz Sasi i tej pociechy nie chcieli im pozostawić, więc pewnego dnia naszli ich w nowym Wierzchowie, zabierają przemocą dzwony, wsadzają na swe łodzie i przewożą do starego Wierzchowa. Gdy atoli stanęli na środku jeziora, zrywa się nagle okropna burza, pienia się wzburzone bałwany wody, bijąc wysoko, łodzie z hukiem uderzają jak wściekłe na siebie, roztrzaskują się na kawały, a dzwony toną w głębinach jeziora wraz z Sasami. Dzwony spowodowały całe nieszczęście. Nie chciały one Sasom służyć. Leżą one wciąż na dnie jeziora, a nikt z toni wyciągnąć ich nie może. Od czasu do czasu słyszą je ludzie, jak z przezroczy wody odzywają się żałośnie ludzkim śpiewem. W pieśni żalą się gorzko, iż nie mogąc wrócić do Słowian, pozostawać muszą w głębinie wodnej.

Pisarz niemiecki przekazuje nam to podanie, zapisane podług opowiadania niemieckiego, spisane na miejscu. Źródła zatem podwójnie niemieckie. Jednak wobec treści i nastroju podania, zdrowy rozum mimo to wątpić nie może, że podanie stanowi dorobek duchowy naszej ludowości, nie zaś niemieckiej, a jeśli się jawi w szacie niemieckiej, to mamy przed sobą tylko przekład niemiecki, który bywa najczęściej bardzo lichy, z oryginału polskiego, niestety zagubionego wraz z językiem polskim tych ziem.

Blaskiem poetycznym podań o Winecie, Starej Heli lśni Parnas niemiecki. Lepsi i gorsi poeci niemieccy ujęli podania w mowę wiążaną. Cóż z tego? Tem przecież nie przeistoczyli ich na niemieckie.

Równie i podania, wieszczącego o „Ostatniej bitwie,“ zapisanego przez Niemca dr. Zahna<sup>1)</sup> nie można żadną miarą poczytywać za niemieckie. Powiada ono, że w prastarych czasach Niemcy były tylko małym księstwem. Wtedy owczarz Tomasz prorokował, że Niemcy staną się wielkie i potężne, jak się też stało. W przyszłości będą jeszcze potężniejsze, a ludzie dojdą do takich bogactw, że krowy stać będą przy żłobach na złotych łańcuchach. Potem rozpocznie się upadek i całe państwo niemieckie nie będzie miało większego obwodu, jak tyle, co chłop jeden zdoła jednego

<sup>1)</sup> Str. 39.

dnia objechać w około czterema końmi. Na ziemi dymiaskiej wiedzą nawet ludzie starsi, jaki nieszczęście będzie miało przebieg. Król z północy, powiadają, przyjedzie z za morza i stoczy z Niemcami wielką bitwę, w której zginą wszyscy Niemcy, a pozostanie z nich tylko tyle, ile będzie się mogło pomieścić w cieniu wielkiego starego dęba.

Jest jeszcze inne podanie o „ostatniej bitwie.“ Pomiędzy Nowem Cecowem (Neu Zizow) a Kopienicami (Köpnitz) ciągnie się wąwóz, który ku rzece Wieprzowi (Wipper) rozszerza się w znaczną dolinę rudeńską. Podanie rozpowszechnione pomiędzy ludem całej okolicy, powiada, że tu stoczy król kaszubski, śpiący z swoim wojskiem w wnętrzu góry zamkowej — ostatnią bitwę, bardzo, bardzo krwawą. Dodać do tego należy, że Jeszko, który odbił od Henryka Lwa Branibor, dzisiejszy Brandenburg, i tam panował, z Kopienic ród swój wywodzi, a niemieccy dziejopisarze zowią go „Jeschko von Köpenitz.“

W wale grodowym koło Stopania na wyspie Rujnie śpi wojsko starych Pomorzan. Uzbrojeni wojacy piesi siedzą przy długich stołach we wnętrzu wału ze wspartemi na ręce głowami i śpią. W olbrzymiej, długiej sieni konie przy żłobach, a przy każdym koniu zbrojny ułan, wsparty na grzbiecie końskim i także śpiący. Raz pewnego chłopca wiozącego owies nocą, gdy pytał o drogę, jakiś człowiek zawiódł do podziemnego gmachu w wale stopańskim, przewanym przez Niemców Herthaburg, o czem powyżej znajduje się objaśnienie. Przez mosty zwodzone dostał się chłop do wnętrza zapadłego w ziemię zamku. Kiedy przybył do sieni, gdzie przy stołach spali piesi wojacy, obudzili się natychmiast i zapytali:

— Co nowego na świecie?

Gdy odpowiedział, iż niema nic nowego, zasnęli na powrót. Z ułanami było to samo.

Koło miasta Lęborka znajduje się góra, w której wnętrzu przebywa król kaszubski. Góra ta miała w dawnych czasach na wierzchu bezdenny otwór. Pewnego razu postanowiła lęborska rada gminna zbadać górę. Było wtedy dwóch złoczyńców skazanych na śmierć, więc obiecano im darować karę, jeśli zgłębią wnętrza góry. Nie mając nic do stracenia, chętnie się tego podjęli. Spuszczają się zatem w otchłań i widzą ogromne dziwy i cuda. Stoją w prześlicznym ogrodzie, pachnącym różami i różnem kwieciami. W środku ogrodu wielkie drzewo uginające się od białego kwiatu, a od niego bije tak miła woń, jak gdyby to drzewo było rajskie. Za ogrodem rozpościera się zielona łąka przed wspania-

łym zamkiem o wieży i strzesze ze złota świecącego. Staje im w drodze dziecię śliczne jak anioł, a ujmując jednego prawą, a drugiego lewą rączką, wiedzie ich ku zamkowi, z którego okien słychać czarującą grę na harfach, do głębi serca wzruszającą. Gdy tak szli łąką zieloną a słońce kąpało świat radośny w złocie, nagle ukazują się na modrem niebie żółte chmury, zaczyna coś luceć, zrywa się burza i pada grad szczerozłoty. Chcą zbierać skarby, lecz dziecię wzbrania im tego mówiąc, iż tu wszystko, co widzą, królewskie. Wtem wypogadza się nagle. Jeszcze nie doszli do zamku, a słońce znowu już świeci, jak złoto na jasnym niebie, na którym siedm tęcz widnieje, jako znak przeszłej burzy. Wchodzą do zamku. W złoconej sieni stoi ogromny szczerozłoty tron, drogimi kamieniami wysadzany. Na nim siedzi stary król kaszubski w<sup>1</sup> brylantowej koronie.

— Idźcie — odzywa się król — do mego grodu Lęborka i oznajmijcie wszem ludom ziem moich, że stary ich król szle im pozdrowienie. Skryłem się w wnętrze ziemi przed srogą lutością wrogów, lecz nadejdzie dzień, w którym wrócę ze swoim wojskiem śpiącym w piwnicach i stajniach zamku. Idźcie do domu i bądźcie dobrej myśli. Daję wam przebaczenie. Powiedzcie o tem radzie miejskiej i pokażcie jej na znak słów królewskich ten oto pierścień.

Padli obydwa na kolana przed dobrym, starym królem i płakali długo. Wyszli szczęśliwi, uwolniono ich od kary i wiedli odtąd uczciwy i prawy żywot.

Koło wsi Bielgardu w górze stożkowatej znajduje się zapałły zamek. Okolica około tej góry, królestwo do niej należące, ma być równie zakłète. Ongi wychodziły często z góry dwie dziewice pod wieczór pokazując się przechodniom i usiłując z nimi nawiązać rozmowę. Szukały one zbawcy dla siebie i dla pokutującego we wnętrzu góry królestwa. Upatrzyły były sobie do tego pewnego parobka. Warunki były bardzo ciężkie, lecz gdy ich dokona, wówczas padnie grom, a zamek wraz z królestwem wyjdzie na świat z podziemia.

Zakłeta księżniczka mówiła parobkowi:

— Król i królowa przyjdą do ciebie, pozdrowią cię uprzejmie i zrobią ciebie swoim następcą na tronie. Ojca, matkę, rodzeństwo, wszystkich krewnych i przyjaciół będziesz mógł wziąć do siebie do królestwa. Szczęśliwe przeżyjesz tam dni z nimi. Królestwo to bowiem nie będzie miało końca, lecz trwać będzie lat tysiące. *Rozumie się, że obecnie istniejące państwo ze swoimi miastami*

*mi i wsiami i wszystkimi mieszkańcami, wyjąwszy ciebie i twoich, zaginie i przepadnie na zawsze.*

Parobek odmówił. Obydwie czarne dziewice posmutniały, potem zaczęły znowu prosić jak najusilniej, lecz on pozostał przy swoim.

Na to oświadczyły mu, że muszą czekać na zbawienie jeszcze lat sto. Do tego czasu nie będą się pokazywać ludziom. Po stu latach atoli przyjdzie na świat mąż, który dzieła dokona. Będzie on miał kolebkę z wierzby, która wyrośnie na górze grodowej. Mąż spełni wszystko, czego żądają, a *powstanie królestwo stare w dawnej wspaniatości i sławie, nowe zaś upadnie i przepadnie.*

Od tego czasu nie widziano ich. Na uroczysku rośnie bujna wierzba. Ludzie chcieli ją zrąbać kilkakrotnie, lecz każdym razem, gdy się do tego zabierali, odzywał się głos z drzewa:

— Nie tykajcie mnie — jam drzewo święte!

Ziuziu, ziuziu, mały senku,  
Zabjele cy ojca w renku,  
Zabjele go ze drudzimi  
Toporami żelaznymi,  
A w Raduni krwawo woda,  
Szkoda ojca, ze co szkoda!

. . . . .

Wianek bierzesz do dum sobie  
Kładziesz go na tatei grobie,  
Kłęcząc modlisz się za ojca,  
Co go zabjeł krzyżak zbojca  
A w Raduni krwawo woda,  
Szkoda ojca, ze co szkoda!

Hieronim Derdowski w dopisku do „Pana Czorlińskiego“ powiada: Pieśń, którą Czorlińska śpiewa nad kolebką dziecka, przypomina wymordowanie z nienacka w Gdańsku 10,000 bezbronного ludu kaszubskiego przez krzyżaków, podczas wielkiego jarmarku zwanego Dominikiem. Działo się to w r. 1308 (w nocy 4 sierpnia).

Podanie o rzezi tej krwawej, a tak strasznej, żyje między ludem kaszubskim. My wszyscy powinniśmy mieć ją w pamięci i niezapominać o Pomorzu. Obowiązek narodowy nakazuje nam ratować znajdujące się tam jeszcze zabytki i szczątki ludowości naszej, ongi wielkiej i potężnej, z której dziś pozostały tylko okrucy i strzępy, nakazuje nam to obowiązek i honor narodowy.

# ROZMAITOŚCI.

## O kobiecie i małżeństwie.

Z notat Seweryna Goszczyńskiego.

Istnieje wielu przeciwników ogłaszania drukiem pism niewydanych za życia autorów. Stanowisko swoje tłumaczą tem, że autor widocznie nie chciał, by dzieło jego ujrzało światło dzienne. Może to w niektórych wypadkach być słuszne, ale nie zawsze. W tego rodzaju sprawach nie dosyć jest chcieć, ale jeszcze móżdż trzeba; nieraz brak funduszków, brak wydawcy stają na przeszkodzie, a i śmierć niespodziewana może zaskoczyć autora przy pracy i dzieło do którego wielką nawet przywiązuje wagę, nieskończone, pozostaje w pośmiertnych papierach. Choćby „Myśli“ Pascala za przykład tego rodzaju służyć mogą. Zresztą, czyż w tym wypadku z wolą autora liczyć się trzeba? Puścizna po nim literacka staje się własnością publiczną: społeczność, jeżeli nie zaraz, to po pewnym czasie, ma do niej prawo, ma prawo domagać się istniejących materyałów, na których podstawie poznać może bliżej, ocenić wszechstronniej tego, kogo ukochała, kto za życia myślał, uczuciem i czynem jej kierował. Obawa przed tem, aby ta puścizna, czy ze względu na wartość literacką i naukową, czy też ze względu na to, że inne nieco światło rzucić może na osobę autora, to jest legendę o autorze (boć każdy autor ma swoją legendę) zmienić, nie obniżyła autora w opinii społeczności, obawa ta powtarzam, jest płonna. Nie chodzi przecież o nic innego, jak o dokładne poznanie autora ze wszystkimi jego zaletami i wadami, z cechami charakteru jego wzniosłemi, ze słabostkami nawet.

Żeby autora dobrze poznać, trzeba go poznać w rozmaitych warunkach: zarówno wtedy, kiedy pisał dla innych, jak i wtedy,



kiedy dla siebie pisał, kiedy nad sobą pracował. I dla tego korespondencje, dzienniki, notaty, stanowią cenny, bo rzucający nie-raz nowe światło na autora, materiał biograficzny. Poznać człowieka, to zadanie trudne, tem trudniejsze, jeżeli na publicznej występuje arenie. „L'homme est divers et ondoyant,“—pisał Montaigne; tę różnorodność i zmienność człowieka, która zarówno stosuje się do ludzi wogóle jednych w zestawieniu z innymi, jak i do każdego człowieka w szczególności, w pewnych, takich czy innych warunkach, uwzględnić trzeba, a przynajmniej uwzględnić jest do-brze, by sąd wyrobić sobie sprawiedliwy i zgodny z prawdą.

Notaty autora zbierane w celu pewnym określonym, z innego jeszcze punktu widzenia są ciekawe i pouczające. Chwytamy go jakby na gorącym uczynku, w chwili kiedy tworzy, widzimy, jak myśl pewna powstaje, rozwija się i dojrzewa.

Z notat po Sewerynie Goszczyńskim, znajdujących się w archiwum Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu, wyjmuję dzisiaj rozdział *O kobiecie i małżeństwie* i sędzę, że czytelnika zainteresować powinien temat, ze względu na osobę tego, kto w kwestyi kobiecej wypowiada się; biografowi zaś przyszłemu Goszczyńskiego, materiał, jaki niniejszem do wiadomości podaję, na coś równie przydać się może. Uprzysiężenie tego materiału naukowego, podanie do wiadomości publicznej myśli jednego z naszych poetów w sprawie tak ważnej, jaką jest kwestya kobieca, celem było niniejszej publikacji, której, jeżeli warunki pozwolą, ciąg dalszy w niedalekiej przyszłości nastąpi.

W Rapperswilu, na Zamku, dnia 10 września 1905 r.

KAZIMIERZ WOŹNICKI.

*Kobieta. — Ważność stosunku mężczyzny z kobietą.*

Kobieta wzmacnia mężczyznę siłą moralną, — do mężczyzny należy pomagać kobiecie, aby się utrzymywała w stanie mocy.

Kobieta jest jak skrzypce, które potrzeba trzymać w nastrojeniu, aby służyły artyście; pod tym tylko warunkiem skrzypce mogą się przydać; ze skrzypców rozstrojonych najbieglejszy artysta nie wydobędzie nic innego, tylko tony fałszywe—dysharmonię.

\*

\*

\*

Przedmiot ważny, ważniejszy niżby się zdawało. Jeżeli dla człowieka jest najważniejszą rzeczą pojąć siebie samego, zobaczyć siebie samego w prawdziwym świetle, drugim przedmiotem równie ważnym jest zobaczyć w świetle prawdy kobietę.

Interes ten jest interesem ludzkości; na mężczyźnie i kobiecie, połączonych razem, stoi ludzkość, losy ludzkości, od początku świata, aż do jego skończenia.

Jest on interesem każdej rodziny. Można nie mieć siostry, ale miało się matkę.

Interes każdego człowieka: można nie mieć żony, można już nie mieć rodziny, można być najsamotniejszym, ale gdzież jest człowiek, któryby, choć w pewnej chwili swojego życia, nie znalazł się w zetknięciu bliższym z kobietą, i, przez to zetknięcie się, nie był w konieczności zrobić dobry lub zły czyn.

Wpływ kobiety w życiu prywatnym, czy publicznym, dobry czy zły, jest niezaprzeczony. Kobieta jest człowiek, jak mężczyzna, byli razem w raju, wyszli razem z raju, i razem mogą do niego powrócić. Dwie dusze w jednym ciele. Kobieta—mężczyzna pod inną postacią. Duch, istota tej samej natury—pod inną formą. A masa na masę, masa kobiet oddzielona od masy mężczyzn, w duchu, jest albo lepszym albo gorszym—jest gwiazdą ludzkości, albo bagnem śmiertelnych wyziewów, a w każdym razie jest przedmiotem nadzwyczajnej wagi nie tylko dla lubiącego rozmyślać, ale dla powołanego żyć prawdziwie po ludzku. Z tego stanowiska czuję konieczność powiedzieć moje słowo o kobiecie. A patrzę na mój przedmiot ze świętą cześcią dla niego i przystępuję do niego, jak do matki, jak do siostry, jak do narzeczonej.

I nie trudno mi o to uczucie, bom chrześcijanin, bo moją drogą jest droga Chrystusa— a wiadomo jak był Chrystus ze swoją matką i z inemi niewiastami.

Chrześcijaństwo nie zakrywa złego, które jest w kobietach, ale chrześcijaństwo pierwsze podniosło kobietę, pokazało ją w prawdziwym świetle.

\*

\*

\*

*Kobieta.*

Kobieta jest kobietą, nie przez samą tylko organizację. Wprawdzie duch płci niema, duch kobiety jest taki sam, jak duch mężczyzny, w swojej istocie, ale przez koleje swego bytu opatrzony cechami, przymiotami właściwymi swojemu powołaniu na ziemi, a które są powodem różnicy w organizacji, co stanowi różnicę między kobietą a mężczyzną, bo różnica formy nie jest dowolnością Boga.

Kobieta z natury swojej jest więcej nadziemską, łatwiejszą do życia duchowego, uczucie wszelkiej miłości jest w niej żywsze, silniejsze, ruchy ducha są dla niej łatwiejsze, równie jak ruchy ciała, przez jego większą podatność duchowi, wskutek większej subtelności ciała, większego uduchowienia materii wiekowymi pracami ducha nad ciałem. Mogą te prace być mniejsze, ogrom materii, dany do zwyciężenia, mógł być lżejszy, ale zwycięstwo kompletniejsze, stąd światło wyższe łatwiej ją zapala, jaśniej świeci przez jej organizację; stąd żona jest nazwana gwiazdą męża; stąd Dzieło zbawienia ludzkości pokazuje nam na swojej drodze pierwsze swoje narzędzie w kobiecie, w Matce Chrystusa. O ducha kobiety zahaczyło niebo pierwszy swój promień, po którym całe światło Słowa Bożego zeszło na ziemię i który zamieniło później w drogę całego stworzenia ku Bogu.

Kobieta dla przymiotów właściwych jej duchowi i jej organizacji, jest wielkiem narzędziem Dobrego, dla tychże samych przymiotów jest również wielkiem narzędziem Złego. Zależy to od jej pochylenia się duchem w jedną lub drugą stronę, a wtedy służy piekłu, jakby służyła niebu. Pierwszy upadek człowieka przyszedł przez kobietę, o kobietę piekło zahaczyło pierwszy czarny promień, który został drogą dla całego stworzenia ku niższości; odtąd głównie przez kobietę Złe gnieździ się w ludzkości, bo znajduje swój organ w ognisku każdej rodziny, w małżeństwie.

Dla mężczyzny, najbliższy wróg po Złem, które w nim samym mieszka, jest złe w kobiecie, — najpierwsza jego powinność, po zwyciężeniu własnego Złego, jest zwyciężenie Złego, które nań uderza przez kobietę; po podniesieniu samego siebie — podniesienie kobiety.

Stąd małżeństwo jest sakramentem, jest związkiem dwóch duchów, naznaczonym przez samego Boga, jako warunek zbawienia pełnego dla mężczyzny, jako największy tryumf jego nad Złem w walce tego żywota.

Chrześcijaństwo tylko stawia nam dwa ostateczne typy kobiet — od początku świata, aż do jego skończenia — w Maryi

i w Magdalenie — kobietę najwyższą i najniższą, najwyższy i najniższy szczebel w drabinie kobiet—Oblubienicę Ducha Św. i opętana siedmiu potęgami piekła. Chrześcijaństwo pokazało nam, co może być, co powinna być kobieta. Z tego stanowiska chcę powiedzieć moje słowo o kobiecie.

\*

\*

\*

Stosunek mężczyzny z kobietą.

Rola kobiety w małżeństwie; obowiązki względem męża.

Rola kobiety w rodzinie; miłość macierzyńska.

Rola kobiety obywatelki w życiu publicznem.

Trzymanie tonu chrześcijańskiego w domu męża.

\*

\*

\*

*Kobieta — Braterstwo kobiety* (1846, 26 Czerwca).

Co to jest owo porównanie kobiet z mężczyznami w tej Epoce? Co tyle innych rzeczy zmieniających dawne koleje naszego życia? Oto widoczna dla rozumu nawet, jak Mąż nowej Epoki niszczy wszystkie tak zwane konwenanse, jak nas wyrывa ze wszelkiego fałszu. Bo ileż-to złego robiło dotąd nasze zwyczajne pożycie z kobietami, prawo ziemi, urządzające stosunki mężczyzn z nimi? To jedno nie dozwoliłoby być wielkim mężem chrześcijańskim.

Już Napoleon łamał nieraz to prawo.

\*

\*

\*

*O kobietach z powodu artykułu pani Rolland.*

Kobieta ma w społeczności te same prawa, co mężczyzna, w zasadzie ogólnej; kobieta przez istotę swoją jest to samo, co mężczyzna — jako Duch. Duch płci niema, przed Bogiem niema różnicy między kobietą a mężczyzną, — ale kobieta jako kobieta, odziana ciałem innem, aniżeli mężczyzna, z różnemi funkcjami przywiązanemi do jej ciała, ma też na ziemi właściwe sobie pole działania; są w działaniach kobiety takie, których mężczyzna spełnić nie może, są znowu w działaniach mężczyzny takie, których kobieta spełnić nie może. Bóg sam wykreślił kobiecie jej ziemskie obowiązki i prawa, dając jej organizację kobiecie tylko właściwą. Wszystko na tem, aby kobieta poznała Myśl Bożą, leżącą na niej; wyjdzie dobrze, o ile jej żądania będą zgodne z Myślą Bożą, — wyjdzie źle, jeżeli się jej zachce coś innego. Kobieta szła dotąd przeciwko Myśli Bożej, mężczyzna był jej współnikiem w tym grzechu, — źródło złego, nieszczęść ludzkich jest w ich grzechu wspólnym. Kwestya kobiety jest najważniejsza w dzisiejszem zawikłaniu ludzkości; kobieta może ją rozstrzygnąć na korzyść szczęścia ludzkości; bez stanięcia kobiety na właściwem sobie stanowisku, nic się ostatecznie nie rozstrzygnie.

Inauguracya Nowej Epoki musi być wspólnem dziełem mężczyzny i kobiety. Od kobiety począł się upadek człowieka, bez kobiety nie może być prawdziwego postępu dla człowieka, powstania z grzechu.

Kobieta jest najsubtelniejszym na ziemi dziełem Boga; stworzona ostatnia, z ciała mężczyzny, kiedy mężczyzna stworzony był jeszcze z gliny, — jest dziełem najduchowniejszem na ziemi; słabsza fizycznie, ziemią, od mężczyzny, jest obok tego mocniejsza od niego przez większą duchowość, przez większą łatwość objawienia swojego ducha, stykania się ze światem duchowym. Tablica dziejów ludzkości bez liku dostarcza przykładów, świadczących o tej prawdzie: prorokinie, czarownicy, wróżki, wieszczki i t. d. Kobieta na ziemi jest pośrednią między człowiekiem a duchem, jest dla człowieka ogniwem jedynem ziemskim, łączącym człowieka z krainą ducha, przez kobietę człowiek przychodzi z krainy ducha na świat, duch obleka się w ziemię; kobieta matka przez kobietę dziecię nie traci związku z krainą ducha, a (nieczytelne) się w ziemię; kobieta jako żona nie przestaje prowadzić człowieka tą samą drogą; małżeństwo - sakrament łączy mężczyznę i kobietę w jedno, i będą dwa duchy w jednym ciele; kobieta przez swoje małżeństwo traci swoją osobność ziemską, swoje ciało, zostaje połową męża; mąż za nią trzyma nić żywota, działania ziem-

skiego, ona za męża trzyma nić duchowną, — zasila go siłą duchowną.

I w tej roli była kobieta przez wieki, chociaż ani ona, ani mężczyzna nie wiedzieli o tem, tylko zamiast sprowadzać na mężczyznę wpływ dobrego, świata wyższych duchów, sprowadzała duchy niższe, była ciągle przewodnikiem pokus.

\*

\*

\*

Małżeństwo.

Mąż — jego rozległe znaczenie w mowie polskiej — człowiek skończony.

Niewiasta — ogólnie *niewiedząca, nieświadoma*. Mężatka — drugi mąż innej płci.

Małżeństwo jestto zaszczepienie na płożce gałązki rodzajnej.

\*

\*

\*

W małżeństwie chrześcijańskim mąż bierze od żony miękkość kobiety, jej pochopność do wzruszeń tkliwych, rzewnych a czystych, jej słodycz tonu; żona nawzajem bierze od męża energię mężczyzny, dążenie ku celom wyższym, wytrwałość w poświęceniu się i t. p. przymioty cechujące ducha prawdziwego mężczyzny. Jest to konieczny skutek prawdziwej spółki ducha, która powinna być podstawą związku małżeńskiego.

Tym sposobem stają się według słów ewangelii, dwie dusze w jednym ciełe, i tylko tym sposobem mężczyzna zostaje razem z niewiastą, niewiasta z mężczyzną, nie tracąc cech właściwych sobie, ale je dopełniając, doskonaląc, podnosząc do wyższej potęgi, zbliżając się w swoich przymiotach a wspólnych do ich pełności, do tej ich jedności, która jest w Bogu.

Stąd małżeństwo zajmuje tak ważne stanowisko w kościele Chrystusowym, czyli w społeczności chrześcijańskiej, jest policzonym do sakramentów, to jest do (opuszczone) jednym z naj-

dzielniejszych środków zbawienia; jedną z największych pomocy na drodze postępu, na drodze zbliżającej człowieka do jego ideału nadziemskiego, a drogą doskonalenia się ziemskiego, drogą jedyną, aby ów ideał osiągnąć.

\*

\*

\*

Małżeństwo-sakrament prowadzi do nieba. Mężczyzna, który chce być mężem kobiety, jako chrześcijanin, mówi jej: Ofiaruję ci moją rękę, aby cię zaprowadzić do nieba. I musi tego dotrzymać. Dotrzymuje?—Szczęście jego. Nie dotrzymuje? Cierpi i będzie cierpiał, póki nie dotrzyma.—Oto cała tajemnica małżeństwa—tajemnica doli i niedoli małżeństwa. Małżeństwo-sakrament—akt przed Bogiem, pod gwarancją Boga i potęg niebieskich.

\*

\*

\*

Małżeństwo, jest-to związek dwóch duchów w organizacji ludzkiej dla wspólnego pracowania nad wspólnym zbawieniem. Jeden bez drugiego nie dostąpi zupełnego zbawienia; stąd jeden drugiego powinien wzajemnie wspierać, podnosić; stąd płyną wszystkie obowiązki stanu małżeńskiego, a nadewszystko obowiązek wzajemnego czuwania nad sobą i pracowania wspólnego w celu wyższym, wiecznym, duchowym; stąd nakoniec związek dwóch duchów niedobrych, czyli małżeństwo niedobre, a raczej małżeństwo związane w interesie niższym, dla celu niższego—jest cudzołóstwem.

\*

\*

\*

„Dwie dusze w jednym ciele.“ Stąd zwyczaj i prawo u Żydów łączenia dwojga osób, zaręczania, w wieku prawie dziecięcym, jest głębokiej mądrości, odpowiada myśli, którą Bóg położył na małżeństwie, wspiera ją. Ponieważ małżeństwo powinno być

jednością dwojga ludzi różnej płci, wszystko więc powinno być stosowane ku temu celowi. Prawo żydowskie pojęło ten cel i upoważniło połączenie jaknajwcześniejsze dwojga osób różnej płci, przeznaczonych żyć w małżeństwie: przez takie połączenie przyszli małżonkowie poznają się do dna, przychodzą do harmonii moralnej, koniecznej w małżeństwie, przywykają wczesnie do ofiar, jakich wymagać będzie ich przyszłe wspólne powołanie; poznają wzajemnie swoją dobrą stronę, jedno drugiego, stąd wczesny gruntowny szacunek wzajemny; poznają wzajemnie złą stronę, stąd wczesne zaprawianie się do walki ze złem nieodstępny ich powołaniu, ćwiczenie się w czuwaniu wzajemnym nad sobą.

Rodzice narzeczonych grają rolę ważną w tem położeniu: narzeczeni są pod ich nadzorem, pod ich kierunkiem, rodzice dopełniają najważniejszego ze swych obowiązków, wprowadzają dzieci swoje na drogę prawdziwą małżeństwa, którą już sami doskonale znać powinni.

\*

\*

\*

### *Miłość macierzyńska.*

Matka kocha dziecię, oblewa je swoją miłością, żyje z niem miłością dla niego, nie dla swojej uciechy, ale żeby je wychować w miłości, dla miłości, nauczyć go kochać, żyć miłością. Ten powinien być cel w pieczyotach dziecka.

Matka w innem czuciu pieszcząca, jest tylko zwierzęciem i wychowuje człowieka na zwierzę, popełnia zbrodnię, używa za narzędzie swojej rozkoszy ducha, powierzonego sobie od Boga, deboszuje twór boży.

Matka chrześcijanka widzi w swoim dziecku głównie ducha jego i żyje przedewszystkiem dla dobra dziecka. Budzi w niem nasamprzód miłość do tego, co ma dla dziecka większą miłość, niż którakolwiek matka mieć może, do Boga, do nieba, do duchów wyższych, świętych, do myśli Bożej na dziecku leżącej, w życiu prywatnem, do obowiązków jego życia prywatnego. Dziecię noszące za staraniem matki, tę miłość do wszystkiego wyższego, ukocha i taką matkę, jako wyższość.



# PIŚMIENNICTWO.

J. GRABOWSKI. *Pamiętniki wojskowe*. Wydał Wacław Gąsiorowski. 1905.

We wstępie wydawca poświęcił uwagę zaletom pamiętników i dostrzegł je przedewszystkiem w tem, że Grabowski opisuje to tylko na co patrzył i co się koło niego działo, że nie robi pomyłek ani w datach ani w nazwiskach, i że pisząc, orientuje się w dziełach, które za jego czasów wyszły, a więc tem samem co kroku nowe szczegóły dorzuca. Zdaniem wydawcy, pamiętniki Grabowskiego posiadają i tę jeszcze wartość, że rozpoczynają się tam właśnie, gdzie większość innych się kończy, albo gorączkowo zmierza do ostatnich chwil tragedji Napoleońskiej. Stąd obfitość nowych szczegółów, stąd mnóstwo dotąd nieznanych epizodów. Co zaś najważniejsze w naszej literaturze pamiętnikarskiej to duch miłości i wiary w Bonapartego. Grabowski nie wziął od cesarza ani baronowskiej, ani hrabiowskiej korony, a jednak wtedy służbę swoją rozpoczynał, kiedy już przezorniejsi, bardziej wyrachowani, oglądali się poza siebie. Co nareszcie rozstrzyga o pamiętnikach Grabowskiego, to ich szczerłość i pobłażliwość dla innych. Dla tych właśnie przymiotów wydawca ogłosił drukiem pamiętniki, spoczywające prawie od trzech czwartych wieku na półkach zakładu Ossolińskich we Lwowie.

Grabowski wstąpił do wojsk polskich dopiero w 1812 r. i to jako ochotnik, a nie jako zawodowy oficer. Skończył szkoły i uniwersytet, posiadał dobrze język francuski i niemiecki i to wykształcenie pomogło mu znacznie w jego nowym zawodzie wojennym. Wypadków i kolei, przez które przechodził od początku kampanii aż do bitwy pod Smoleńskiem i wkroczenia do Moskwy, nie opisuje Grabowski wcale. Położenie jego bowiem owoczesne, jak każdego podrzędnego oficera, było tak mało znaczące, że nie

mając sposobności odznaczenia się, tonął w tłumie krociowej armii w zapomnieniu i w nieświadomości tego, co się w koło niego działo. Dla tego to pamiętniki rozpoczął od chwili, gdy z rozkazu księcia Poniatowskiego powołany został do głównego sztabu cesarza Napoleona, a to z następujących przyczyn. Już w poprzednich kampaniach dał się uczuć w sztabie głównym i przy generałach dowodzących korpusami brak oficerów, posiadających języki krajów, do których Napoleon swe wojsko prowadził. W Niemczech, Hiszpanii i Włoszech starano się powoływać oficerów, władających odpowiedniami językami i znających choć cokolwiek miejscowe zwyczaje. Francuzi mało jednak mają zdolności do nauki obcych języków. Francuzcy też oficerowie i żołnierze, skoro armia do obcego kraju wkroczyła, byli jakby niemi, jeżeli nie trafili na kogo mówiącego po francusku. Oczywiście służba w sztabach na tem najwięcej cierpiała, bo gdy oficera wyprawiono z depeszami a ten nie mógł się rozpytać o drogę, to spóźniał się, albo wpadał w ręce nieprzyjaciela. Z tego powodu w Niemczech przybierano do sztabu Bawarczyków lub Badeńczyków, w Hiszpanii zaś wyręczano się szwajcarami. Gdy jednak wojska francuskie wkroczyły do nas, wtedy już żaden oficer niemiecki ani szwajcarski użytecznym być nie mógł.

Do sztabu głównego przydzielono Grabowskiego w listopadzie r. 1812. Misye odbywane przez niego na Litwie, przy cofaniu się na Prusy i Księstwo Warszawskie, małej były wagi, gdyż armia francuska zdemoralizowana była zupełnie i jako taka bez komendy. Każdy generał, czy dowódca pułku torował sobie drogę dowolnie, szczególnie od przejścia Berezyny. Kilka jednak ordynansów w Prusach wschodnich odbył Grabowski z niemałym niebezpieczeństwem życia. Prusacy bowiem pastwili się najwięcej nad bezbronnymi żołnierzami, obdzierali rannych, chorych i zziębniętych, zabierali dobytek, mordowali zbłąkanych. Odwrót wielkiej armii odmalował Grabowski ponuremi barwami. Szczegółowo i dokładnie opisał zrabowanie kasy cesarskiej pod górami Ponarskimi. Mróz był tego dnia okrutny a mimo śniegu ślizgawica taka, że koń ostro nie kuty, pod górę nie mógł podejść. Kilkuset żołnierzy ze szczątków gwardyi pieszej francuskiej eskortowało skarb, ekwipaże cesarskie i wozy. Pojazdy te, mimo wszelkich użytych sposobów, nie mogły wjechać na górę Ponarską dla tego, że ciągnęły w największym nieładzie i jeden zawadzał o drugiego, a powtóre, że Francuzi nie chcieli kuć koni ostro, podkowy mieli bez odcelów i płaskie, a przytem wiele koni zupełnie rozkutych. Gdy powożący przekonali się, że podjazd pod górę Ponar-

ską jest niemożliwy, a Kozacy coraz gwałtowniej nacierają, zaczęli odrzynać konie od pojazdów i z końmi uciekać. Równocześnie gwardziści cesarscy, widząc kasę, odbili wieko kolbami i jęli grabić złoto w setki pakowane. Obladowawszy się dowoli, zostawili innym resztę. Wtedy do skarbów cesarskich rzucili się wszyscy, napoleondory tarzały się w śniegu. Niejeden życiem przypłacił chciwość. Rozbito cały skarb i zrabowano doszczętnie ekwipaże cesarskie. Srebra stołowe, mundury haftowane, klejnoty, tabakierki, zegarki i złoto objuczyły łupieżców tak, że niejeden ruszyć się nie mógł. Pod Wilnem i w Wilnie, żydzi spostrzegłszy u maruderów pieniądze i kosztowności, ściągali ich do siebie pod pozorem dostarczania futer, ubiorów, obuwia i koni, a podpiłych i sennych zabijali i z bogactw obdzierali. Ci zaś, którzy zdołali dostać konia, wóz, czy sił tyle mieli, by zdążyć za cofającą się armią, bywali napadani i mordowani po drogach i na noclegach, przez chłopów polskich i mieszczan.

Kto nie był świadkiem tych wypadków, ten wiary nie da temu, co się działo. Chociaż widok rannych, lub ze zmarzniętymi członkami pełzających żołnierzy i oficerów francuskich był godnym litości, to śmiech często zdejmował obojętnych na widok ich dziwacznych ubiorów, a obraz nędzy i niedołęstwa zachęcał nieprzyjaciół do obelg i poniewierania. Kozacy postępujący za armią wyglądali niemniej dziwacznie. Obarczonych łupem ledwo konie unieść mogły. Bywało, że kozak miał pod płaszczem lub burką bogato haftowany mundur generała francuskiego, w kieszeniach po kilkanaście pierścieni i zegarków i trzos złota pod siodłem. Na uchodzących z Litwy Francuzów, Kozacy nie nacierali już bardzo. Wiedzieli bowiem, że jeszcze mogą się bronić, a sami bali się utraty zdobyczy. W Prusach Grabowski odbył kilka misyj z narażeniem własnego życia. Jedynie jego znajomość języka niemieckiego ratowała go, budząc zbawienną wątpliwość w pocztmistrzach i pocztylionach co do jego narodowości.

Kampanię 1813 r. odbył Grabowski na tem samym ważnym i niebezpiecznym stanowisku. Zbliżony do cesarza, opisuje dokładnie życie jego obozowe, pod namiotem, niedaleko folwarku Neu-Burschmitz. Namiot cesarski był podwójny w pasy niebieskie i białe z drelichu. Tworzył więc w środku rodzaj pokoju z gankiem dookoła, w którym sypiał kamerdyner cesarza, Constant, mameluk Rustan i niekiedy jeden z oficerów ordynansowych. Przed namiotem dwóch szyldwachów z grenadierów gwardyi straż trzymało. W namiocie, przy wejściu, mieścił się stół dosyć duży z porozkładanemi mapami, na których wielkie, zatknię-

te szpilki znaczyły położenie wojsk, francuskich i nieprzyjacielskich. Te szpilki miały główki czarne i czerwone dla rozróżnienia łatwiejszego wojsk. W pobliżu stołu z mapami był drugi dla urzędników przybocznego gabinetu cesarskiego. Cesarz w szlafroku pikowym, białym i pantoflach, z głową obwiązaną fularem, chodził po namiocie, zaścielonym kobiercem. W głębi, t. j. w pokoju wewnętrznym, widać było łóżko żelazne i pościel. Łóżko od reszty pokoju oddzielała biała firanka. Cesarz zazwyczaj przechadzał się po pokoju z założonemi w tył rękami i zażywał dość często tabakę, która stała otwarta na stole, przyczem większą jej część rozsypywał po podłodze. Miał cesarz nieprzyjemny dla mówiących do niego zwyczaj wykrzykiwania od czasu do czasu: „hem.“ Niekiedy zdawało się mówiącemu doń, że cesarz czegoś nie rozumiał, lecz gdy zaczynał powtarzać, Napoleon przerywał niecierpliwie: „eh! je comprend bien, continuez.“ Cesarz był skąpy w pochwałach. Gdy rzekł „c'est bien,“ albo „je suis content de vous,“ to było bardzo wiele. Również był bardzo skąpy w rozdawaniu krzyżów, prócz na polu bitwy, po jakiej wielkiej batalii.

Zdarzało się to Grabowskiemu nieraz w Saksonii i Westfalii, że go brano za oficera wojsk niemieckich lub rosyjskich. Starał się też o to, aby w cedula pocztowej, oddawanej pocztylionowi, było tylko wymienione jego nazwisko bez dodatku rangi, a jeżeli ranga była wskazana, to aby nie posiadała wyjaśnienia do jakich wojsk należy. Ostrożność taka była bardzo pożyteczna, bo pocztmistrzom niemieckim zawziętym na Francuzów nie można było ufać zupełnie. Jużto co najmniej dawali pocztmistrzowie oficerom francuskim konie jaknajgorsze i złe, lub pogruchotane kolasy. Jadąc z misją do Hamburga, Grabowski uniknął wielkiego niebezpieczeństwa jedynie dzięki temu, że go wzięto za Niemca. Pocztylion, stary luzar z oddziału Schilla, biorąc go za rodaka, przyznał mu się, pokazując na nóż kuchenny, że już sam zgładził na zawsze kilku tych psów — kuryerów francuskich.

W rozdziałach opisujących kampanię 1813 r. daje nam Grabowski szczegółowe i prawdą tchnące opisy przyzwyczajęń Napoleona. Dowiadujemy się od niego, że cesarz miał tylko trzy konie, których zwykł był dosiadać. Wszystkie były rasy arabskiej, małego wzrostu, lecz pewne i dzielne. Jeden był kary, drugi siwy a trzeci wilczaty. Cesarz był zazwyczaj ubrany, jak go malują, w mundurze zielonym z kołnierzem i wypustkami ponsowemi. Mundur był z przodu wykrojony, tak że kamizelka biała, pikowa z kieszonkami występowała. Spodnie nosił białe, kaszmirowe, buty podpalone, ostrogi srebrne przypinane, surdut szary,

cywilny na mundurze i kapelusz stosowany z kokardą i pętlicą czarną. Na piersiach nosił gwiazdę legii honorowej, krzyż srebrny legii i wstążki korony żelaznej, przy boku szpadę. Cesarz jeździł zwykle stępą lub galopem, rzadko kłusem. Około godziny 10 rano, cesarz zatrzymywał się na jakim wzgórku lub nad drogą, wówczas podawano mu bułkę chleba, ser i kubek czerwonego wina lub trochę koniaku. Niekiedy cesarz się nawet nie zatrzymywał, tylko jadąc spożywał śniadanie. Cesarz jadł obiad około szóstej, czasem i później, rzadko rychlej. Jadł zaś mało i szybko. Obiad złożony był z zupy, kawała mięsa, jarzyny, pieczystego, sera i wina burgundzkiego, chambertina. U stołu siedział najwyżej dziesięć minut, poczem podawano mu kawę czarną, którą bardzo lubił. Po obiedzie cesarz przechadzał się po pokoju i dyktował marszałkowi Berthier rozkazy, które tenże, lub który z sekretarzy, notował. Wkrótce po obiedzie cesarz się rozbraiał i kładł się do łóżka. Około godziny dwunastej w nocy przybywały raporty marszałków i dowódców wojsk; budzono zaraz cesarza, ten wstawał natychmiast i czytał je. Opowiadano Grabowskiemu, że cesarz potrzebował mało snu i używał go do woli, to jest, że skoro się położył, usypiał natychmiast, a przebudziwszy się, wstawał i miał odrazu zupełną przytomność.

Opisy bitew w pamiętnikach Grabowskiego nie wielką mają wartość i ratuje je tylko to, że są bezpretensjonalne. W ostatnim dniu bitwy lipskiej Grabowski spotkał ks. Józefa i tak to zdarzenie opisuje: Przyjechawszy na karym koniu z jednym oficerem, książę pozdrowił mnie uprzejmym ukłonem głowy i zapytał gdzie jest cesarz? wskazałem mu. Książę zsiadł z konia i poszedł do cesarza na piętro domku. Ja zostałem w sieni. Po chwili książę zeszedł i podaną mu przez ordynansa fajkę chciał zapalić. Postrzegłszy to, wpadłem do kuchni gospodarza, chwyciłem obcęgami za węgielek i na fajkę (stambułkę) księciu włożyłem. Książę podziękował mi uprzejmie słowami: „dziękuję ci, bywaj zdrów!“ zaczął na konia siadł i napowrót jechał się przeciskać ku Lipskowi. Twarz księcia była blada i widać na niej było smutek i ponurość. Postawa jednak księcia wspaniała, determinowana, była znakomita. Poniatowski miał wówczas na sobie mundur generalski polski, spodnie szare z lampasami karmazynowymi, gwiazdę legii honorowej i wojskowego krzyża, kapelusz stosowany i burkę, którą trzymał ordynans, bo ją książę zdjął wchodząc do cesarza. Już więcej tego bohatera nie widziałem, lecz mnie to do dziś dnia cieszy, że mu podałem ognia do ostatniej fajki, którą wypalił.

Grabowski opisuje także kampanię 1814 r., lecz do historii wojskowej nie dodaje żadnego ważniejszego szczegółu. Dla czytelnika będzie mieć rzeczywisty interes opis spotkania się z Kościuszką. Fakt spotkania się był wiadomym i opisywanym przez innych, ale żywość i szczegółowość opisu nadaje mu w każdym razie pewną wartość. Pewnego dnia, pisze Grabowski, nasi ludzie ze szwoleżerami gwardyi, wyprawieni na szukanie owsa i siana, szli do wsi Berville, niedaleko Fontainebleau i tam w jednej ze stodół zastawszy siano wpakowali je na konie. Na to nadchodzi staruszek niskiego wzrostu, siwizną głowy ozdobiony, a odziany w kapotę, czyli wołoszkę szarą z polskimi pętlcami i prowadzony przez dwoje dzieci, które go niemal ciągnęły do miejsca, gdzie na konie ładowano siano. Po chwili, gdy starzec usłyszał, że żołnierze po polsku mówią, odzywa się do nich także po polsku, żeby siano tego nie brali, że jest ono całym majątkiem biednych ludzi. Zastanowili się nasi żołnierze, a jeden z nich się odzywa: a któż pan jesteś? Jestem generał Kościuszeko, odpowiada staruszek. Na to oni czapek uchyłili z uszanowaniem, a mój sługa, który był śmielszy rzecze: lecz jw. generale, nasze konie są bez furazu i niemogą wracać bez paszy. Znajdziecie ją gdzieindziej, moje dzieci, ale nie bierzcie w tej wsi, gdzie mi dali przytułek i gdzie mieszkam, odrzekł Kościuszeko. A to niech nam jw. generał pokaże gdzie jest furaz. Tego nie mogę uczynić i zresztą niewiem. Żołnierze mimo tego na się wejrzeni i jednocześnie siano z koni zrzucili chcąc próżno odjechać. Kościuszeko ich wtedy do siebie zaprosił i przed swym domem winem poczęstował. Gdy nasi ludzie powrócili do Fontainebleau, zaraz nam to opowiedzieli. Wówczas generał Krasiński zebrał oficerów i postanowił, że należałoby odwiedzić generała Kościuszkę, który tak blisko mieszka. Przystaliśmy na to wszyscy i liczny orszak oficerów wraz ze szwadronem szwoleżerów gwardyi ruszył do Berville. Generał Krasiński przemówił do Kościuszki wymownie i zaczął mu przedstawiać oficerów. Gdy Kościuszeko przypomniał sobie jakie nazwisko, nadmienił, że znał ojca lub dziada. Był z nami pułkownik Madaliński z pułku ułanów Księstwa Warszawskiego. Gdy go wymieniono, Kościuszeko się rozrzewnił, mówiąc: znałem twego ojca, był to prawy Polak i odważny żołnierz. Madaliński pokazał mu pierścień, który Kościuszeko dał jego ojcu w r. 1794, uściskał go Kościuszeko i wszystkich oficerów kolejno. Zapłakany był i rozrzewniony wielce. Widać było, że staruszek prawie w dzieciństwie był, bo tylko płakał i mało co mógł mówić. Odjechalśmy rozrzewnieni i dzień ten głęboko wrył się w nasze serca.

Pamiętniki Grabowskiego zdobywają czytelnika swoją prostotą, szczerością i bezpretensjonalnością. Możemy być więc tylko wdzięczni wydawcy, że je odszukał i wydobył z pyłu Ossolineum. W każdym razie, dla swego wydawnictwa poświęcił pan Gąsiorowski za wiele szczegółowej, a przez to nieco zbyt technicznej staranności. Pamiętniki niższych oficerów posiadają zazwyczaj zbyt mało powagi militarnej, aby z nimi polemizować a nawet porównywać je z pamiętnikami lub pracami historycznymi innych pisarzy. Wydawca zaś w odsyłaczach podaje zdania dość obszerne innych pamiętnikarzy, lub wypisy dość długie z historyków francuskich. W odsyłaczach swych wydawca poinformował mylnie czytelnika, że Dominik ks. Radziwiłł zmarł w r. 1818. Zmarł on bowiem wkrótce po bitwie pod Hanau (1813), skutkiem odniesionej, ciężkiej kontuzji. Następnie, dla pomyłek pamiętnikarza, wydawca za daleko posuwa swą pobłażliwość, utrzymując jego pisownię nazwiska Davouta. Książę Auerstädtu i Eckmühl nie podpisywał się „Davoust“ lecz „Davout.“ Zmarł w Egipcie inny generał francuski, który się podpisywał „Davoust.“ W końcu i skorowidz encyklopedyczny, taki jakim go uczynił wydawca, uważam za zbyt techniczny. Czy bowiem w pamiętniku niższego, czy wyższego oficera jest potrzebnem objaśnienie, że np. Wisła jest rzeka w Polsce, a Bzura dopływem Wisły? zwłaszcza, że w tym samym skorowidzu nazwano Pradta biskupem malińskim, kiedy był on arcybiskupem mechlińskim, tak bowiem przetłómaczono na polski archidiecezję Malins.

A. R.

---

SŁOWACKI JULIUSZ. *Anhelli*. Opracował do użytku szkolnego prof. dr. Wiktor Hahn. Brody, nakł. i druk. F. Westa. 1905, str. 96.

Jedną z najgłębszych kreacyj poetyckich Juliusza Słowackiego, której tytuł radził wyrzeć na nagrobku autora Zygmunt Krasieński („Autorowi Anhellego“) i która jego zdaniem „wystarczy dla zapewnienia mu (Słowackiemu) sławy na pokolenia przyszłe“— ukazała się świeżo w wydawnictwie „Arcydzieł polskich i obcych pisarzy,“ wydawanych staraniem Feliksa Westa w Brodach. Wydawnictwo to przeznaczone jest „dla użytku szkolnego.“ Owo jednak opracowanie „szkolne“ Anhellego, dokonane przez dra Wiktora Hahna, powita z radością każdy miłośnik literatury oj-

czystej, a w szczególności zajmujący się badaniami nad twórczością Słowackiego.

W opracowaniu „Anhellego“ — w artykule wstępnym i objaśnieniach — dr. W. Hahn nie tylko streścił najnowsze dane, dostarczone przez ogłoszenie w roku 1891 nieznanego do tego czasu „Dziennika podróży“ Słowackiego na Wschód, a w roku 1902 listu poety do Konstantego Gaszyńskiego (z dnia 22 maja 1839 roku), który okazał się niezmiernie cennym komentarzem do zrozumienia poszczególnych rozdziałów „Anhellego“ (dr. Hahn przedrukował ów list w całości na str. 5 — 10 omawianej pracy), — nie tylko uwzględnił najnowsze badania I. Matuszewskiego, H. Monata, M. Zdziechowskiego, Z. Daszyńskiej-Golińskiej, J. Tretiaka i innych, lecz i dodał od siebie sporo nowego, sam bowiem w osobnych pracach specjalnie się zajmował wyjaśnieniem niektórych kwestyj spornych z „Anhellego“, że wymienię tu dwa przyczynki, ogłoszone drukiem w roku 1903: „Wincenty i Bonawentura Niemojowscy w Anhellim“ („Gazeta lwowska;“ też odbitka), i „Książd Adam Stanisław Krasiński w Anhellim“ (Słowo polskie).

96-cio-stronicowa in 8-o książka zawiera następujące działy: artykuł wstępny (czas powstania poematu, geneza poematu, idea zasadnicza poematu, charakterystyka postaci; str. 3—25), najważniejsze opracowania „Anhellego“ (bibliografia, str. 26), tekst poematu (podług pierwszego paryskiego wydania z roku 1838, str. 27—71), objaśnienia wydawcy (str. 71—72), przegląd treści poematu (str. 73) i objaśnienia (str. 76—96). Nadmieniamy tu przy sposobności, iż uczuwa się dotkliwie brak „spisu treści;“ uwzględnić go potrzeba będzie koniecznie przy powtórnem wydaniu.

Z zadania swego wywiązał się dr. Hahn — pominąwszy kilka drobnych usterek, o których niżej — bez zarzutu. A zaopatrzenie komentarzem „Anhellego“ nie było zadaniem łatwym, zważywszy, że interpretacya tego utworu zawsze nastęrczała wiele trudności. Z omawianej przez nas pracy odniesie niewątpliwie znaczną korzyść nie tylko młodzież szkolna, dla której przede wszystkim wydanie to jest przeznaczone, lecz i szersza publiczność, wśród której zainteresowanie Słowackim wciąż się wzmagają. Znajdzie tu również nieco nowego dla siebie i badacz fachowy.

Na zakończenie pozwolimy sobie jeszcze uczynić parę uwag, wywołanych „objaśnieniami“ d-ra Hahna.

Na str. 13 pisze dr. Hahn: „Całą tę część (jaką? czy rozdz. 7—9 „Anhellego?“) każe nam poeta uważać za sen, w rozdz. 9 mówi bowiem, co następuje: „I przekonany był Anhelli, że *widzenie kopalni* snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wy-



szedł;— na str. zaś 87 (w objaśn. do wiersza 667) pisze: „Słowa poety, że widzenie kopalni było jakoby snem Anhellego, każą nam uważać całą wędrówkę Szamana z Anhellim za fantazyę poetycką.“ Jest tu, zdaniem naszym, pewna niedokładność, nieścisłość; raz pisze dr. Hahn: „każe nam poeta uważać *za sen*,“ to znów „*za fantazyę poetycką*;“ wszak fantazyą poetycką jest cały utwór; rozumieć zaś, że owe sceny w kopalniach (rozdź. 7—9) są jakimiś innemi, niż pozostałe, nie pozwalają wyrazy poety: „I *przekonany* był (Anhelli), że widzenie kopalni snem było...“ Więc był tylko „przekonany“ i dla tego „albowiem *nie wiedział* jak z nich wyszedł;“ a nie wiedział znów dla tego, że scena jakiej był świadkiem (ojciec katowany przez synów) uczyniła na nim wielkie wrażenie, tak, iż wówczas Szaman „spojrzawszy na Anhellego“—zapewne, aby mu oszczędzić przykrego widoku — „nakrył mu głowę połą szaty swojej. I kazał się *wynieść duchom niebieskim*, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy. I przekonany był...“ (jak wyżej). Tę interpretacyę potwierdzają również słowa następującego rozdziału (10): „A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim *powracali z wędrówki podziemnej*“ (w. 737—738), t. j. z kopalni.

Nie rozumiemy dla czego dr. Hahn usunął pisownię *zhańbiony* (str. 71) a pisze *shańbiony* (wiersz 858); wszak pisownia *zhańbiony* jest zgodną zarówno z pisownią Akademii Umiejętności (por. „słowniczek“ przy *Prawidłach pisowni polskiej*), używaną w szkołach galicyjskich, jak i z pisownią nie-akademicką (por. A. A. Kryński *Gramatyka języka polskiego*, wyd. 2, § 369), wreszcie pozostaje w zgodzie z wymową większej części inteligencji polskiej.

Niewystarczającym jest też objaśnienie: „zakończenie *e* w 1 przypadku liczby mnogiej, np. *wyгнаńce*, pod wpływem analogii form: *mędrce*, *starce* (str. 71?). Wszak i tu i tam formy z *e* powstały drogą analogii. W przytoczonej cytacie poprawiliśmy: „w 4 przypadku“ — jak wydrukowano — na „w 1 przypadku“ [por. „Przyszli *wyгнаńce* na ziemię... (wiersz 1), ... „nie śmieli mu odpowiedzieć *wyгнаńce*...“ (w. 128) i t. p.]. Niewątpliwie błąd to drukarski. Wogóle korekta książki pozostawia wiele do życzenia (por. też np. na str. 90 w. 755: *skostniały* zam. *skościaty*, skutkiem czego objaśnienie niezrozumiałe i t. d., i t. d.); paginacja — również: po str. 71 trzy najbliższe bez paginacji, a po nich numerowanie rozpoczyna się od cyfry 73 zamiast od 75...

Na str. 85 (objaśnienie do w. 567) pisze dr. Hahn: „Na Sybirze przebywał (Tomasz Zan) od r. 1824—1839 w Orenburgu...“

Powinno być np. „w głębi Rosyi...“, gdyż Orenburg ani geograficznie (obszar Uralski), ani administracyjnie (Rosya europejska) do Syberyi nie należy.

Wymienione drobne usterki nie ujmują bynajmniej wartości omówionego przez nas wydawnictwa; wskazaliśmy na nie przez wzgląd na następne wydanie, na które niewątpliwie długo czekać nie będziemy, całość bowiem wykonana została bez zarzutu, rzecz zaś sama nader pożyteczna. Za opracowanie więc krytyczne „Anhellego“ należy się d-rowi W. Hahnowi prawdziwa wdzięczność.

HENRYK UŁASZYN.

## Z inflanckiej literatury historycznej

głos poważny historyka inflanckiego o mszale i brewiarzu rz.-katol. z późnego średniowiecza.

HERMAN br. BRUININGK: *Messe und kanonisches Stundengebet nach dem Brauche der Rigaschen Kirche im späteren Mittelalter*. (Ryga 1903 i 1904 r., ogłoszone w „Mittheilungen aus der Geschichte Liv-Est- und Kurlands“, tom XIV, a także w osobnej książce, wydanej w końcu 1904 r. w Rydze, stron 656 w sporej 8-ce).

Autor (były prezes wieloletni Towarzystwa historyczno-archeologicznego, „Gesellschaft für Geschichte und Altertumskunde der Ostseeprovinzen Russlands“) Herman br. Bruiningk, który już niejednokrotnie wzbogacał historyografię inflancką prawdziwie gruntownymi badaniami, nietylko z zakresu inflanckiego przemysłu artystycznego i sztuki nadbałtyckiej, ale i dziejów Kościoła w dawnych Inflantach, <sup>1)</sup> — daje w pracy przytoczonej w nagłów-

<sup>1)</sup> Oto szereg prac autora z tegoż zakresu wiedzy:

1. Die Altäre der Domkirche zu Riga im Mittelalter (Sitz-Ber. 1901, 8 — 13).
2. Die Schutzheiligen der Schwarzhäupter in Riga (Sitz-Ber. 1901, 33 — 35).
3. Die Frage der Verehrung der ersten livl. Bischöfe als Heilige (Sitz-Berichte 1902, 33 stron w osobnej odbitce).
4. Der Einfluss der Heiligenverehrung auf die Wahl der Taufnamen in Riga im Mittelalter (odbitka z Sitz-Ber. für 1902).
5. Ein liturgisches mittelalterliches Bronzebecken in Riga (Sitz-Ber. z r. 1902, stronie 42).
6. Zur Frage der Seligsprechung Bischof Bernhards zur Lippe (Sitz-Ber. 1900, str. 147 — 153).

ku cenny przyczynek do dziejów liturgii w archidiecezyi ryskiej z końca średniowiecza.

Książka ta, nader umiejętnie skreślona, jest tembardziej pożądaną im skąpsze są wiadomości, dotyczące wewnętrznych stosunków Kościoła w kolonii zachodniej nad Bałtykiem.

Ale i z innego względu należy powitać to dzieło radośnie. Dowodzi bowiem już samo jego ogłoszenie, jak żywy interes budzi w prowincjach nadbałtyckich nawet po dzień dzisiejszy przeszłość rzymsko-katolicka siedmiowiekowej Rygi. To też przyczyni się książka p. Bruiningka niezawodnie do tego, że przy dokładniejszym zapoznaniu się z dawnym tutejszym życiem katolickim, podniesie się także sprawiedliwa ocena działalności Kościoła powszechnego na tych oddalonych kresach.

A ponieważ praca autora ujrzała światło dzienne w poczynnych „Mittheilungen aus der Geschichte Liv- Est- und Kurlands,“ należy przypuścić, że i w szerszych kołach nadbałtyckich wzrasta coraz bardziej zainteresowanie się do kościelnych starożytności Rygi. Lubo rękopiśmienne skarby liturgiczne tylko w skromnej liczbie przechowały się w grodzie naddźwińskim, istnieje tu moc wielka wczesnych druków, a tych umiejętnie wyzyskanie nie małej jest wagi przy poważniejszych badaniach, poświęconych stosunkom przedreformacyjnym tutejszym.

Na podstawie rękopiśmiennego mszału z ołtarza św. Krzyża katedry ryskiej z końca XIV a początku XV stulecia, oraz jednego drukowanego brewiarza z roku 1513, przedstawia nam br. Bruiningk w sposób przejrzysty i jasny ówczesne nabożeństwa mszalne i chóralne Kościoła w ich najdrobniejszych szczegółach, opowiadanie zaś swoje opatruje stale w komentarz naukowy prawdziwie uczony i wyczerpujący.

A że książkę swą przeznaczał autor dla kół protestanckich, mających niewystarczające pojęcia o obrzędach rzymsko-katolickiego kościoła — zniewolony był rozszerzać znacznie zakres swego studyum, dotykając co chwila: już-to ogólnych, już poszczególnych źródeł liturgiki, rozmaitych rodzajów Mszy świątłych i żałobnych, ofiary mszalnej wogóle, dziejów brewiarza katolickiego, obowiązku odmawiania onego i t. d.

W tych wszystkich szczegółach wykazuje autor niezwykłą rutynę i biegłość, głębokie zrozumienie przedmiotów liturgicznych, a także niepospolitą znajomość obszernej literatury liturgicznej.

Osobliwszy los zdarzył, że z nieskończonej liczby ksiąg liturgicznych z czasów katolickich, które w ciągu trzech stuleci co-

dziennie tu służyły do nabożeństwa, jako to: z licznych kalendaryów, czyli tak zwanych „rubryceli,“ mszałów, lekyonaryuszów, brewiarzy, martyrologij, ksiąg rytualnych, agend i t. d. nie pozostało w prowincjach nadbałtyckich innego śladu, jak tylko jeden mocno zużyty mszał rękopiśmienny z ołtarza św. Krzyża w tunie ryskim, oraz większa część brewiarza, drukowanego w r. 1513 dla archidiecezyi ryskiej aż w Amsterdamie, gdyż w owych czasach nie posiadał jeszcze gród naddźwiński ani jednej drukarni. <sup>1)</sup>

Mszał jest pięknym rękopisem, wykonanym po części w końcu XIV a przeważnie w pierwszych latach XV stulecia, i służył stale do nabożeństwa od roku 1424 aż do upadku arcybiskupstwa ryskiego w drugiej połowie wieku XVI. Kalendaryum, czyli t. zw. „rubrycela“ w nim dodana, przepisana jest oczywiście ze wzoru dawniejszego, gdyż podaje tenże porządek uroczystości kościelnych, jaki w ciągu wieku XIII bywał stale w użyciu.

Z tych jedynych szczątków zestawia p. Bruiningk wszystko, co tylko być może godnem uwagi dla historyka kościelnego. Szczegóły pouczające, ugrupowane nader logicznie, zdołał autor prawdziwie umiejętnie oświetlić i uzasadnić na podstawie materiałów rękopiśmiennych najrozmaitszych, które do swej pracy tak zręcznie umiał wciągnąć, że czytelnik jest w stanie uprzytomnić sobie całkowicie ówczesne życie kościelne w dawnych Inflantach, a w szczególności w Rydze.

Ponieważ Ryga, w pierwszych trzech wiekach swego istnienia, ściśle była złączona z macierzystym Zachodem, mianowicie z Lubeką i Bremą, a następnie liczyła Warmię i Chełm do swoich sufragani, — przeto z opisów autora wypływa także nie mało korzyści i dla studyów Kościoła w dzisiejszych Niemczech, jak na to już zwróciła uwagę „Literarische Rundschau für das katholische Deutschland,“ lubo osobliwsze stosunki ówczesne w Inflantach, jako kolonii zachodniego chrześcijaństwa i głównej siedziby zakonnego państwa związkowego, już same przez się dodają studyom historycznym tego rodzaju ogólny interes i znacznie pod-

<sup>1)</sup> Pierwszą drukarnię, jaką Ryga ujeżdzała w swych murach dopiero w r. 1588, zawdzięcza miasto znanemu w dziejach Polski pisarzowi miejskiemu Dawidowi Hilchenowi, połączonemu ścisłymi węzłami przyjaźni z Janem Zamoy-skim, który swój Zamość znakomitą opatrzył drukarnią. Wróciwszy z Zamościa do rodzinnej Rygi w r. 1585, marzył bezustannie 25-letni Dawid Hilchen o założeniu takiejże drukarni w swem mieście rodzinnem, co też w r. 1588 za pomocą rady miejskiej udało mu się dokonać. (Ob. H. J. Büthführ: „Die Rigasche Rathslinie,“ Ryga, 1877 r., str. 155 i n.).

noszą ich urok. To też dzieło pana Bruiningk'a czyta się z prawdziwym zajęciem od początku do końca.

Nasz badacz inflancki sprawia na czytelniku wrażenie mędrca, którego jasnego umysłu nigdy ani tknęły jakiekolwiek uprzedzenia wyznaniowe. Wyraża on swój podziw dla godzinnych modłów (*horae canonicae*) i nazywa je otwarciem „prawdziwym arcydziełem liturgicznym“ (Ob. str. 128-ną dzieła). Przyznaje też, a nawet zaznacza z naciskiem, że w odwiecznym mszale ryskim z ołtarza św. Krzyża (jaki w tej pracy wciąż komentuje), wyraża się z zupełną konsekwencją najzupełniejsza różnica w czci oddawanej Świętym Pańskim, a adoracyi, należnej tylko samemu Bogu. <sup>1)</sup>

Ze szczerem uznaniem rozprawia p. Bruiningk o pobożnej gorliwości ówczesnego ludu ryskiego, o życiu jego duchowem, o wierze żarliwej i usposobieniu religijnem, które macierzystemu Zachodowi w niczem nie ustępowały (Ob. str. 144-tą dzieła); zaznacza także stałe starania władzy duchownej o podtrzymywanie powagi w nabożeństwie, o zaszczipianie prawdziwej pobożności w stanie kapłańskim, o zaprowadzanie w parafiach dobrej katechizacyi ludu. Co chwila wspomina z uznaniem o licznych fundacyach, ustanawianych na intencyę żywych i umarłych przy najrozmaitszych ołtarzach, których przeszło 30 wylicza w tumie ryskim a 33 w kościele św. Piotra, oznaczając ściśle miejsca, na których się owe ołtarze niegdyś tu wznosiły. Rozprawia także o 16-tu imnych kościołach i kaplicach średniowiecznej Rygi, dając przegląd ich ołtarzy tudzież ustanowionych przy nich wikaryj.

Tekst wspaniałej fundacyi z r. 1520 (*Requiem und Salve-Stiftung*) podaje autor dosłownie na stronach 270 — 272 z uwagą, że w tego rodzaju fundacyach wyraża się dosadnie potrzeba religijna ludu, jako *siła dźwigająca* <sup>2)</sup>.

Zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach, które poprzedzały nieszczęsne rozdzielenie wyznaniowe wieku XVI, dostrzega bezstronny autor nieprzeparte dowody wzmagającego się stale wzlotu górnego i coraz to doskonalszego kierunku religijnego.

<sup>1)</sup> Różnicę, pomiędzy wyrażeniami *veneratio* i *adoratio* uwydatnia i uzasadnia autor znakomicie na stronach: 76-ej i 77-ej swego nader zajmującego dzieła.

<sup>2)</sup> Uwagę tę umieszcza autor na str. 57 swego dzieła w słowach: „In diesen (Stiftungen) gelangt das religiöse Bedürfniss des Volkes gewissermassen als *treibende Kraft* zum Ausdruck.“

Uznaną przez arcybiskupa Kaspra Lindego (rządził od r. 1509 do 1524) potrzebę wydania dla dawnych krajów inflanckich starannie opracowanego brewiarza, poczytuje autor za nowy dowód gorliwości pasterskiej prawdziwie przykładnego dostojnika Kościoła, która w niczem nie ustępowała znanej żarliwości religijnej jego poprzednika na tymże tronie arcypasterskim, Michała Hildebranda (rządził od r. 1484 do 1509) i całego ówczesnego kleru ryskiego wraz z sufraganią biskupstwa ozylijskiego, jaką w latach 1491 — 1515 zajmował biskup Jan Kiewel, a od r. 1515 — 1527 biskup Jan Rutenberg, na których to pasterzy piękną i owocną działalność nowy snop światła rzucają pilne studia archiwalne, dokonywane ostatnimi czasy w „wiecznem mieście,“ odkąd, Bogu dzięki, Archiwa watykańskie dostępne są dla każdego, jak każda niemal publiczna biblioteka. <sup>1)</sup>

Temu wzniosłemu życiu — jakiem w owych czasach tętnił Kościół powszechny w Inflantach, na co obecnie liczne a nieprzeparte dowody posiada nauka historii inflanckiej — odpowiadają całkowicie wyniki badań najnowszych, które nas pouczają, „że we wszystkich biskupstwach inflanckich“ — są słowa pana Bruiningk'a — „i w krajach krzyżacko-inflanckich (nawet po wkroczeniu do nich reformacji luterskiej) nie mała liczba duchownych pozostała wierną wyznaniu rzymsko-katolickiemu, zwłaszcza członkowie kapituł biskupich, ale nie oni jedni.“ (Ob. str. 6, przypisek 1-szy).

---

<sup>1)</sup> W pięknym studyum prof. Stanisława Smolki pod tytułem: „Wspomnienie o Leonie XIII“ (Kraków, 1904 r.), czytamy na str. 25-ej i 26-ej: Kilka tygodni temu, jednemu z historyków, przebywających w Rzymie, danem było usłyszeć z ust Piusa X następujące słowa: „Jest to moją niezłomną wolą, by w sprawie korzystania z Archiwów watykańskich wszystko pozostało tak, jak postanowił zmarły papież. W tym duchu wydam też polecenia prefektowi Archiwum, kardynałowi Segna. Otwarcie Archiwum watykańskiego jest niewątpliwie jednym z największych czynów Leona XIII. Archiwum będzie otwarte także nadal, bo to może tylko Kościołowi przynieść pożytek i błogosławieństwo. Prawdy niepowinno się obawiać.“ W dalszej zaś rozmowie ze znakomitym autorem *Historii Papiestwa* dodał Pius X następujące słowa, jakby wyjęte z ust swego poprzednika: „W historii swej wykazałeś zupełnie słusznie także ludzkie słabości papieży. Jestem pewny, że to szkodzić nie może. Słabości te, są to jak gdyby chmury, zakrywające słońce, które z po za nich tem wspanialszym świeci blaskiem.“ O trafności uwagi powyższej przekona każdego zajrzenie do strony 44-ej omawianej tu książki Bruiningk'a oraz do strony 88-ej pracy H. Hildebranda p. t.: „Arbeiten im Vatikanischen Archiv i t. d. im Jahre 1875/76.“

Już w statutach prowincjonalnych synodów inflanckich z lat 1428 i 1437 przebiega — zdaniem autora — zdrowy a silny duch religijny <sup>1)</sup>. Zakony, zwłaszcza Cystersów, Franciszkanów i Dominikanów rozwijały się i kwitły tu stale, a nie znajduje autor najmniejszych śladów, chociażby tylko chwilowego antagonizmu pomiędzy nimi a kapitułami biskupów i arcybiskupa.

Tak więc znajdujemy w tem nowem dziele pana Bruiningk'a wiele ciekawych i pięknych ustępów, których nie szpeci żaden ton fałszywy. A znajdujemy tu nietylko cenne i nader urozmaicone notaty historyczne, ale także dosłowny przedruk całkowitych dokumentów prawdziwie pouczających, jako to: przedruk ówczesnego kalendarza kościelnego, licznych uchwał biskupich, modłów kościelnych i mszalnych i t. p., pomiędzy ostatnimi przepiękne officium rymowane ku uczeniu św. Józefa Oblubieńca, dotąd liturgikom nieznanem.

Nabożeństwo do św. Józefa wprowadzono w Rydze już w pierwszej połowie XV stulecia. Konfraternia pobożnych, na której czele stał ruchliwy proboszcz tumu ryskiego, Ferdynand Nagel, już w dniu 2 lutego 1447 roku wznosi w tej odwiecznej katedrze ku czci św. Józefa ołtarz pod tytułem „U źłobka Chrystusowego,“ a przy tymże ołtarzu ustanawia fundacyę wiecznie tam odprawiać się mających mszy żałobnych śpiewanych, aż przez czterech z rzędu kapłanów. Ciekawym jest także szczegół, że uroczystość św. Józefa Oblubieńca obchodzoną bywała w Rydze z dziewięciu lekcyami i to nie 19 marca, ale w dniu 15 stycznia. O sto lat wcześniej obchodzono w tejże katedrze dawno tu ustaloną uroczystość św. Anny.

Powód do obu tych uroczystych obchodów dostrzega słusznie autor w tej mianowicie okoliczności, że dawne Inflanty, niebawem po wprowadzeniu do nich chrześcijaństwa, uważać się zaczęły za krainę Matki Bożej, a nawet przyjęły nazwę „Ziemi Maryi“ (*Terrae Marianae*).

Rozprawiając o antyfonach maryjańskich na stronicy 163-jej swego dzieła, zaznacza p. Bruiningk, że zwłaszcza antyfona „Salve Regina“ zawdzięcza swą popularność, jako śpiew chóralny piel-

---

<sup>1)</sup> Wszystkie punkta tychże statutów tłómaczy i analizuje Ryszard Haselblatt z rzadką u protestantów bezstronnością w monografii p. t. „Kirchliche Einnahmen in Altlivland,“ ogłoszonej w „Baltische Monatsschrift“ tom XXXV, str. 169 — 185, a której ocenę znaleźć może czytelnik w „Kwartalniku historycznym,“ V, 147 — 149.

grzymujących krzyżowców w czasie ich ciężkich walk o Ziemię Maryi (*als Pilger- und Marschgesang der Kreuzfahrer in den Kämpfen um das „Marienland“*). Tamże przypomina autor czytelnikom swoim, że błogosławiony biskup Albert I, przenosząc siedzibę pasterską z Ikskulu do Rygi w roku 1202, oddał to miasto i całe Inflanty raz na zawsze pod opiekę Niepokalanej Dziewicy <sup>1)</sup>, a następnie otrzymał od wielkiego papieża Innocentego III uroczyste (lubo tylko ustne) zapewnienie, iż Namiestnik Chrystusowy zarówno jak Ziemię Świętą, jako „Ziemię Syna,“ tak samo i Inflanty, jako „Ziemię Matki,“ pieczołowitością swą ojcowską nigdy obejmować nie przestanie <sup>2)</sup>.

Tum ryski był wzniesiony pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Boskiej, tamże ołtarz wielki pod tytułem Panny Chwalebnej „*Virginis gloriosae*,“ a główny ołtarz w kaplicy Najświętszej Maryi Panny Bolesnej, pod tytułem „*Virginis dolorosae*.“ Przy tym ostatnim odprawiano od wieków co sobotę mszę oraz oficjum o Niepokalanej Dziewicy. Do posługi owego ołtarza było przeznaczonych aż siedmiu kapłanów.

Oprócz wprowadzonych zrazu sześciu znaczniejszych uroczystości maryjańskich: *Niepokalanego Poczęcia, Narodzenia, N. P. Gromnicznej, Zwiastowania i Wniebowzięcia*, obchodzono tu już dorywcześnie uroczystość *Ofiarowania N. P., Siedmiu Bolesci* oraz *Nawiedzenia*, i to nawet z osobną Wigilią.

W wigilię każdej uroczystości Matki Bożej zachowywano post w dawnych krajach inflanckich, nie z rozkazu Kościoła, ale z chwalebne go a ogólnie przyjętego zwyczaju, *ex communi consue-*

<sup>1)</sup> Obacz: Henryk Łotysz „*Chronicon Livoniae*“ VI, 4. Oryginał tej słynnej kroniki stanowi własność biblioteki Zamoyskich w Warszawie.

<sup>2)</sup> Przytaczamy tu dosłownie ustęp z Kroniki Henryka o staraniach Alberta I w Rzymie, w czasie powszechnego soboru laterańskiego z r. 1215. „*qui (scilicet Albertus) referebat tribulationes et bella et negotia Lyvonensis ecclesiae summo Pontifici, simul et omnibus episcopis. Et congaudebunt omnes de conversione gentium, simul et de bellis et triumphis multiplicibus christianorum. Et ait episcopus: Sicut, inquit, pater sancti, terram sanctam Jerosolimitanam, que est terra filii, sanctitatis tue studio fovere non desinis, sic Lyvoniam, que est terra matris, consolationum tuarum sollicitudinibus hoc tenus in gentibus dilatam, etiam hoc vice desolatam, derelinquere non debes. Diligit enim filius matrem suam, qui, sicut non vult terram suam perdi, sic nec vult terram matris utique percellitari. Cui respondit summus pontifex et ait: Sicut terram filii, sic et terram matris Paternae sollicitudinis nostrae studiis semper promovere curabimus.*“ (Loco laudato, XIX, 7).



*tudiae*, jak się wyraża autor. Każda sobota w ciągu całego roku była dniem, w którym powstrzymywano się od pokarmów mięsnych. W jednej z ustaw arcybiskupa Michała Hildebranda z roku 1503 o codziennej mszy ranej, tak zwanej *prymaryi*, przepisaniem zostało trzykrotne uderzenie w dzwon zaraz po mszy, jako pozdrowienie Najświętszej Panny Chwalebnej „*Virginis glorio-sae*“<sup>1)</sup>.

Wiernym, którzy na ten znak dzwonu odmawiali w postawie klęczącej po 3 *Zdrowaś Marya*, udzielany zostawał odpust dwudziestodniowy. Kapłanom całej archidiecezyi przepisane było na każdą sobotę oficjum ku uczczeniu Matki Bożej, odmawiane chóralnie z 9-ciu lekcjami; jedynie w razie kolizyi z największemi uroczystościami kościelnymi, wolno było owo sobotnie oficjum przenieść na dzień inny.

Mszał ryski z ołtarza św. Krzyża, przedstawiający nam najwierniej stan Kościoła powszechnego od początku XV stulecia, wykazuje w sposób niewątpliwy, że w liturgii kościelnej msze sobotnie ku uczczeniu Niepokalanej Dziewicy znane były od niepamiętnych czasów. Z licznych prywatnych fundacyj widzimy, że msze wotywnie codzienne odwiecznym zwyczajem w sobotę ku uczczeniu Matki Boskiej bywały odprawiane, a co piątek wieczorem rozbrzmiewał w tumie ryskim chóralny śpiew „*Salve Regina*,“ wykonywany przez cały kler przy wielkim napływie wiernych.

Sobór powszechny bazylejski pochwalił ten piękny zwyczaj tumu ryskiego dnia 27 lutego 1440 roku i przywiązał osobne indulgencje do odwiedzenia w tym dniu kaplicy Matki Boskiej Bolesnej w kościele katedralnym.

Oto kilka rysów wyrwanych z książki pana Bruiningk'a. Nie wyczerpują one bynajmniej wszystkiego, co nam z takim zasobem erudycyi fachowej rozpowiada jasno i zajmująco uczony protestancki historyk o czci, oddawanej Niepokalanej Dziewicy, w kraju od wieków jej poświęconym.

Ołtarze i kaplice, statuy i monety przemawiają do nas o owych czasach w sposób nie mniej wymowny jak liczne fundacye pobożne, indulgencje do nich przywiązane a także opowiadania kronikarskie, do których również odwołuje się często pan Bruiningk.

W dodatku IV, na str. 226 do 229 ogłosił autor dosłownie ciekawy ustęp „*De novis festis celebrandis*“ z brewiarza ryskiego z roku 1513, albowiem ów ustęp stanowi istotnie cenne źródło

<sup>1)</sup> Obacz w dziele tu omawianem str. 171, przypisek 2-gi.

współczesne do badań dziejowych z pierwszych lat wieku XVI. Kto tylko doń zajrzy, przekona się niewątpliwie, jak bardzo nieśluszenie i bezzasadnie usiłował zdolny historyk krakowski, p. Feliks Koneczny, podważać wiarogodność powszechnie znanego zwycięstwa, odniesionego przez inflanckiego hermistrza Plettenberga, pod Pskowem, w dniu 14 września 1502 r. <sup>1)</sup>

Pomijając całkiem tę okoliczność, że nawet źródła rosyjskie tego zwycięstwa nie podważają zgoła, zwraca pan Bruiningk nader słuszenie uwagę czytelnika na przytoczony przez siebie ustęp ze współczesnego brewiarza inflanckiego, w którym czytamy wyraźnie „że już od roku 1504 arcybiskup Michał przepisał całemu duchowieństwu w Inflantach, ażeby dzień Podwyższenia św. Krzyża, jako stanowiący pamiątkę wiekopomnego zwycięstwa pod Pskowem, obchodzono niemniej uroczyscie, jak „Wielkanoc.“<sup>2)</sup> Przyczem przepisana została uroczysta procesya z Przenajświętszym Sakramentem i hymnem „Te Deum laudamus,“ po którego odśpiewaniu miano dodawać prozą rytmiczną:

„Grates nunc omnes  
Reddamus Domino Deo  
Qui sua benignitate  
Nos liberavit  
De Ruthenica potestate.“ (str. 288).

Druga część tej pomnikowej pracy historyka inflanckiego, w której autor rozprawia szeroko o uroczystościach kościelnych z końca średniowiecza — poświęcona niemal wyłącznie czei, oddawanej w Inflantach świętem Pańskim. Tu naturalnie zajmuje

<sup>1)</sup> Omawiając rozprawkę F. Konecznego p. t. „Walter Plettenberg landmistrz inflancki 1500 do 1525,“ ogłoszoną pomiędzy rozprawami krakowskiej Akademii Umiejętności (Wydz. hist.-filolog., III, 498 — 516), zauważył nasz wielki historyk Adolf Pawiński w wydawanych w Berlinie „Jahresberichte der Geschichtswissenschaft,“ co tu dosłownie przytaczamy: „Gegen die livländische Historiker geht Koneczny scharf vor und meint, dass der viel gepriesene Sieg über die Russen bei Pleskau (Sept. 1502) überhaupt gar nicht stattgefunden habe.“ (sic!).

<sup>2)</sup> Oto dosłowny tekst z ówczesnego brewiarza ryskiego: „Festum sacratissime crucis exaltationis ex voto apud ecclesiam Rigensem celebre tanquam paschale per Michaelem S-tae Rigensis ecclesiae archiepiscopum per totam Lyvoniam institutum est et acceptatum perpetuis temporibus anno D-ni 1504-to. Licet Rutheni anno praeterito Lyvoniam invasissent et infinitas stragas et abominanda mala per duas menses continuassent etc.“ (fol. 8 l. l.).

pierwsze miejsce Niepokalana Dziewica, pod której opiekę, jak się rzekło, kraj cały *Terra Mariana* już od roku 1215 był oddany.

To też ustąpić tu musieli wszyscy inni Patronowie przed Bogarodzicą, której nieustającej pomocy, w kraju Jej opiece poświęconym, we wszelkich złych przygodach i klęskach ustawicznie wzywano, a w szczególności przy niebezpieczeństwie w żeglugach morskich (str. 502). Dla tego Niepokalaną Maryę — są słowa autora — nazywa „Gwiazdą morską“ nietylko powszechnie znana Litania loretańska, ale i hymn „Ave maris stella!“ (str. 600).

Nader zręcznie i szczęśliwie traktuje pan Bruiningk i tę drugą część dzieła, obejmującą strony 293 do 669-ej. Przekroczylibyśmy o wiele ramy sprawozdania, gdybyśmy chcieli bodaj w zarysie podać tu jej treść niezmiernie bogatą. Dosyć wspomnieć, że autor na str. 291 do 311 opatruje tę drugą część swej pracy osobnym wstępem dla tem lepszej orientacji czytelnika, poczem podaje długi spis źródeł, z jakich czerpał wiadomości do swych ciekawych notat hagiologicznych, a dopiero wtenczas przystępuje do samego opowiadania, na które złożyły się tutaj trzy działy:

Pierwszy z nich poświęcony Przenajświętszej Trójcy. Składają go 3 osobne rozdziały, opatrzone tytułami łacińskimi. Z tych najpierwszy: „Sancta Trinitas,“ traktuje o nabożeństwie do S. S. S. Trójcy; drugi, noszący tytuł: „Dominus noster Jesus Christus,“ poświęcony uroczystościom, ustanowionym przez Kościół ku uczczeniu Pana naszego Jezusa Chrystusa, Jego męki, Ciała i Krwi Pańskiej oraz Krzyża świętego, a trzeci rozdział: „Spiritus Sanctus“ rozprawia o uroczystościach poświęconych Duchowi Świętemu.

Dział drugi tej ostatniej części dzieła traktuje o Bogarodzicy i uroczystych obchodach Jej wyłącznie poświęconych, trzeci zaś, najobszerniejszy, rozwodzi się o wszystkich innych świętych Pańskich oraz czci im przez Kościół oddawanej.

Miło jest widzieć, z jak wielkiem powodzeniem umie obracać się protestancki autor w zakresie już z natury swojej luteraninowi dosyć obcym, i z jaką miłością prawdy, z jaką czcią i uszanowaniem traktuje on przedmiot swych badań ściśle naukowych.

Na str. 324 do 347 rozpowiada w sposób prawdziwie sympatyczny o nabożeństwie do Niepokalanej Dziewicy w dawnych krajach inflanckich, strony zaś 452 do 457 poświęcone opisowi nabożeństwa ku uczeniu św. Józefa Oblubieńca, które tu w Rydze już w pierwszej połowie XV stulecia wprowadzone zostało.

Strony 347 do 580 zapelnia spis alfabetyczny, obejmujący imiona wszelkich świętych Pańskich, jakie tylko dają się napo-

tkać we mszałach i kalendarzach rzymsko-katolickich. Układał go autor z uwzględnieniem tych nawet imion, z jakimi w rzymskich księgach liturgicznych nie spotykamy się zgoła.

Przy imionach, wyliczanych z brewiarza ryskiego z r. 1513, wypisuje autor z tego ostatniego rozmaite legendy do nich się odnoszące, a przy wszystkich bez wyjątku imionach, oznacza dokładnie nie tylko mszę ku uczczeniu ich uroczystości we mszale przepisaną, ale patrocinium, inwokacye, a nawet datowanie rozlicznych dokumentów inflanckich w dniu ich imienia sporządzanych, czem niewątpliwie wszystkim badaczom źródeł dziejowych nie małą oddał usługę.

Przy tejże sposobności opisuje p. Bruiningk ze wszelką dokładnością, pod wezwaniem jakich mianowicie Świętych wznoszone były w Rydze i dawnych Inflantach: kościoły, kaplice, ołtarze, a przy nich ustanawiane wikarye, konfraternie i bractwa, przy czem zawsze najdokładniej podaje źródła, z jakich czerpie swe wiadomości, a nawet wylicza powody do zaprowadzenia, przeniesienia lub całkowitego zniszczenia niektórych dawniej tu obchodzonych uroczystości kościelnych.

Wszystkie szczegóły, opatrzone naukowo opracowanymi komentarzami, podane są w sposób tak zręczny, a cały ten uczony aparat, cały materiał naukowy w licznych przypiskach i dodatkach, tak szczęśliwie został ugrupowany, że wyczerpujące objaśnienia nie tylko nie nużą czytelnika, lecz czynią to cenne studjum jeszcze bardziej zajmującym.

W dodatku drugim rozprawia szanowny autor na stronicach 580 do 588-ej o dokumentach, odnoszących się do nadania odpustów, na stronach 589 do 596-ej o tytułach kościołów, klasztorów, kaplic i ołtarzy, a zaś na str. 596 do 599-ej o patronach i imionach chrzestnych.

Strony 599 do 609-ej zawierają ogólny rzut oka na imiona świętych najczęściej w Inflantach używanych, nakoniec na str. 609 do 613-ej umieszcza p. Bruiningk uwagi ostateczne p. t. „*Schlussbemerkungen*,” w których podaje czytelnikowi cenne wskazówki przy posługiwaniu się tą pracą naukową, której oczywiście autor sam nie mało czasu i trudu poświęcił, wreszcie strony 616 do 656 zapełniają już tylko skorowidze, niezbędne dzisiaj we wszelkich dziełach traktowanych naukowo.

Sumiennosc, pracowitosc, erudycya nielada, spokój w sądzeniu faktów, bezwzględna miłość prawdy i tyle innych zalet, zdołających mrówczą pracą prawdziwie uczonego autora, budzą tę uzasadnioną nadzieję, że doczekamy w swoim czasie przekładu

polskiego książki tu przez nas tylko pobieżnie opisanej, a przyjętej z jednoznacznym uznaniem przez krytykę naukową wszelkich odcieni i wyznań, nie wyłączając nawet takich powszechnie znanych organów prasy rzymsko-katolickiej, jak wydawane przez jezuitów „*Stimmen aus Maria Laach*,” jak wychodząca w Lowanium „*Revue d'Histoire Ecclésiastique*” lub słynna „*Literarische Rundschau für das katholische Deutschland*,” oraz wydawane w Brukselli „*Analecta Bollandiana*” a w Kempton redagowane przez L. Helmlinga „*Hagiographische Jahresberichte*” i t. d.

I nic to dziwnego. Autor bowiem wyzyskał z całą sumiennością i skrzętnością najnowsze zdobycze naukowe odnośnej literatury i źródeł tak krajowych jak zagranicznych. To też przekonani jesteśmy, że każdy bezstronny historyk, czytając tę książkę, będzie odczuwał wdzięczność dla jej autora, nie tylko za znakomite wzbogacenie wiedzy liturgicznej, ale i za ton przedmiotowy, godny pracy naukowej i prawdziwie szlachetny, jaki na każdej karcie tego dzieła panuje.

GUSTAW MANTEUFFEL.

# Kronika miesięczna.

---

Po ogłoszeniu praw zasadniczych. — Stowarzyszenie sił naukowych polskich. — Liga przyjaciół wolności i prawa. — Uniwersytet warszawski. — Uchwały Zjazdu nauczycieli i nauczycielek ludowych. — Zakończenie.

Miesiąc ubiegły był dla Królestwa Polskiego miesiącem historycznym w całym znaczeniu tego pojęcia.

Z jednej strony przyniósł on z sobą przedświt życia konstytucyjnego, opartego na prawach zasadniczych manifestu z dn. 30 października, z drugiej — pogrążył nas w odmęt zupełnej dezorganizacji życia społecznego, dezorganizacji, przeszczepionej na nasz grunt z wielkich obszarów zrewolucjonizowanej i zdążającej ku anarchii Rosyi.

Na pierwszą wieść o swobodach konstytucyjnych, na pierwsze zwiastowanie wolności słowa, zebrań, nietykalności osobistej — Warszawa drgnęła. Wierząc słowom manifestu, widząc powściągliwe zachowanie się wojska i policji, ludność wyległa na ulice miasta i entuzjastycznie witała jutrznię nowej ery. We wszystkich sferach, od góry do dołu, panował nastrój jednolity, panowała radość z tego, że okowy żelazne, tak długo krępujące rozwój narodu, pękły, że życie narodowe od tej chwili zacznie innem uderzać tętnem i tworzyć dla siebie nowe, swoiste formy.

Niedługo jednak trwał entuzjazm i niedługo lud Warszawy cieszył się swoim „obywatelstwem“ — bo oto pierwszy dzień swobody, pierwszy dzień wolności obficie został w krwi wykąpany.

To „Plac Teatralny.“

Nie będziemy tu opisywali tego krwawego zajęcia, aż nadto dobrze znanego wszystkim, podkreślimy tylko fakt znamieny, że na kilkadziesiąt ofiar owej pamiętnej szarzy kozackiej, staty-

styka zanotowała 28 osób w wieku od lat 7 do 20, czyli osób niepełnoletnich i dzieci.

Epizod ten był początkiem całego szeregu zajść, stojących w jaskrawej sprzeczności z wolą monarszą i z treścią manifestu. Światło, które spłynęło na wszystkie ludy państwa z tego aktu władzy najwyższej, zaczęło mierzchnąć i przygasać u nas. Za czyją sprawą — o tem sądzić będzie historia.

My — współcześni — możemy tylko stwierdzić sam fakt.

I rzeczywiście od owej pory Warszawa przeżyła tylko jeden dzień, który dodatnio zapisał się w jej pamięci i niezatarte wywarł wrażenie na całej ludności miasta.

Był to dzień 5 listopada, dzień pochodu narodowego, dzień, w którym poraz pierwszy na ulicach miasta rozwinięte zostały sztandary amarantowe z orłem białym i kiedy z piersi kilkuset-tysięcznego tłunu popłynęła pieśń uświęcona „Boże, coś Polskę.“

Pochód ten miał znaczenie zasadnicze w dwóch kierunkach.

Po pierwsze dowiódł on, że wbrew wszelkim hasłom skrajnym, wbrew ożywionej w ostatnich czasach i powierzchownie uwieńczonej znacznem powodzeniem agitacyi socjalistycznej — lud Warszawy pozostał w uczuciach swoich narodowych czystym i nieskażonym i skupił się pod sztandarami, które ojców jego i dziadów wiodły na pola walki „za waszą i naszą wolność.“

Powtóre pochód ten dał wyraźne świadectwo wszystkim, którzy o tem wątpili z tych lub innych względów, że Warszawa jest miastem kulturalnem i dojrzałem, że kilkaset tysięcy ludzi, kroczących po jej ulicach w powadze i w porządku naprawdę wzorowym, nie miało nic wspólnego z tłumem luźnym, ale że był to hufiec jednolity i spięty silnie uczuciem głębokiej miłości ojczyzny i przywiązaniem do znaków narodowych.

Ani jednego zamieszania, ani jednego wypadku, ani jednego zajścia, któreby zakłóciło ogólny nastrój podniosły.

Władze rządowe nie oceniły jednak tego, bo ocenić nie chciały, w postępowaniu swoim kierując się pobudkami zgoła niezrozumiałemi.

Owoce tej polityki specyficznej, stosowanej do Królestwa Polskiego, było rozciągnięcie stanu wojennego na cały jego obszar, na wszystkie 10 gubernij, rozciągnięcie, umotywowane komunikatem rządowym, znanym powszechnie i ocenionym właściwie przez całą prasę polską.

Krajowi naszemu stała się tu widoczna i krzycząca niesprawiedliwość, podczas bowiem kiedy w Rosyi rewolucya i anarchia przybrały wprost przerażający charakter, kiedy w wielu miastach,

a przedewszystkiem w Odesie i Kijowie, zaszły krwawe pogromy żydów i inteligencyi, kiedy ruch agrarny rozszerza się z szybkością gwałtowną i obejmuje pożarem całe okręgi, kiedy palą się wsi i miasta, a dobytek i mienie ludzkie idą na zniszczenie; podczas kiedy tam ciemne i barbarzyńskie masy chłopstwa, rozkołysane falą zdarzeń i poduszczane przez agitatorów, dopuszczają się gwałtów na każdym kroku, kiedy na południu zdaje się ożył w masach duch Steńki Razina i Pugaczewa — u nas kraj zachował zwykły, normalny wygląd kraju cywilizowanego i nawet ogólny bieg życia nie zostały w nim ani zakłócony, ani zatrzymany, gdyby nie hasło solidarności z Rosyą, rzucone i podtrzymywane przez skrajne nasze stronnictwa.

Temu hasłu zawdzięczamy tylko, że narówni z całym państwem przeżyliśmy okres strejku powszechnego, że stanęły u nas fabryki, warsztaty rzemieślnicze, koleje żelazne, tramwaje, telefony, że życie przemysłowe i handlowe zostało sparaliżowane na przeciąg trzech tygodni.

Za solidarność tę zapłaciliśmy miliony w postaci strat, jakie kraj poniósł lub poniesie wskutek tej orgii bezrobocia.

Za solidarność tę zapłaciliśmy także nędzą, jaka zawitała do większych środowisk naszego życia.

Spółczeństwo jednak cywilizowane i silnie spójne na wewnątrz nie władzą i rozkazami administracyi, jak to jest w Rosyi, ale zrozumieniem interesów swojej zbiorowości, do walki z tą nędzą stanęło odrazu i wysiłkiem ogromnym zażegnało jej klęskę.

Powstały w Warszawie dwa komitety — komitet narodowy z Henrykiem Sienkiewiczem na czele i komitet obywatelski, które szybko i umiejętnie zorganizowały pomoc, a ofiarność publiczna na ten cel popłynęła zaiste szerokim strumieniem.

Tak więc wybrnęliśmy poniekąd szczęśliwie z tej próby, na jaką nas wystawiło bezrobocie powszechne — ów środek walki politycznej, użyty po raz pierwszy w dziejach świata przez Rosyę rewolucyjną, a niewytrzymujący zgola krytyki, gdyż obraca się on w daleko większym stopniu przeciw społeczeństwu, które bezrobocie organizuje, niż przeciw rządowi.

Szczególnie u nas bezrobocia takie nigdy nie mogą być dostatecznie umotywowane, wiadomo bowiem powszechnie, że w ciągu ubiegłych lat 40 rząd czynił wszelkie wysiłki w tym kierunku, ażeby nas zdeorganizować, ażeby zniszczyć ślady naszej dawniejszej pracy kulturalnej a do podjęcia nowej nie dopuścić; niszcząc więc samych siebie przez zatrzymanie całego biegu naszego życia, nie stajemy wcale wbrew interesom i zamiarzeniom



władz miejscowych i władz centralnych. Stajemy przeciw samym sobie.

Dla tego sądzić należy, że społeczeństwo, nauczone gorzkim doświadczeniem ubiegłego miesiąca, poczyni wszelkie starania, aby na wypadek, gdyby hasło strejku znów zostało rzucone z Petersburga lub z Moskwy, obronić się przed nową anarchią i nowym zniszczeniem.

Potrzebę takiej obrony zrozumieć trzeba, jak również zrozumieć i uświadomić sobie trzeba, że pierwszym naszym obowiązkiem społecznym i narodowym jest przystąpić corychlej do pracy twórczej, do tej pracy, która nam umożliwi rozwój wszechstronny, a która nie była dla nas dostępną w warunkach dotychczasowych.

Prawa zasadnicze, które prędzej czy później wejść w życie muszą i będą należycie zagwarantowane — stanowią ramy dla tej pracy, zupełnie niezależne od autonomii, którą prawdopodobnie także uzyskamy w niedalekiej przyszłości.

A gdyby nawet i autonomia ze względu na intrygi pruskie została dla nas odroczone, gdybyśmy nawet musieli walczyć o nią przez całe lata — to właśnie do tej walki należy się przygotować, umacniając się na tych placówkach, które już zdobyte zostały.

Nasza polityka powinna więc być już w chwili obecnej polityką pracy, polityką, zmierzającą do ekonomicznego i kulturalnego podniesienia kraju, do uświadomienia jaknajszerszych warstw, do oświecenia ciemnych, do poznania własnych braków i niedomagań, do zespolenia wszystkich pod hasłami odrodzenia i pokrzepienia ducha narodowego, który przez lat kilkadziesiąt walczył z mroźnymi podmuchami wiatru północnego i dzwonił łańcuchem praw wyjątkowych.

Łańcuch ten dzisiaj został rozkuty, a jeżeli tu i owdzie wiszą jeszcze jego ogniwa, to i te jednak wkrótce odpadną.

Rozkrępowani — stajemy nie wobec jasnej i uśmiechającej się powszechnem szczęściem doli, ale wobec twardego obowiązku, którego sumienne i obywatelskie spełnienie otworzy nam dopiero wrota gmachu prawdziwej wolności.

Na razie musimy przede wszystkim pamiętać o tem, że jesteśmy jednym z najuboższych i najciemniejszych w Europie narodów; że rządy biurokratyczne rosyjskie zostawiają nam w kraju, jako spuściznę po sobie 80% analfabetów, zupełny brak szkół, instytucyj naukowych i instytucyj dobra publicznego, że nie mamy ani szpitali, ani przytułków, ani mostów, ani dróg, ani stowarzyszeń, ani wogóle całego aparatu urzędzeń, niezbędnych do ży-

cia prawidłowego i umiejętnie rozkładającego i zużytkowującego wszystkie siły społeczne.

A dopóki tego nie zdobędziemy, dopóki tych celów pierwszych i zasadniczych nie osiągniemy, dopóty nie będziemy siłą, nie będziemy narodem zwartym, śmiało wyciągającym rękę po należne mu prawa.

\*

\*

\*

Dnia 5 listopada r. b. zawiązało się w Warszawie „Stowarzyszenie sił naukowych polskich“ w celu podjęcia starań około stwarzania instytucyj naukowych i wogóle zdobywania warunków, sprzyjających rozwojowi nauki polskiej.

Członkami-założycielami tej nowej, a wielce potrzebnej instytucyi, są następujące osoby:

Jan Bielecki, Józef Bieliński, J. J. Boguski, Wiktor Biernecki, Wacław Brykner, Bronisław Chlebowski, Ignacy Chrzanowski, Samuel Dickstein, Zdzisław Dmochowski, Piotr Drzewiecki, Karol Dunin, I. Eberhardt, Jan Godlewski, Kazimierz Jabłczyński, Aleksander Jabłonowski, Stanisław Kalinowski, Stanisław Kempner, Jan Kochanowski, Henryk Konic, Tadeusz Korzon, Ludwik Krzywicki, Antoni Kuczyński, Kazimierz Kulwieć, Antoni Lemieszewski, Jan Lewiński, Kazimierz Łagodziński, Zdzisław Majewski, Tadeusz Miłobędzki, Kazimierz Obrębowicz, Stanisław Okolski, Antoni Osuchowski, Mieczysław Pożaryski, Edward Przewoski, Franciszek Pułaski, Rafał Radziwiłłowicz, A. Rosset, Stefan Sikorski, Józef Sioma, Kazimierz Sławiński, Seweryn Smolikowski, Sołtan, Jan Sosnowski, Józef Świątkowski, Ludwik Szperl, Mikołaj Tołwiński, Jan Tur, Aleksander Wasiutyński i Zygmunt Woycicki.

Organem wykonawczym stowarzyszenia jest zarząd, do którego wybrano pp. Dicksteina, Jabłonowskiego, Krzywickiego, Obrębowicza, Sławińskiego i Smolikowskiego.

Zgłoszenia osób, zainteresowanych celami Stowarzyszenia, przyjmowane są tymczasowo w lokalu „Encyklopedyi wielkiej ilustrowanej“—Nowy Świat № 47.

Nie wątpimy, że zgłoszenia te będą liczne — oto bowiem zawiązało się Stowarzyszenie, które Warszawa pragnęła mieć od-

dawna i na które, pomimo kilkakrotnie podejmowanych starań, sankcyi uzyskać nie mogła.

Nauka polska uchodziła widocznie za rzecz niebezpieczną. Nie życzo no sobie, aby miała ona własne ognisko w Warszawie.

Pozbawiona gniazda przez zanknięcie po wypadkach 1831 r. *Towarzystwa przyjaciół nauk*, wygnana z uniwersytetu po przemianowaniu Szkoły Głównej, nie mogła ani rozwijać się należyście, ani promieniować dość szeroko. Pielęgnowali ją ludzie dobrej woli, którzy wbrew ciężkim warunkom, idąc za głosem najgłębszych ukochań swoich, oddawali się cichej, samotniczej pracy, nie mając ani odpowiedniego warsztatu do niej, ani ułatwionej wymiany myśli z tymi, którzy w pokrewnych pracowali dziedzinach.

W takich warunkach nie znajdowała się nauka nigdy i nigdzie, w żadnym z krajów cywilizowanych. Wszędzie korzysta ona z praw specjalnych i z przywilejów wyjątkowych, wszędzie znajduje poparcie i pomoc.

U nas — nietylko że znikąd nie miała tego poparcia i tej pomocy, ale ulegała nadto ograniczeniom i prześladowaniom.

Dość przypomnieć, że kiedy przed 5-iu laty grono ludzi dobrej woli, pragnąc uczcić pamięć ś. p. d-ra Marcelego Nenckiego, który był chlubą nauki polskiej, starało się o zawiązanie Towarzystwa naukowego jego imienia — starania te zostały odrazu sparaliżowane przez doraźną odnowę władz w Warszawie i w Petersburgu.

#### *Nie wolno.*

Nie wolno nam było jednoczyć rozproszonych sił, rozpalać własnego ogniska wiedzy, przy którym naród kosztująco mógłby się ogrzać i zaczerpnąć sił do dalszego znoszenia swoich ciężkich losów.

Nic też dziwnego, że Warszawa, stolica Królestwa Polskiego, że miasto z 800,000 ludnością, bogate, ruchliwe, zwracające na siebie uwagę cudzoziemców, połączone z Europą siecią kolei żelaznych i odległe zaledwie o kilkanaście godzin drogi od Berlina i Wiednia — stało się jakimś zjawiskiem dziwnem wśród innych miast cywilizowanych.

Nie było w niem wcale atmosfery naukowej i nie było do tego stopnia, że zachodziły poważne obawy co do tego, czy nauka nie obumiera u nas zupełnie, czy środek ciężkości naszej pracy kulturalnej nie przeniósł się naprawdę do Krakowa i Lwowa.

Na szczęście — zanim dalszy rozwój życia zdążył dać na to pytanie odpowiedź twierdzącą, a za lat 10 dałby ją z pewnością—

przyszły reformy, przyszła dawno pożądana zmiana warunków, umożliwiających nam pracę i zaspokajanie swoich najpilniejszych potrzeb.

I rzecz znamienna — ledwie ozwały się pierwsze hejnały wolności obywatelskiej, wolności, stanowiącej kamień węgielny życia zbiorowego, Warszawa pomyślała przede wszystkim o związaniu „Stowarzyszenia sił naukowych polskich.“

Dowodzi to, jak pilną i palącą była potrzeba, jak głęboko odczuwano ją ogólnie, z jakim upragnieniem przystąpiono do zrealizowania projektu, który przez tyle lat z tyłoma walczył trudnościami, aż upragnione osiągnął zwycięstwo.

*Ut felix, faustum, fortunatumquesit.*

\*

\*

\*

Wśród organizacyj, jakie ostatniemi czasy wyłoniły się z fali życia bieżącego, zwraca na siebie uwagę „Liga przyjaciół wolności i prawa,“ stojąca poza partjami i stronnictwami, a wnosząca do swarnej i niespokojnej melodyi dnia kilka tonów wyższych.

Potrzebę swojego powstania Liga uzasadnia tem, że naprzód długoletnia niewola zamąciła wśród naszego społeczeństwa pojęcie o prawdziwej wolności obywatelskiej i prawie — trzeba więc w tym kierunku kształcić jaknajszersze warstwy; i powtóre, że urzędnicy, wyrosli w atmosferze bezprawia i samowoli, nie prędko jeszcze po wprowadzeniu swobód konstytucyjnych pozbędą się starych narowów — należy więc zwalczać wszelkie ograniczenia władz przeciw prawom obywateli.

Organizacya wewnętrzna ligi przedstawia się jak następuje:

Liga dzieli się na sekeye, z których każda wybiera swój zarząd i trybunał.

Głównym obowiązkiem zarządu sekeyi jest utrzymanie łączności pomiędzy jej członkami, za pomocą posiedzeń ogólnych i zebrań towarzyskich.

Trybunał sekeyjny ma sędzić wykroczenia członków i nakładać kary, a mianowicie: nagane, publiczne uznanie winy na posiedzeniu sekeyi i wreszcie wyłączenie z Ligi.

Głównym obowiązkiem zarządu centralnego jest utrzymywanie łączności pomiędzy sekcjami, wydawanie organu Ligi, oraz wydawnictw, szerzących zasady Ligi.

Pomimo istnienia zarządu centralnego — każda sekcya, a nawet przygodna grupa członków posiada kompletną autonomię w przedsięwzięciach, zakreślonych celami Ligi i może odwoływać się do innych sekcji o poparcie.

Każda sekcya opracowuje sama dla siebie szczegółowy regulamin, dotyczący zarządu, trybunału, czynności i t. d.

Charakterystycznie brzmi też treść deklaracji, jaką podpisywać będą członkowie przy zapisywaniu się do Ligi.

Podajemy ją tutaj, gdyż określa ona najlepiej istotę nowopowstałego związku.

„Zobowiązuję się słowem honoru, że przez cały czas należenia do Ligi przyjąciół wolności i prawa, 1-o) nie dopuszczę się żadnego gwałtu nad mym współobywatelom w celach politycznych lub społecznych; 2-o) nie będę nigdy szerzył krzywdzących a niesprawdzonych wieści o mych przeciwnikach politycznych; 3-o) w walce o własne zapatrywanie nie będę tendencyjnie przekręcał cudzych opinij lub programów wrogich mi stronnictw; 4) wystąpię zawsze odważnie i energicznie przeciw gwałtom, popełnianym nad mymi współobywatelami, chociażby ci należeli do wrogich mi stronnictw; 5) będę zawsze zwalczał fałszywe wieści i nieuzasadnione podejrzenia i insynuacje, szerzone w celach stronnicych; 6) będę zwalczał wszelkie przejawy bezprawia i samowoli ze strony władz i funkcyonaryuszów publicznych; 7) będę służył każdemu pomocą i radą w dochodzeniu pogwałconych obywatelskich praw jego; 8) będę szerzył w kołach swoich znajomych zasady Ligi i zjednywał jej uczestników; 9) gdybym wykroczył przeciw zobowiązaniom powyższym, to poddam się bez szemrania wyrokowi sądu Ligi; 10) wystąpię z Ligi z chwilą przyłączenia się do stowarzyszenia, związku lub partyi, których regulaminy, programy lub zasady stoją w sprzeczności z zobowiązaniem niniejszem.

W deklaracji tej, jak widzimy, zaznacza się bardzo wyraźnie dążność do wprowadzenia pierwiastka etycznego do polityki.

Pierwiastek ten dotychczas jest tam zjawiskiem niezmiernie rzadkiem — w polityce bowiem panuje nad wszystkim *interes*, a zasada: „cel uświęca środki“ ma bardzo licznych zwolenników. W walce pomiędzy partyami i stronnictwami, w walce, która toczy się u nas obecnie w formach dość ostrych, szermierze nie przebierają ani w słowach, ani w czynach. Zwolennicy jednych

hasel starają się pognać, ośmieszyć i zdyskredytować w opinii tych, którzy grupują się dokoła odmiennego sztandaru. Socyjalista odzywa się o narodowcu gorzej niż z przekąsem, bo z nienawiścią. Zasada: „kto nie z nami ten przeciw nam“ dla wielu jest punktem wyjścia w sądzeniu wszystkich objawów pracy społecznej i narodowej, nie mierzonej miarą jego programu.

Wytwarza to zamęt, bezład i przeszkadza w dążeniu do tych zdobyczy, które stanowią wspólne dobro całego narodu i które wymagają łącznego działania wszystkich.

Być może — że Liga potrafi chociaż w pewnym stopniu przyczynić się do złagodzenia walki stronnictw o hegemonię i oprze ją na zasadach uczciwego pojmowania tego, co stanowi istotę wolności obywatelskiej.

\*

\*

\*

W dniu 2 listopada r. b. odbyło się posiedzenie Rady uniwersytetu warszawskiego, na którym Rada uznała, że nie ma środków na przywrócenie prawidłowego biegu życia akademickiego i wobec tego postanowiła wystąpić o zamknięcie uniwersytetu i o przeniesienie studentów, pragnących kształcić się dalej, do innych uniwersytetów w państwie.

Z uchwałą tą nie zgodziło się jednak grono profesorów, którzy wystąpili z odrębną opinią. Opinię tę podajemy poniżej:

„W ciągu całego szeregu lat ostatnich — mówią profesowie Nasonoff, Pietruszewskij, Pogodin, Szczerbak i Wulff — normalny bieg życia akademickiego w uniwersytecie warszawskim był naruszany przez zaburzenia studentów, wynikające na gruncie narodowościowym.

„W styczniu r. b. stan rzeczy zaostrzył się nadzwyczajnie przez ruch na korzyść unarodowienia szkolnictwa krajowego. Ruch ten ogarnął wszystkie warstwy społeczeństwa polskiego i doprowadził nie tylko do bojkotu wyższej szkoły w Królestwie Polskiem, ale też niższej i średniej. Zdając sobie sprawę z niemożności skierowania życia akademickiego na tory pokojowe, Rada uniwersytetu zdecydowała w końcu lutego, że otwarcie uniwersytetu jest niemożliwe, dopóki wogóle w życiu szkolnem Królestwa nie zapanuje spokój.

„Ponieważ nie można było liczyć na nastanie tego spokoju przed miesiącem wrześniem, więc uniwersytet został zamknięty do jesieni.

„Tymczasem i w jesieni stan rzeczy uległ zmianom bardzo nieznacznym: przyobiecane przez Komitet ministrów ustępstwa, dotyczące ustanowienia katedr polskich w uniwersytecie warszawskim i zgodzenia się na polski język wykładowy w szkołach prywatnych, wciąż pozostawały obietnicami i bojkot szkoły średniej trwał w dalszym ciągu.

„Nie uległo też żadnej zmianie stanowisko studentów względem uniwersytetu, który aczkolwiek otrzymał prawa autonomiczne, spożytkował je jednak w stopniu bardzo niedostatecznym. Usposobienie studentów względem uniwersytetu, jak świadczyły dane, znajdujące się w ręku rady, pozostawało najzupełniej negatywnym.

„Dla tego uniwersytet nie mógł zostać otwartym i rada uznała konieczność odroczenia początku wykładów do października. Tymczasem zajęła się ona, korzystając ze swych praw autonomicznych, reformami wewnętrznymi zakładu.

„Koniecznym jest zaznaczyć, że w działalności swej reformatorskiej rada nie uznała za niezbędne liczyć się z prawnymi żądaniami społeczeństwa polskiego co do polonizacji wyższej szkoły i w postanowieniach swoich ciągle podkreślała to, że uniwersytet musi pozostać rosyjskim.

„Takie stanowisko większości rady spotęgowało protest ze strony studentów i jeżeli przedtem godzili się oni na stopniową polonizację uniwersytetu warszawskiego, to teraz zupełnie ignorują istnienie w Warszawie uniwersytetu rosyjskiego i żądają kategorycznie, aby on został odrazu zamieniony na uniwersytet polski.

„Nadto z chwilą opuszczenia uniwersytetu warszawskiego przez studentów Rosyan, istnienie jego w dawnej postaci traci nawet wszelki sens.“

Dla tego, uznając konieczność odpowiedzenia słusznym żądanom polskich studentów i społeczeństwa polskiego — profesorowie wymienieni powyżej — są przekonani, że tylko *zupełne przekształcenie uniwersytetu rosyjskiego na polski* zdoła wznowić normalny bieg życia akademickiego w uniwersytecie warszawskim.

Tak myślą i tak piszą profesorowie Rosyanie. Jest to głos uczciwej opinii rosyjskiej, która przestała patrzeć na sprawy polskie pod kątem wskazań rządów biurokratycznych, a powoduje się tylko słuszością i prawdą.

Jestto niewątpliwy tryumf tej ostatniej — tak długo zapoznawanej u nas przez tych, którzy zgodnie ze swym zawodem powołani byli w pierwszym szeregu do jej poszukiwania i obrony.

W imię prawdy i sprawiedliwości uniwersytet warszawski nie powinien był nigdy stać się uniwersytetem rosyjskim — i społeczeństwo polskie odczuwało dla tego bardzo głęboko krzywdę, jaką mu wyrządzono. Dziś stoi ono w przededniu gruntownych zmian w swoim położeniu dotychczasowym i dziś nie wątpi już o tem, że będzie miało w Warszawie uniwersytet polski, jako ognisko nauki polskiej.

Dla tego jednak z przyjemnością stwierdza, że głos o spolszczeniu uniwersytetu, zanim to spolszczenie nastąpi siłą wypadków i stanie się faktem dokonanym, że głos taki podniósł się między innymi z grona profesorów-Rosyan i dał świadectwo prawdzie.

\*

\*

\*

Dnia 27 listopada r. b. odbył się w Warszawie XXII zjazd nauczycieli i nauczycielek ludowych Królestwa Polskiego.

Zjazd ten powziął następujące uchwały:

1) Nauczanie w szkole elementarnej odbywać się powinno u nas li tylko w języku polskim.

2) W szkole początkowej do obowiązkowych przedmiotów nauczania nie powinien wchodzić żaden inny język poza ojczystym.

3) Cały system nauczania, zarówno co do przedmiotów, jak i podręczników, powinien ulegz gruntownej rewizji i pracę w tym kierunku zjazd uważa za jedno z pierwszych zadań nauczycielstwa.

W myśl powyższych uchwał zebrani zobowiązują się, każdy poszczególnie do solidarnego i natychmiastowego zastosowania w praktyce pierwszych dwóch punktów, zaś zrealizowanie punktu trzeciego polecają komisji, wybranej ze swego łona.

4) W celu dostarczenia przetwarzającej się na podstawach narodowych szkole ludowej w Królestwie Polskiem odpowiednich sił nauczycielskich, zjazd uważa za rzecz niezbędną, aby ogół społeczeństwa polskiego, nie czekając na spolszczenie seminariów



nauczycielskich rządowych, przystąpił niezwłocznie do założenia seminariów nauczycielskich prywatnych.

5) Ignorować wszelkie zarządzenia okręgu naukowego i dyrekcji naukowych, przeciwne wyszczególnionym wyżej uchwałom.

6) Zjazd wypowiada się za koniecznością, aby w prasie polskiej wypowiadane były szeroko potrzeby wychowania narodowego wogóle, a szkolnictwa ludowego w szczególności. W tym celu zjazd uważa za potrzebne bądź wydawanie specjalnego pisma, potrzebom szkolnictwa poświęconego, bądź otworzenie działu szkolnego w któremkolwiek z istniejących pism polskich.

Uchwały te, powzięte w chwili przełomowej przez lepszą część naszego nauczycielstwa ludowego, przez tych, którzy naprawdę rozumieli swoje posłannictwo i mimo ucisku, mimo straszego systemu, na którego straży stały dyrekcje naukowe z tysiącami jawnych i tajnych cyrkularzy, przepisów, dopełnień do nich i wskazówek — pojmowali, że oni przedewszystkiem nieść powinni „kaganiec oświaty“ przed narodem — uchwały te, powtarzam, brzmiały dla nas nadzieją lepszej przyszłości.

Dobra szkoła ludowa, prowadzona przez nauczyciela, który poczuwa się obywatelem kraju i zdaje sobie sprawę z idei, której jest posłannikiem — stanowi podwalinę oświaty narodowej. To pierwszy stopień, po którym naród wstępuje na coraz wyższe szczeble rozwoju.

Takich szkół nie mieliśmy dotąd wcale, takich nauczycieli mieliśmy bardzo niewiele — prawdopodobnie nie więcej ponad tych, którzy wzięli udział w zjeździe.

Zwiększenie ich szeregów stanowi zatem jedną z najpilniejszych potrzeb kraju w najbliższej przyszłości i dla tego podkreślić należy czwarty punkt uchwał, w którym jest mowa o zakładaniu prywatnych kursów dla nauczycieli ludowych.

Niepewność chwili bieżącej, niezdecydowanie i słabość widoczna rządu, który nie może obecnie wytknąć sobie żadnego programu, pozwalają przypuszczać, że stan nienormalny, w jaki wtrącone zostało całe państwo, trwać może jeszcze dość długo. A choćby nawet stosunki zmieniły się szybciej, choćbyśmy nawet uzyskali upragnioną autonomię z rąk „Dumy“ już w początkach roku przyszłego — to i tak upłynie jeszcze wiele czasu zanim zdolamy przekształcić, uporządkować i pełnić na właściwe tory sprawę przygotowania sił nauczycielskich dla szkół ludowych.

Szkoła ludowa tymczasem czekać nie może na powolne załatwianie tej sprawy.

Z chwilą kiedy język polski wejdzie do niej z mocy prawa, kiedy wolność nauczania nie będzie krępowana przez samowolę administracyi — szkoła ta powinna i musi stanąć otworem dla wszystkich dzieci, powinna więc i musi także mieć zawczasu przygotowanych nauczycieli.

Sądźmy, że chwila obecna jest o tyle szczęśliwa dla tej sprawy, że dziś mamy bardzo wielu ludzi młodych, ze średniem wykształceniem, którzy gorąco przejęci są ideą oświaty ludu i że oni mogliby dostarczyć wcale wystarczającego na początek kontyngensu nauczycieli, gdyby przeszli kilkumiesięczny chociaż kurs praktyczny dla zaznajomienia się z najnowszemi metodami pedagogicznymi.

Pytanie tylko, kto ma kursy takie urządzać i zakładać?

Chętnych niewątpliwie będzie wielu, ale ze względu na to, że staną tu do współzawodnictwa z sobą partie i stronnictwa, które zapragną mieć „swoich ludzi“ na posterunkach szkolnych i za ich pośrednictwem prowadzić agitację, należałoby odrazu tak rzecz postawić, aby kursy takie miały charakter bezpartyjny, aby nie odbywały się one pod maską żadnego stronnictwa, a stały jedynie pod chorągwią czystej, nieskażonej naleciałościami idei oświaty narodowej.

Taki charakter kursom prywatnym mogłaby nadać niedawno założona i dziś już rozwijająca owocną działalność instytucya, która nosi tyle mówiące miano „Macierzy szkolnej.“

Na czele jej stoją ludzie powszechnego zaufania — Henryk Sienkiewicz i mecenas Osuchowski. Całe społeczeństwo powitało ją gorącym i głębokim uznaniem i nie można wątpić, że podwalina materyalna tej instytucyi będzie w krótkim czasie mocna i trwała.

Zadanie jej stanowi opieka nad oświatą wogóle, a przede-wszystkiem opieka nad szkołą ludową polską.

Ona będzie gromadziła fundusze na takie szkoły, będzie je zakładała, będzie wysyłała do nich nauczycieli — ona więc powinna także tych nauczycieli przygotować i zaszcześcić im te wszystkie hasła święte, które sama wyznaje.

Praca to jest poważna, wymagająca i zabiegów i kosztów, ale dla tego właśnie wielka i popularna instytucya podola temu łatwiej, niż ożywione nawet najlepszą wolą jednostki.

Sądźmy zatem, że to jest jedyna droga do postawienia sprawy bez zwłoki na gruncie praktycznym.

Z szeregu uchwał, powziętych przez zjazd, wyróżnia się jeszcze uchwała, o której mówi punkt szósty.

Nauczyciele dopominają się w nim zupełnie słusznie o stworzenie wydawnictwa specjalnego, poświęconego sprawom szkolnictwa, a narazie chociażby o utworzenie działu szkolnego w któremkolwiek z pism polskich.

Oba te żądania powinny być rychło zaspokojone. Pierwsze, naturalnie, musi czekać na chwilę, kiedy będą odpowiednie środki na ten cel, drugie jednak może być załatwione zaraz. I zdaje się, że w zasadzie jest ono rozstrzygnięte, bo niema chyba pisma polskiego, które nie poruszałoby chętnie na łamach swoich spraw, związanych ze szkolnictwem.

\*

\*

\*

Rok dobiega końca. Z chwilą, kiedy czytelnicy niniejszy zeszyt *Biblioteki* otrzymają, na niebie błysną już pierwsze promienie gwiazdy Betleemskiej, zwiastującej „chwałę Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Co nam ta gwiazda przyniesie z sobą?

Na to nikt jeszcze nie może dać odpowiedzi, to pewna jednak, że zastanie nas ona w tym roku głębiej wzruszonych, niż zwykle i że łamiąc z sobą opłatek wigilijny będziemy się łączyli wszyscy w jednym gorącym życzeniu pomyślności dla naszej ojczyzny.

Przetrwaliśmy lata ciężkie i dni ciężkie, przetrwaliśmy smagania wichrów mroźnych i słoty jesienne.

Teraz przez mgły przedświata wygląda ku nam zorza nowej ery, zapowiedź nowych czasów.

Niewiarą i niepokojem jeszcze są przepełnione nasze serca, ale duch czasu idzie zwycięsko naprzód i rozpędza ciężkie chmury, nagromadzone na horyzoncie.

Tego, co się dokonało, nikt już nie cofnie i dla tego z ufnością możemy spoglądać w przyszłość.

Doznamy w niej może niejednego zawodu, niejednego rozczarowania, ale w każdym razie będzie ona lepszą od tego, co jest za nami.

Karta dziejów, wypełniona po brzegi bezprawiem, zapisana została do ena. Ręka losów obraca ją i wypisuje na nowej, białej i nieskażonej karcie wielki wyraz: *Prawo*.

Czekajmy zatem, ufni, że dzień jest bliski...

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Jedną z najważniejszych prac, jakie ostatnimi czasy zaprojektowała *Krakowska Akademia Umiejętności*, to wydanie „Encyklopedyi Polskiej,” wielotomowego dzieła mającego na celu przedstawienie obrazu kultury polskiej w jej historycznym rozwoju, z uwzględnieniem najnowszych postulatów nauki. Taka praca, poświęcona syntezie wszystkich badań nad kulturą polską, ma pierwszorzędne znaczenie, zarówno dla świata naukowego, jako też dla całego światłego ogółu. W pomienionem wydawnictwie, w niewielkiej stosunkowo ilości tomów, czytelnik znajdzie treściwie sformułowane wyniki badań w każdej gałęzi wiedzy, gdzie tylko kultura nasza się zmanifestowała. Niejednokrotnie na kilku arkuszach streszczony będzie cały dorobek danej nauki, dorobek, o którym, ażeby sobie dziś zdać dowodnie sprawę, należałoby przejrzeć już nie dziesiątki, ale setki dzieł i manuskryptów. A wywody te będą formułowane przez najznakomitszych naszych uczonych, specjalistów w danych gałęziach wiedzy, pod kierunkiem i przewodnictwem najwyższej naszej instytucji naukowej, jaką jest Akademia Krakowska. Tem większe ich znaczenie i wartość.

Układ Encyklopedyi nie będzie alfabetycznym, ale rzeczowym. A zatem materiał naukowy nie będzie więc w niej, jak w innych encyklopediach, rozstrzelony, sztucznie ułożony, nie każdy fakt i szczegół będzie tam spisany osobno, ale cały materiał, przez redakcyę zebrany, będzie usystematyzowany, ułożony w logicznym i postępowym porządku, przetopiony w jedną organiczną całość. I tu jest wyższość tego rodzaju układu, że czytelnik odczytawszy szczegółowe dane o interesującej go rzeczy lub fakcie powoźnie odrazu trafne pojęcie o jego znaczeniu w danej nauce i o jego ogólnokulturalnej wartości.

A pojęcie takie, nawet o rzeczach dobrze wiadomych, nie zawsze było jasnym i trafnym, i to nietylko u ogółu, ale nawet wśród najpoważniejszych adeptów nauki. Specjalizacja, ten konieczny warunek postępu, przyczynia się do tego, że wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, że poszukując tego ziarenka piasku, który ma służyć do wielkiej budowy gmachu wiedzy, pracownik naukowy zapomina o wielkich konturach tego gmachu, mierzy drobną miarą szczegółów, nie zdaje sobie należyte sprawy ze znaczenia objawów społecznych lub kulturalnych, niedocenia lub przecenia niejednokrotnie nawet te fakty, które sam dopatrywał. Jeżeli tak się dzieje z ludzmi nauki, to cóż dopiero mówić o ogóle. Tam rzadko kiedy spotkać się można ze zdaniem, któreby nie było istną karykaturą prawdy, a dzieje się to w znacznej mierze z powodu braku prac syntetycznych. Co prawda tworzyć ich nie można było przed zebraniem dostatecznej ilości materiału naukowego. Ale w. XIX, a właściwie druga jego połowa, hołdując realnemu kierunkowi w nauce, przyniosła wielki zasób materiału naukowo stwierdzonego i teraz przystąpić należy do złożenia go w jedną całość. Tej wielkiej i nagłej potrzebie ma przyjść z pomocą „Encyklopedia Polska.“ Przyjść z pomocą, bo nie wykonać. Nie ludźmy się, nawet przy największym natężeniu tych pierwszorzędných sił naukowych naszych nie da się od razu zrobić to, nad czem nie pracowano zbyt długo. Przeglądając program „Encyklopedyi Polskiej,“ widzimy jak wiele trudności będzie miała do przezwyciężenia Redakcja. Stąd widzimy, jak poważne są luki w zakresie badań nad naszą kulturą. Jak wiele jeszcze pozostaje do zrobienia dla dania chociażby ogólnego pojęcia o jej zarysach. W każdym z działów, a działów tych projektuje Encyklopedia 19, są bardzo ważne pozycje, prawie nie dotknięte przez naszych uczonych. Trzeba więc będzie niejednokrotnie, chociażby dla wypełnienia zbyt rażących luk, zaprzęgnąć pracowników do nowych badań. Powiadam tylko: dla zbyt rażących luk — bo Encyklopedia ma za zadanie wyjaśnić to tylko, co dotąd jest zbadanem.

Oto jej program w streszczeniu: T. I. Geografia fizyczna (16 ark.). Antropologia (5 ark.). T. II i III. Język (42 ark.). T. IV. Archeologia (10 ark.). Początki kultury słowiańskiej (10 ark.). T. V. VI. VII. Historia polityczna (72 ark.). T. VIII. Geografia historyczna (20 ark.). T. IX. Statystyka (20 ark.). T. X. XI. Stosunki gospodarcze (35 ark.). T. XII. i XIII. Ustrój prawny i społeczny (40 ark.). T. XIV. Kościół (30 ark.). T. XV. Szkolnictwo (20 ark.). T. XVI. Środki oświaty po za szkołą (18 ark.). T. XVII. Obyczaj (24 ark.). T. XVIII. Wojsko i wojna (13 ark.). Historyczne nauki pomocnicze (12 ark.). T. XIX. i X. Sztuka i muzyka (32 ark.). T. XXI i XXII. Literatura piękna (35 ark.). T. XXIII. i XXIV. Literatura naukowa (42 ark.). T. XXV. Indeksy. Każdy z tych działów (według rozсланego już współpracownikom Programu) składać się będzie z rozdziałów, a każdy rozdział z paragrafów, liczonych w każdym rozdziale osobno. Do zredagowania każdego działu zostanie zaproszony przez komitet redaktor. Sposób przedstawiania treści ma być obrachowany na publiczność posiadającą wyższe naukowe wykształcenie, to znaczy będzie o tyle popularnym, aby rzecz była dostępną ludziom nie mającym specjalnego wykształcenia w danym dziale. Encyklopedia w każdym ze swoich działów ma zamieścić informacje

o literaturze przedmiotu. Literatura ta podaną będzie na czele każdego rozdziału. Dział ilustracyjny i kartograficzny będzie uwzględniony.

Encyklopedia według zasadniczego projektu ma być wydana w ciągu jednego roku. Rękopisy mają być złożone w Redakcyi do stycznia 1907 r., a druk ukończonym do stycznia 1908 r. Fundusz przeznaczony na to wydawnictwo wynosi 200 tys. koron. Na czele komitetu redakcyjnego stoją: Michał Bobrzyński i Stanisław Estreicher.

Genezy tego wydawnictwa szukać należy w niedoszłym zjeździe wszechsłowiańskim w Petersburgu, którego rezultatem miało być wydanie kolosalnych rozmiarów Encyklopedyi Wszechsłowiańskiej. Wówczas w łonie Akademii Krak. powzięto myśl wydania, niezależnie od publikacyi petersburskiej, „Encyklopedyi Polskiej,” któraby odzwierciedliła kulturę polską w całości. Zjazd Wszechsłowiański, jak wiadomo, nie przyszedł do skutku i przy zmienionych warunkach, w jakich żyjemy, na długo zaniechanym być musi. Tymczasem „Encyklopedia Polska“ wchodzi już na grunt realny i stosunkowo prędko ma się ukazać. Będzie to faktem pierwszorzędного znaczenia w naszej nauce, faktem niemal epokowym, który nie tylko do ważności szybkiego orientowania się w skarbach naszej literatury, ale także skieruje produkcję naukową na szersze tory.

W Warszawie w listopadzie i grudniu zawiązało się kilka stowarzyszeń, mających na celu rozszerzanie nauki polskiej. Do tych należą: Stowarzyszenie sił naukowych polskich, Macierz, Związek nauczycieli. O tych towarzystwach obszerniejsze wiadomości podamy w noworocznym zeszycie Biblioteki.

#### WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— ARCHITEKT. Zesz. 9. „Zamek królewski na Wawelu;“ „Rozwój nowoczesnego teatru;“ Z. Hendel, „Pałac w Płazie;“ S. Szyller, „Kościół w Ciepłowie;“ „Arena w Beziery;“ „Grecki teatr uniwersytetu w Berkeley w Kalifornii.“

BIBLIOTEKA NAUKOWA. LISTOPAD, № 21. Zmiana prospektu przez St. Kucharskiego. Obludny manewr p. A. Warskiego. Rozwój głosowania powszechnego p. H. Nézarda. Parę słów w odpowiedzi na krytykę p. Mahrburga „Zarysu filozofii monistycznej“ p. Dr. B. Dybowskięgo. Męczennicy Szlisselburga. Kонтrewolucya rządowa.

— KRYTYKA. Październik. (f) „Na przystanku;“ Marya Markowska, „Pamięci Okrzei;“ Romuald Miałowicz, „Teorya ewolucyi, a Darwinizm“ sensu stricto (czyli selekcyonizm) (c. d.); Stanisław Brzozowski, „Cypryan Norwid;“

„Próba charakterystyki;“ Stefan Zahorodny, „Rewolucyjno-społeczny ruch ukraiński pod zaborem rosyjskim;“ Jan Sten, „Dwa dramaty Orkana“ („Ofiara,“ „Wina i kraj“); I. Moszczeńska, „Podwójna moralność,“ „Kobiety mądre;“ Tadeusz Miciński, „Kraków,“ „Wawel,“ „Król polski,“ „Tryptyk;“ Tymon Niesiołowski, „Anioł smutku;“ Stanisław Brzozowski, „Teatr krakowski;“ A. Czepiel, „Głosy;“ F. p. Józef Flach i p. Zygmunt Wasilewski, „Dwaj krytycy literacy.

— MIESIĘCZNIK TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ, pismo poświęcone sprawom oświaty pozaszkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego. Treść zeszytu 11 za listopad, „Miesięcznika.“ Czytanki i obrazki w naszych elementarzach. Znaczenie obrazów świetlnych i potrzeba skioptykonu dla T. S. L. Projekt szkoły ludowej prywatnej dla Królestwa Polskiego. Pano-ramy odpustowe. Tematy do pogadanek: Mickiewicz na emigracji. Kronika. Dział sprawozdawczy T. S. L.: Z Zarządu Głównego. Sprawy Związków okręgowych. Z działalności Kół. Wiadomości różne. Sprawozdania: z czynności biura Zarządu Głównego T. S. L., z czynności składnicy centralnej i ruchu wypożyczalni. Dar Narodowy 3 Maja. Do wiadomości Kół. Przegląd krytyczny literatury.

— PAMIĘTNIK TOW. LEKARSKIEGO. Zeszyt III. L. Karwacki, „Wpływ surowicy Maragliano na przebieg gruźlicy u zwierząt“ (Praca nagrodzona na konkursie im. Koczorowskiego); K. Rzętkowski, „Studia nad zasadnością krwi ludzi zdrowych i chorych;“ S. Bucelski, „Dzieje budowy zakładu dla obłąkanych w Królestwie Polskiem, oraz stan obecny szpitala w Tworkach,“ Fr. Giedroyc, „Źródła biograficzno-bibliograficzne do dziejów medycyny w dawnej Polsce;“ „Protokoły posiedzeń Tow. Lek. Warsz.“

PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany pod Red. J. K. Kochanowskiego przy udziale komitetu, do którego należą: Jan Chrzanowski, S. Dickstein, Al. Jabłonowski, St. Kętrzyński, Al. Kraushar, Fr. Pułaski, Wł. Smoleński, W. Sobieski, w zeszycie 3-im (Listopad, Grudzień), Warszawa, 1905. 8-o, str. 314—470 pomieszcza dokończenie pracy Władysława Konopczyńskiego: Geneza „Liberum Veto,“ St. Zakrzewskiego: Nad Wieprzem i Bugiem w wieku XI i XII, Ant. Prohaski: Dwie Koronacje (dokończenie), Bronisława Dembińskiego: Z dziejów okupacji Pruskiej w r. 1793. Aleksandra Kraushara: Księgarze warszawscy (dokończenie). W dziale sprawozdań St. Kujota: Najnowsze prace d-r W. Kętrzyńskiego o biskupie Chrystianie.

— PRZEGLĄD KOŚCIELNY. Październik. X. dr. Kazimierz Wais, „Spór o pochodzenie gatunków“ (c. d.); X. dr. Stanisław Trzeciak, „Chrystus Pan a współcześni mu ludzie“ (c. d. i dok.); X. dr. A. Jougan, „X. Antoni Węgrzynowicz, jako kaznodzieja maryologiczny, i jako homiletyczny“ (c. d.); X. dr. K. Miaskowski, „Piotr Rydyński i polemika jego z Hessem r. 1524“ (c. d.); X. Czesław Meissner, „Patronat kościelny w świetle powszechnego pruskiego prawa krajowego“ (c. d.); X., Przyczynek do genezy t. z. „Mankietników;“ X. Trzeński, „Nauka katechizmu pracującej młodzieży,“ Bronisław Ruczyński, „Kilka szczegółów o kościele katolickim w Japonii;“ „Nowe monografie o sakramencie pokuty“ (dok.).

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI. Październik. Dr. Rudolf Henryk Fried, „Judykatura w sprawie przynależności polis na przeżycie do mas spadkowych;“ dr. Jerzy Michalski, „Nowa ustawa saska o podatku majątkowym;“ Adam Krzyżanowski, „Związki zawodowe rolników (c. d.);“ dr. Jan Paygert, „Zbrodnicze zaniechanie“ (studium z prawa karnego, c. d.); „Praktyka cywilno sądowa“ przez j. m. i dr. Z. G...; „Praktyka administracyjna“ przez dr. Zygmunta Gargasa.

— PRZEWODNIK NAUKOWY. Wrzesień. „Listy Zygmunta Krasińskiego do pani Joanny Bobrowej“ z autografów wydał i przypisami objaśnił Leopold Meyet (c. d.); dr. Oswald Balcer, „O morskie Oko, wywód praw polskich przed sądem polubownym w Hradcu“ (c. d.); „Pamiętniki Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardyi za czasów Konstantego“ (c. d.); Kazimierz Pułaski, „Z dziejów konfederacyi barskiej teki Teodora Wessla, podskarbiego wiel. koronnego“ (1669—1772“ c. d.); Jan Ptaśnik, „Turzonowie w Polsce i ich stosunki z Fuggerami, kartka z dziejów Krakowa w epoce humanizmu; Wołyniak, O misyonarzach w Polsce (c. d.); Dezydery Ostrowski, „Trzyńście dni na wodach Grecyi“ (c. d.).

— PRZEWODNIK ZDROWIA. Październik. „Zaziębienie: co znaczy, skąd pochodzi, jak się bronić, czem wypędzać?“ Podług dr. Niemeyera; „Pielęgnowanie zdrowia u Japończyków;“ „Jarstwo w leczeniu alkoholizmu;“ „Prestrogi i rady.“

RUCH CHRZEŚCIJAŃSKO-SPOŁECZNY. Październik. X. Z., „Społeczne znaczenie wiecu katolików niemieckich rzeszy niemieckiej odbytego w Strasburgu;“ X. St. A., „Organizacya zawodowa polskiej młodzieży kupieckiej;“ A. R., „Kwestya obieżysastwa“ (c. d.); Adam Woroniecki, „Polscy obieżysasi w Szwajcaryi;“ dr. Teodor Rzymiski, „Potrzeba wykształcenia socyalnego wśród wyższych warstw i środki do tego;“ „Ruch ekonomiczno-społeczny;“ „Z ruchu socyalistycznego.“

---

## BIBLIOGRAFIA.

---

### TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

DĄBROWSKI TOMASZ KS. Kazania na niedziele całego roku. Serya druga. Kraków, 1905. Nakł. XX. Misjonarzy. 8-o, str. 407.

FISCHER KAROL JÓZEF BISKUP. Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. T. I. Obejmujący czas od pierwszej niedzieli adwentu do śro-



dy popielcowej. Wydanie drugie powiększone. Przemysł, 1905. Nakład A. Juszyńskiego. 8-o, str. nl. 6 i 456.

MURRAY CLARK. Zasady psychologii. Podręcznik. Przełożyli z upoważnienia autora Henryk Wernic i J. W. Dawid. Wydanie drugie. Warszawa, 1905. Nakład i własność Teodora Paprockiego. 8-o, str. 374.

NUCKOWSKI JAN X. T. J. Kilka uwag o nowym podręczniku logiki. Napisał ... Chyrów, 1904. Nakł. autora. 8-o, str. 50.

## F I L O L O G I A.

DRZEWIECKI KONRAD. Początki gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami i przykładami. Przez ... Wyd. drugie przejrzane i popraw. Warszawa, 1905. Nakł. Geb. i Wolffa. 8-o, str. 261.

KRASNOWOLSKI ANTONI. Główne zasady składni polskiej. (Książki dla wszystkich № 244). Warszawa, 1905. 12-o, str. 112.

MATERIAŁY I PRACE KOMISJI JĘZYKOWEJ. Akad. Umiejętn. w Krakowie. Tom III. zes. 1 i 2. Kraków, 1905. 8-o, str. 303.

PRAWIDŁA PISOWNI POLSKIEJ PRZYJĘTE PRZEZ AKAD. UMIĘJĘTN. W KRAKOWIE. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni A. G. Dubowskiego. 8-o, str. 16.

## H I S T O R Y A.

BAKOWSKI KLEMENS dr. Kronika krakowska 1796—1818. Cz. I od roku 1796—1815. Bibl. krakowska № 27. Kraków, 1905. S. A. Krzyżanowski. 8-o str. 139.

BLOS WILHELM. Rewolucya francuska, przekład z wydania niemieckiego. Tom I—II. Kraków, 1905. Spółka nakładowa „Książka“ G. Centnerszwer i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 2 nl. i 384 i 2 nl. i 344 z ill.

BOGUSZ ADAM dr. Wieś Moderówka, szkic historyczny. Kraków, 1905. Nakład autora, G. Gebethner i Spółka. 8-o, str. nl. 2, 152, tablic XVII i 1 mapa.

CZOŁOWSKI ALEKSANDER dr. Archiwa rządowe we Lwowie, ich obecna zawartość i znaczenie dla historii Galicji. Odb. ze „Sprawozdań wydz. histor-filozof.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 8.

GĄTKIEWICZ FELIKS. Materiały do historii kościoła w Drohobyczu. (Sprawozd. c. k. gimnazjum wyższego w Drohobyczu za r. szk. 1905. Drohobycz, 1905. Nakł. fund. nauk. 8-o, str. 90.

GUMPLOWICZ L. La sociologia e Gustavo Ratzenhofer. (Estratto della Rivista italiana di sociologia, Anno IX, Fasc. III, IV. Magio-Agosto, 1905). Roma, 1905. 8-o, str. 31.

KAUTSKY KAROL. Przeciwności interesów klasowych r. 1789. Przełożył Antoni Krasnowolski. Redaktor i wydawca St. Kucharski. Warszawa, 1905. „Bibl. Naukowa.“ 8-o, str. 102.

KRZYWICKI LUDWIK. Żmudź starożytna. Dawni Żmudzini i ich warownie. Warszawa, 1905 r. Nakładem Księgarni Naukowej. 8-o, stron 89 i IV.

MOSZCZEŃSKI ADAM. Pamiętnik do historii polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego, z przedmową Henryka Mościckiego. Dzieje porozbiorowe narodu polskiego w żywym słowie. IV. Dodatek dla prenumeratorów „Tyg. Illustr.“ Warszawa, 1905. Nakł. Gebeth. i Wolffa. 8-o, str. 154.

POTKAŃSKI KAROL. Geneza organizacji grodowej w Polsce. Odbitka ze Sprawozdań Akademii Umiejętn. wydziału historyczno-filoz. Kraków, 1905. 8-o, str. 4.

WIPPER R. PROF. Historia wieków średnich w zarysie z mapami historycznymi. Przełożył Stefan Ehrenkreutz, zt. 1. Warszawa, 1906. Wydaw. „Bibl. Nauk.“ 8-o, str. 64.

WYBICKI JÓZEF. Pamiętniki ... senatora wojewody Królestwa Polskiego. Cz. II, z przedm. Henr. Mościckiego. Dzieje porozbiorowe narodu polskiego w żywym słowie III. Warszawa, 1905. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 134.

ŻERNICKI-SZELIGA E. v. Geschichte des polnischen Adels nebst einem Anhang; Vasallenliste des 1772 Preussen huldigenden Polnischen Adels in Westpreussen. Hamburg, Verl. von Henri Grand, 1905. 8-o, stron 2 nl. 84 i 55.

#### NUMIZMATYKA. — SFRAGISTYKA.

WITTYG WIKTOR. Pieczęcie miast dawnej Polski. Zeszyt I. Wydanie Muzeum narodowego w Krakowie. Kraków-Warszawa, 1905. 4-o, str. 48 za zesz. 2 i ostatni.

ZAKRZEWSKI Z. dr. Studya do numizmatyki XI wieku. Monety średniowieczne wykopane w Ostrowie nad Gopłem. Odb. z „Wiad. numizm.-archeol.“ Kraków, 1905. Nakł. Tow. 8-o, str. 20.

ZIELIŃSKI JÓZEF. Holland Stefan (Steven van Holland), medalier niemieckiej XVI w. Odb. z „Wiadom. numizm.-archeol.“ Kraków, 1905. 4-o, k. nl. 2.

## HISTORIA LITERATURY I SZKOLNICTWA.

GORSKI STEFAN. Dziennikarstwo polskie. Zarys historyczny. (Książka dla wszystkich № 245). Warszawa, 1905. 12-o, str. 134.

KATALOG BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W ZAKOPANEM, 1905. Kraków, 1905. 8-o, str. 127.

MATERIAŁY DO DZIEJÓW AKADEMII POŁOCKIEJ I SZKÓŁ OD NIEJ ZALEŻNYCH, zebrał I. G. Fontes et commentationes historiarum scholarum superiorum in Polonia illustrantes. IX. Materiały i opracowania dotyczące historii wyższych zakładów naukowych w Polsce. Kraków, 1905 r. 8-ka duża, str. 288 z rycinami.

PLENKIEWICZ ROMAN. Mikołaja Reja z Nagłowic Etyka 1505 — 1905. Warszawa, 1905. „Biblioteka Dzieł Wyborowych“ № 403. 8-o, str. 153.

TARNOWSKI STANISŁAW. Historia literatury polskiej. Wyd. drugie, powiększone i dopełnione. Wiek XVI—XIX. 8-a duża, t. I, str. X i 447, tom II str. 501, t. III str. 607, t. IV str. 478.

## NAUKI ŚCISŁE.

BRUNER L. i TOŁŁOŻKO S. Chemia nieorganiczna. Kraków, 1905. Nakł. D. E. Friedleina, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. VIII i 237 z 67 ryc. w tekście.

DICKSTEIN S. Prace matematyczno-fizyczne. Wydane przy współudziale Wł. Gosiewskiego, Wł. Natansona, A. Witkowskiego i K. Żórawskiego. Przez ... Tom XVI. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. Gebethnera i Wolffa. 8-a duża, str. 269.

THOMAS STANISŁAW. Krótka teoria arytmetyki. Książka ucznia. Liczby oderwane i wieloraki. Warszawa, 1905. Nakł. księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 63.

TENŻE. Zadania i przykłady arytmetyczne. Kurs pierwszego oddziału szkół początkowych. Warszawa, 1905. Nakł. księgarni E. Wende i Spółka. 8-o, stron 77.

TENŻE. Zadania i przykłady arytmetyczne. Kurs drugiego oddziału szkół początkowych. Warszawa, 1905. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka. 8-o, stron 94.

TENŻE. Zbiór zadań arytmetycznych. Ułożył ... Cz. I. Wyd. trzecie. Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 138.

## S Z T U K A

BUDOWNICTWO DRZEWNE. Wydawnictwo Tow. „Polska sztuka stosowana.“ Materiał zesz. VI. Societé de l'art applique Polonais. fasc. VI. Architecture en bois. Kraków, 1905. G. Gebethner i Sp. 4 o, k. nl. 2, tablic z rycinami 18.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE. III. Ilustrowany katalog obrazów i rzeźb w. XIX i XX. Wydanie 2 rozszerzone, opracowane na podstawie pierwszego, sporządzonego przez K. F. Kraków, 1905. Nakł. Muzeum. 8-o, str. XIV i 102, z 19 ryc.

ORVIET ANGIOLO. Chopin, opera w 4 aktach przez Giacoma Orefice. Lwów, 1906. Nakł. Gubryn. i Schmidta. 16-o, str. 40.

SWIEYKOWSKI EMANUEL dr. Pamiętnik Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie 1854—1904. Pięćdziesiąt lat działalności dla ojczyznej sztuki. Wyd. pierwsze. 8-o, str. CII i 593, z ryc.

## P O W I E Ś C. — P O E Z Y A.

D'ANNUNZIO GABRIELE. Franceska z Rimini, tragedia w 5 aktach. Z włoskiego przełożył Jan Kasprówicz. Lwów. 1905. Nakł. Tow. wydaw., Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 236.

DU BOYS J. Hrabina Monte-Christo. Romans w czterech tomach. Przekład Stanisława Milkowskiego. Warszawa, 1905. Skład główny w ks. S. Bukowieckiego. 8-o, tom I str. 271, tom II stron 256, tom III stron 240, tom IV str. 219.

GORKIJ MAKSYM. Warenka Olessówna, przekład H. Salza. Wydanie drugie. Stanisławów, 1906. A. Staudacher, Jan Fiszer w Warszawie. 8-o, stron 164.

MASKOFF JÓZEF. Zaszumi las, powieść współczesna w trzech częściach. Wydanie drugie. Tom I i II. Lwów, 1905. Księgarnia Narodowa. 8-o, str. 395 i 368.

MORSTIN LUDWIK HIERONIM. Na raclawickiem bloniu, udratyzowana pieśń. Kraków, 1906. Nakładem autora, D. E. Friedlein, 8-o duża, str. 34.

RITTNER TADEUSZ. Przebudzenie. Czerwony kapelusz. Królowa balu. Przyjaciół Janka. Mój przyjaciel. Epizod. Dzieci. Ojciec. Warszawa, 1905. Nakł. Towarzystwa Akc. S. Orgelbranda i Synów. Skład gł. w ks. J. Fiszera. 8-o, podł., str. 192.

RYGIER LEON. Mój wuj, jego jeleni i nowe prądy. Humoreska odznaczona na konkursie „Tyg. Ilustr.“ i inne. Warszawa, 1906. Nakład M. Borkowskiego. 8-o, str. 78.

STASIAK LUDWIK. Trzecie humoreski. Kraków, 1905. Spółka wyd. polska. Rysunek na okładce wykonał K. Żelechowski. 8-o, str. 163.

VERLAINE PAWEŁ. Księga mądrości, przełożył Adam Stodor. Stanisławów, 1904. A. Staudacher, J. Fiszer w Warszawie. 8-o, str. 135.

ŻMICHOWSKA NARCYZA. Listy ... do rodziny i przyjaciół. III. Kraków—Warszawa, 1905. Gebeth. i Wolff. 8-o, str. 519.

#### PUBLICYSTYKA.

BAKUNIN M. A. Do Polski. Rosyi i Słowian!... Tłumaczył i przedmową zaopatrzył W. Ko-c. Lwów, 1905. Polskie tow. nakł. Księgarnia Narodowa. 8-o, str. 45.

DZIESIĘCIOLECIE Przeglądu Wszepolskiego. Artykuły i rozprawy z zakresu polityki i pokrewnych dziedzin, Z. Balickiego, R. Dmowskiego, J. S. Popławskiego, W. Tokarza, G. Topora, Z. Wasilewskiego i innych pod redakcją R. Dmowskiego. Kraków, 1905. Nakł. Przegl. Wszepol. (Jestto jubileuszowy zeszyt Przeglądu Wszepolskiego w oddzielnem książkowym odbiciu. 8-a duża, str. 248.

JAWORSKI W. L. Mowa posła ... wypowiedziana przy pierwszym czytaniu wniosku posłów Jaworskiego, Lea i Federowicza o polepszeniu plac nauczycielskich. Dodatek do „Czasu“ z dnia 16 października, 1905 r. Kraków, 1905. Nakł. i druk. red. „Czasu.“ Fol. str. 1.

KWESTYJA POLSKA a ruch socjalistyczny. Zbiór artykułów o kwestyi polskiej: R. Luxemburg, K. Kautsky'ego, F. Mehringa, Parvusa i innych z przedmową R. Luxemburg i uwagami wydawców, oraz dodatkiem. Socjal-demokracja Królestwa Polskiego i Litwy. Kraków, 1905. Nakł. Rudolf. Moszoro. 8-o, str. 178.

KWESTYA POLSKA. Drugi list otwarty L. F. *Pantelejewa* do prof. M. Zdziechowskiego. „Polskiej wopros,“ wtoroje odkrytoje piśmo F. L. *Panteljew*a k' prof. M. Zdziechowskiemu. Odb. ze „Świata Słowiańskiego,“ Kraków, 1905. Nakł. red. „Świata Słowiańskiego.“ 8-o, str. 16 n.

NIEMOJEWSKI ANDRZEJ. Doba obecna w Królestwie Polskiem. Kraków, 1905. Nakł. red. „Wyzwolenia.“ 8-o, str. 166.

PRZEŹDZIECKI H. ks. Do robotników. Dwa przemówienia wypowiedziane w kościele św. Floryana na Pradze d. 6 i 20 maja 1905 r. Warszawa, 1905. Skł. gł. w księg. „Kroniki Rodzinnej.“ 8-o, str. 24.

RAKOWSKI KAZIMIERZ. Walka w obronie narodowości pod berłem pruskim. Warszawa, 1905. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o stron 72.

W SPRAWIE bojkotu szkoły rosyjskiej (odpowiedź pp. Askenazemu, Massoniusowi i legitymistom innym). Kraków, 1905. Spółka nakł. „Książka.“ 8-o, str. 34.



# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1905.

### F I L O Z O F I A.

	Str.
WSPÓŁCZESNY PRZEDSTAWICIEL IDEALIZMU W NIEMCZECH, — przez <i>Adama Żółtowskiego</i> . . . . .	140

### H I S T O R Y A.

DWAJ NUNCYUSZE W WARSZAWIE, — przez <i>Macieja Loreta</i> . . . . .	47
DAWNY ZARZĄD WAWELU, — przez <i>Stanisława Kutrzebę</i> . . . . .	123
JÓZEF GOŁUCHOWSKI, — przez <i>Józefa Bielińskiego</i> . . . . .	281
Z DZIEJÓW CENZURY W POLSCE, — przez <i>Stefana Gorskiego</i> . . . . .	455
O POMORSKICH PODANIACH DZIEJOWYCH, — przez <i>G. Smólskiego</i> . . . . .	543

### S Z K I C E P O L I T Y C Z N E.

PRZED WYBORAMI DO IZBY PAŃSTWOWEJ, — przez <i>Henryka Sienkiewicza</i> . . . . .	1
KOMUNIKAT LISTOPADOWY, — przez <i>prof. Szymona Askenazego</i> . . . . .	209
FARYZEIZM GERMAŃSKI, — przez <i>Franciszka Morawskiego</i> . . . . .	306

### SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

WROGOWIE KOBIETY, — przez <i>Ardensa</i> . . . . .	61
MIASTA OGRODOWE, — przez <i>Zygmunta Gargasa</i> . . . . .	90

WYŻSZE STUDYA ZAGRANICĄ A ŻYCIE NARODOWE, — przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	Str. 255
---	-------------

## L I T E R A T U R A.

DEKADENCI (ciąg dalszy i dok.), — przez <i>W. Dzeduszyckiego</i> . . . . .	7, 218 i 417
SŁONECZNA CISZA PÓL, poezya, — przez <i>Bronisławę Ostrowską</i> . . . . .	87

## STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

NA SCENIE I NA ESTRADZIE, — przez <i>W. Bogusławskiego</i> . . . . .	101
SZKICE BAŁKAŃSKIE, — przez dr. <i>Zygmunta Stefańskiego</i> . . . . .	331
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i> . . . . .	354
WHISTLER, — przez <i>Jana Topassa</i> . . . . .	497
FRAGMENT LOZAŃSKI „DZIADÓW,“ — przez <i>Jacka Kostkę</i> . . . . .	507
POGLĄDY NA SZTUKĘ I KRYTYKĘ, — przez <i>Wł. Jabłońskiego</i> . . . . .	525

## NAUKI PRZYRODNICZE.

NARZĄDY ZMYSŁOWE U ROŚLIN, — przez <i>Prof. D-ra Józefa Nusbauma</i> . . . . .	480
--	-----

## R O Z M A I T O Ś C I.

O KOBIECIE I MAŁŻEŃSTWIE, Seweryna Goszczyńskiego, — przez <i>Kazimierza Woźnickiego</i> . . . . .	566
--	-----

## K R Y T Y K A.

ZYGMENT KRASIŃSKI: Pisma, za zezwoleniem rodziny poety wydał <i>Tadeusz Pini</i> . Wydanie krytyczne, zupełne, ze słowem wstępnem prof. d-ra <i>Józefa Kallenbacha</i> . Tom I—VI. We Lwowie, nakładem Księgarni polskiej <i>B. Połonieckiego</i> , 1904. Warszawa, <i>E. Wende i Sp.</i>	
JÓZEF KALLENBACH: <i>Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838)</i> . Tom I—II. Lwów, 1904, nakładem księgarni <i>B. Połonieckiego</i> , Warszawa, <i>E. Wende i Sp.</i> , 8-o, str. XVI + 363 i 447. („Pisma“ <i>Zygmunta Krasińskiego</i> . Tom VII i VIII), — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	171
DR. ZBIGNIEW PAZDRO: <i>Organizacja i praktyka żydowskich sądów podwojewódzińskich w okresie 1746—1772 r.</i> Na pod-	



	<i>Str.</i>
stawie lwowskich materyałów archiwalnych. (Monografie z historii żydów w Polsce). Lwów 1903 r. . . . .	180
LUDWIG MISES. Die Entwicklung der gutsherrlich-bäuerlichen Verhältnissen in Galizien (1772—1848). 1903, — przez <i>A. R.</i>	375
J. BAUDOIN DE COURTENAY. Kwestya alfabetu litewskiego w państwie Rosyjskiem i jej rozwiązanie. W Krakowie, 1904, str. 44, — przez <i>Henryka Ułaszyna</i> . . . . .	382
Kompetencya Sejmu w sprawach podatkowych Galicyi, — przez <i>Wł. Studnickiego</i> . . . . .	384
TECHNIK. Podręcznik opracowany według niemieckiego pierwowzoru, wydawanego przez Stowarzyszenie „Hütte.“ . . . .	387
J. GRABOWSKI. Pamiętniki wojskowe. Wydął Wacław Gąsiorowski. 1905, — przez <i>A. R.</i> . . . . .	575
SŁOWACKI JULIUSZ. Anhelli. Opracował do użytku szkolnego prof. dr. Wiktor Hahn. Brody, nakł. i druk. F. Westa. 1905, str. 96, — przez <i>Henryka Ułaszyna</i> . . . . .	581
HERMAN DR. BRUININGK. Messe und kanonisches Stundengebet nach dem Brauche der Rigaschen Kirche im späteren Mittelalter. (Ryga, 1903 i 1904 r., ogłoszone w „Mittheilungen aus der Geschichte Liv- Est- und Kurlands,“ tom XIV, a także w osobnej książce, wydanej w końcu 1904 r. w Rydze, str. 656 w sporej 8-e), — przez <i>Gustawa Mantuffla</i> . . . . .	584

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

## PAŹDZIERNIK:

- Przed wyborami. — Z przedmieścia Warszawy. — Pogłoska o bibliotece publicznej. — „Półoświata“ i projekty p. Langego. — Ankieta rzemieślnicza. — Wspomnienia pozgonne: ś. p. prof. Edward Korczyński; — ś. p. Bronisław Zawadzki . . . . . 184

## LISTOPAD:

- Potrzeby szkoły polskiej. — Wobec spodziewanego zniesienia cenzury. — Projekt stowarzyszenia wzajemnej pomocy dla ziemian. — Głos p. Erazma Małewskiego w sprawie muzeum archeologicznego. — Potrzeba opieki nad umysłowo chorymi . . . . . 393

## GRUDZIEŃ:

- Po ogłoszeniu praw zasadniczych. — Stowarzyszenie sił naukowych polskich. — Liga przyjaciół wolności i prawa. — Uniwersytet warszawski. — Uchwały Zjazdu nauczycieli i nauczycielek ludowych. — Zakończenie . . . . . 596

## WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

	<i>Str.</i>
PAŹDZIERNIK . . . . .	197
LISTOPAD . . . . .	407
GRUDZIEŃ . . . . .	610

## DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE PAŹDZIERNIKOWYM (№ 6): Koszta oświaty w Królestwie Polskiem, — przez <i>A. P.</i> . . . . .	1
PRZY ZESZYCIE LISTOPADOWYM (№ 7): Szkolnictwo w Galicyi, — przez <i>A. Chudzyńskiego</i> . . . . .	1
PRZY ZESZYCIE GRUDNIOWYM (№ 8): Memoriał Towarzystwa rolniczego kieleckiego o stanie i potrzebach rolnictwa i rolników gub. Kieleckiej, — przez <i>Stefana Godlewskiego</i> . . . . .	1